

Agatha Christie

Dopóki starczy światła
i inne opowiadania

Przełożyła Mira Michałowska

Tytuł oryginału angielskiego *While The Light Lasts And Other Stories*

Przedmowa

Agatha Christie, pierwsza Dama Zbrodni, wciąż sprawuje niepodzielną władzę jako największa i najslawniejsza autorka klasycznych powieści detektywistycznych. Jej najslawniejsza powieść, a prawdopodobnie również najslawniejsza z wszystkich kryminałów, to „Zabójstwo Rogera Ackroyda” (1926), którą wprowadziła we wściekłość krytykę i dzięki temu przebojem zdobyła sobie pozycję w pierwszych szeregach autorów tego gatunku. Sprawę rozwiązał Herkules Poirot, emerytowany belgijski policjant, który pojawia się w trzydziestu trzech powieściach, w tym w „Morderstwie w Orient Expressie” (1930), „ABC” (1936), „Pięciu małych świnkach” (1942), „Po pogrzebie” (1953), „Zagadce gwiazdkowego puddingu” (1969) i „Kurtynie” (1975). Sama Agatha Christie spośród swoich detektywów największą sympatią darzyła pannę Jane Marple, wiekową starą pannę, która stała się bohaterką dwunastu powieści, w tym „Morderstwa na plebanii” (1930), „Nocy w bibliotece” (1942), „Kieszeni pełnej żyta” (1953), „Karaibskiej tajemnicy” (1964) i jej dalszego ciągu „Nemezis” (1971), a wreszcie „Uśpionego morderstwa” (1976), które, podobnie jak „Kurtyna”, powstało podczas drugiej wojny światowej, prawie trzydzieści lat wcześniej, nim ukazały się drukiem. Wśród dwudziestu jeden powieści, w których nie występuje żaden z detektywów Agathy Christie, znajdują się „And Then There Were None” (1939) — pierwotnie opublikowany pod tytułem „Dziesięciu Murzynków”, gdzie nie spotkamy się z żadnym detektywem, „Dom przestępców” (1949), „Ordeal by Innocence” (1959) i „Noc bez końca” (1967).

W ciągu swojej trwającej ponad pół wieku kariery Agatha Christie napisała sześćdziesiąt sześć powieści, autobiografię, sześć romansów pod pseudonimem Mary Westmacott, pamiętnik z udziału w archeologicznej ekspedycji do Syrii, dwa tomiki poezji, wiersze i powiastki dla dzieci, kilkanaście sztuk teatralnych i radiowych i około stu pięćdziesięciu opowiadań. Niniejszy zbiorek przynosi dziewięć nowelek, które, z kilkoma wyjątkami, od chwili pierwodruku (niekiedy sześćdziesiąt, a nawet siedemdziesiąt lat temu) nigdy nie zostały wznowione. Poirot pojawia się w dwóch opowiadaniach, w „Tajemnicy bagdadzkiego kufra” i w „Bożonarodzeniowej przygodzie”. Są to oryginalne wersje nowelek zawartych w zbiorze „Zagadka gwiazdkowego puddingu” (1960). „Na krawędzi” to pełna napięcia historia psychologiczna, a „Aktorka” zrećnie wprowadza na fałszywy trop. Enigmatyczne „Otoczony ścianą” i „Samotny bożek” to romanse, powstałe w najwcześniejszych latach pisarstwa Agathy Christie. W „Domu ze snu” i „Dopóki starczy światła” znajdujemy elementy fantastyczne. Wreszcie „Złoto Manksów”, opowiadanie, którego forma i koncepcja w czasie jego powstania były unikatowe, lecz od tamtej pory stały się niezwykle naturalne — na całym świecie.

Przedstawione tu opowieści są doskonałym przykładem niepowtarzalnego stylu Agathy Christie, prawdziwą ucztą dla koneserów!

Tony Medawar

Londyn

Grudzień 1996

Podziękowania

Z wdzięcznością dla Johna Currana, Jared Cade, Karla Pike'a, autora książki „Agatha Christie: Przewodnik kolekcjonera”, i Geoffa Bradleya, wydawcy „Crime and Detective Stories”

T.M.

Dom ze snu

To jest historia Johna Segrave'a, jego życia, które nie przyniosło mu satysfakcji, i jego miłości, która pozostała niespełniona, a także jego snów i śmierci. Ale jeżeli dwa ostatnie aspekty egzystencji przyniosły mu to, czego nie zaznał w dwóch pierwszych, to może jego życie można by uznać za sukces. Kto wie?

John Segrave pochodził z rodziny, która od bez mała stuleci z wolna traciła na znaczeniu. Jeszcze za panowania królowej Elżbiety jej członkowie byli wielkimi posiadaczami, teraz jednak ostatni skrawek ziemi został sprzedany. Postanowiono wobec tego, że jeden z synów nauczy się pożytecznej sztuki robienia pieniędzy. To, że wybór padł na Johna, można uznać za ironię ślepego losu.

Rzeczą wręcz kuriozalną było, że ten młodzieniec o dziwnie wrażliwych ustach, wąskich ciemnoniebieskich oczach, przypominający raczej elfa czy fauna — dzikiego mieszkańca lasu, stał się właśnie ofiarą, złożoną na ołtarzu Finansów. Zapach ziemi, smak słonej morskiej wody na ustach, bezkresne niebo nad głową — oto, co John Segrave ukochał nade wszystko. A właśnie z tym wszystkim kazano mu się pożegnać.

W wieku lat osiemnastu został drobnym urzędnikiem wielkiego przedsiębiorstwa. Siedem lat później był urzędnikiem może nieco wyższego szczebla, ale zasadniczo jego pozycja prawie się nie zmieniła. Nie miał przecież zdolności do „robienia kariery”. Odznaczał się punktualnością, pracowitością, solidnością, ale był urzędnikiem i niczym więcej niż urzędnikiem.

A przecież mógłby zostać kimś — tylko kim? Trudno mu było odpowiedzieć na to pytanie. Nie był jednak w stanie pozbyć się przekonania, że gdzieś na świecie istnieje środowisko, w którym i on by się liczył. Tkwiła w nim jakaś siła, zdolność szybkiej orientacji, innymi słowy, to coś, o czym jego koledzy z pracy nie mieli pojęcia. Obdarzano go sympatią. Cieszył się też popularnością i roztaczał dokoła siebie pewną aurę bezinteresownej przyjaźni. Koledzy nie orientowali się, że nie pozwala im się zanadto zbliżyć do siebie, tym samym uniemożliwiając jakąkolwiek zażyłość.

Pewnej nocy zaskoczył go niezwykle sen. Nie miał nic wspólnego z dziecięcą fantazją, która rośnie i rozwija się w nas przez długie lata. Przytrafiło mu się to w letnią noc, ściśle mówiąc, wczesnym rankiem. Obudził się roztrzęsiony, przyłgął do swego snu, chciał go zatrzymać za wszelką cenę, ale ten oddalał się od niego, wymykał mu się — ulotny, jak to sny.

Trzymał się go rozpaczliwie. Nie pozwoli mu się rozplątać — nie, o nie! Zachowa w pamięci jego obraz! Obraz domu, który był mu tak doskonale znany. Nie wiedział, czy jest prawdziwy, czy stanowi jedynie mrzonkę. Znał go jednak dobrze, choć niezupełnie sobie uświadamiał skąd. Jeszcze nie...

Do sypialni wkradało się cicho szare światło poranka. Panowała niezwykle cisza. Było wpół do piątej i Londyn, zmęczony Londyn, przeżywał krótkie chwile spokoju.

John Segrave leżał w łóżku nieruchomo, upajając się pięknem i niezwykłością snu. Jak to

cudownie, że udało mu się go zapamiętać! Sny zazwyczaj ulatniają się natychmiast po przebudzeniu, oddalają się wraz z naszym powrotem do rzeczywistości, i to mimo że zawsze usiłujemy je zapamiętać i pochwycić niezdarnymi palcami. Ale dziś John okazał się szybszy od swego snu. Zatrzymał go w locie!

A był to zaiste sen niezwykle! Treścią jego był dom i — na tym właściwie koniec, nic szczególnego się przecież nie działo. John uświadomił sobie w nagłym przypiływie rozczarowania, że nie zna tego domu, że nigdy przedtem nie zaistniał on w jego snach.

Dom był biały, stał na niewielkim wzgórzu na tle łańcucha niebieskawych gór, ale jego szczególna uroda nie zależała od otoczenia. Był po prostu (i na tym polegała jego właściwość) piękny, zaskakująco piękny. Gdy Segrave sobie to wszystko uświadomił, serce zabiło mu szybko i radośnie.

Zobaczył go oczywiście tylko od zewnątrz, do środka jeszcze nie zajrzał. Na razie było to wykluczone, absolutnie wykluczone.

Powoli z mroku wyłaniało się wewnątrz jego skromnej sypialni i Segrave'a ogarnęło uczucie rozczarowania. Pomyślał, że może ten jego sen wcale nie jest taki nadzwyczajny, a ta jego nadzwyczajna część, która by coś tłumaczyła, zdołała mu umknąć, śmiejąc się z niezręczności jego wyciągniętych rąk? No, ale po co przejmować się zwykłym domem, stojącym na małym wzgórzu? Był raczej domostwem z mnóstwem zasłoniętych okien. Mieszkańcy albo wyjechali (był tego raczej pewien), albo wszyscy jeszcze spali.

Nagle roześmiał się, ubawiony grą własnej wyobraźni, i przypomniał sobie, że jest dziś zaproszony na kolację do państwa Wettermanów.

Maisie Wetterman, jedyna córka Rudolfa Wettermana; od dawna była przyzwyczajona do zaspokajania wszystkich swoich zachcianek. Pewnego dnia odwiedziła ojca w biurze i wzrok jej padł na Johna Segrave'a. Właśnie przyniósł szefowi kilka listów. Kiedy się oddalił, Maisie zapytała ojca, kim jest ów młody człowiek. Wetterman chętnie odpowiedział.

— To jeden z synów sir Edwarda Segrave'a. Dobra, stara rodzina, ale ten chłopak z pewnością nie odznaczy się niczym szczególnym. Nawet go lubię, chociaż nie ma iskry bożej.

Maisie mniej dbała o iskrę bożą niż jej ojciec. Toteż w dwa tygodnie później skłoniła papę, by zaprosił Johna na kolację. Raczej w małym gronie. Gospodarz, jego córka, John i jedna z koleżanek Maisie, która gościła u Wettermanów.

W pewnym momencie koleżanka zauważyła:

— Przypuszczam, że to próba, Maisie. Jeżeli towar ci się spodoba, twój ojciec każe go ładnie zapakować i przyniesie do domu dla swojej ukochanej córeczki. Oczywiście po uiszczeniu odpowiedniej zapłaty.

— Allegro! Cóż to za pomysły!

Allegra Kerr roześmiała się.

— Przecież znam twoje kaprysy, Maisie. Wołasz: „Podoba mi się ten kapelusz. Muszę go mieć”. Jeżeli kapelusz, to czemu nie mąż?

— Nie bądź śmieszna. Nawet z nim jeszcze na serio nie rozmawiałam.

— Ale upatrzyłaś go sobie. Co ty w nim właściwie widzisz?

— Sama nie wiem — zamyśliła się Maisie. — Jest jakiś inny.

— Inny?

— Tak. Nie potrafię ci tego wytłumaczyć. Jest nawet dość przystojny, ale nie o to chodzi. Zachowuje się tak, jak gdyby cię nie widział. Wtedy, w gabinecie ojca, kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy, w ogóle nie zwrócił na mnie uwagi.

Allegra znów się roześmiała.

— Stara sztuczka. To wielki cwaniak.

— Allegro, jesteś obrzydliwa!

— Nic się nie martw, kochanie. Tatusz kupi swojej córeczce ślicznego kędzierzawego baranka.

— Nie o to chodzi.

— Czyżby miłość przez duże M od pierwszego wejrzenia?

— Nie widzę powodu, dlaczego nie miałyby się we mnie zakochać.

— Ja też nie. Tak się na pewno stanie. — Allegra spojrzała z uśmiechem na przyjaciółkę. Maisie Wetterman, trochę za pulchna, była niewielkiego wzrostu, miała ładnie ostrzyżone i starannie ułożone włosy, dobrą cerę, upiękzoną pudrem i różem w modnym odcieniu, kształtne usta i białe zęby, małe, ale bystre oczy i nieco zbyt wydatną dolną szczękę. Ubrana była zawsze doskonale. — Na pewno tak się stanie — powtórzyła, patrząc na Maisie z aprobatą. — Doskonale wyglądasz.

Przyjaciółka spojrzała na nią z pewnym niedowierzaniem.

— Daję ci na to słowo honoru — zapewniła pospiesznie Allegra. — Ale wyobraźmy sobie na chwilę, po prostu dla zabawy, że tak się nie stanie. To znaczy, że on się w tobie nie zakocha. Że spodobał mu się, ale wyłącznie platonicznie. Co wtedy?

— Może przy bliższym poznaniu on także przestanie mi się podobać.

— Całkiem prawdopodobne. Jednakże z drugiej strony... Maisie wzruszyła ramionami.

— Mam chyba dosyć dumy, by zapanować nad sobą i...

— Duma pomaga ukrywać prawdziwe uczucia, ale im nie zapobiega — przerwała jej Allegra.

— No cóż — odparła z namysłem Maisie. — Nie widzę powodu, żeby nie być z tobą szczerą. Doskonala ze mnie partia. Powinien to rozumieć. W końcu jestem córką papy, no i w ogóle.

— Ewentualne partnerstwo w firmie i tak dalej... O tak, Maisie, rzeczywiście jesteś wykapaną córeczką swojego tatusia. Pochwalam to. Lubię, jak moi przyjaciele się sprawdzają.

Maisie wyczuła w tonie przyjaciółki lekką kpinę i poczuła się trochę nieswojo.

— Allegro, jesteś obrzydliwa.

— Mylisz się. Jestem bardzo ostrożna. Ta moja słynna szczerłość jest ściśle kontrolowana. Muszę bardzo uważać, żeby nie wypaść z roli. Do późnej starości.

— Czemu nie wyjdiesz za mąż? Wiem, że miałaś wiele propozycji. Allegra nagle zeszywniała.

— O tym nie ma mowy — powiedziała.

— Czy dlatego, że...? — Maisie przerwała w pół słowa, a Allegra skinęła głową.

Na schodach rozległy się kroki. Służący otworzył drzwi i zaanonsował:

— Pan Segrave.

Do pokoju wszedł John. Miał raczej niepewną minę. Zastanawiał się, dlaczego stary go zaprosił. Gdyby tylko mógł, odmówiłby, ale to było niemożliwe. Dom szefa przytłaczał go solidną wspaniałością i grubymi, miękkimi dywanami.

Podeszła do niego młoda dziewczyna i podała mu rękę. Przypominał ją sobie dość mętnie. Chyba widział ją w gabinecie szefa.

— Witam pana, panie Segrave. A to panna Kerr.

I właśnie w tym momencie się obudził. Kim jest ta dziewczyna?! Skąd się tu wzięła?! Płomienny jedwab jej wieczorowej sukni, małe skrzydełka wpięte we włosy jak u Merkurego, kształtna grecka główka — wszystko to czyniło z niej postać ulotną, jakby gotową do ucieczki. Wśród ciężkich ciemnych mebli wyglądała niczym istota z innego świata.

Do pokoju wszedł Rudolf Wetterman. Miał na sobie smoking i mocno wykrochmaloną koszulę. Po niedługiej chwili wszyscy zeszli na parter do jadalni.

Allegra Kerr gawędziła z gospodarzem. John czuł, że powinien zabawić rozmową Maisie, ale był całkowicie skoncentrowany na idącej przed nim dziewczynie. Wydawała się niesłychanie efektowna. Jednak jej wdzięk był raczej wystudiowany niż naturalny. I jeszcze coś, pomyślał. Przypominała niespokojny płomyk, kapryśny, roztańczony, błędny ognik jak ze starej legendy, który wciągał mężczyzn w grzęzawiska. Nie wiedział, jak zacząć z nią rozmowę.

Maisie właśnie opowiadała ojcu, że niedawno spotkała ich starego przyjaciela. John uznał, że należy się teraz zająć Allegra. Ale nie potrafił wydobyć z siebie słowa. Popatrzył na dziewczynę nieśmiało, jakby prosił o pomoc.

— Są tematy na takie okazje — uśmiechnęła się Allegra. — Może pan zacząć od teatru lub od byle jakiego pytania, na przykład: czy lubi pani...?

John roześmiał się.

— Jeżeli się okaże, że oboje lubimy psy i nie znosimy kotów, to czy powstanie między nami tak zwana więź?

— Niewątpliwie — zapewniła Allegra.

— Może lepiej nie rozpoczynać od komunałów?

— No tak. Ale z nich składa się banalna towarzyska konwersacja.

— Z fatalnym rezultatem.

— Dobrze jest znać zasady gry, chociażby po to, by je łamać.

John uśmiechnął się.

— Wnoszę z tego, że oboje będziemy pleść, co nam tylko ślina na język przyniesie, a szczerść graniczy czasami z odrobiną szaleństwa.

Dziewczyna zrobiła szeroki gest i strąciła ze stołu kieliszek. Rozległ się dźwięk tłuczonego szkła. Maisie i jej ojciec zamilkli.

— Jakże mi przykro! — zawołała Allegra. — Stłukłam kieliszek.

— Droga Allegro, to bez znaczenia.

— Stłuczenie szkła przynosi pecha. Niedobrze się stało — powiedział cicho John Segrave.

— Niech się pan nie martwi. Jest też powiedzenie, które mówi, że pech nie szkodzi nikomu we własnym domu.

Allegra wdała się w rozmowę z panem Wettermanem, więc John zwrócił się ku Maisie. Usiłował sobie przypomnieć, skąd zna przypowieść o pechu. Wreszcie na to wpadł. Były to słowa użyte przez Sieglindę w operze „Walkirie”. Powiedziała tak do Zygryda, kiedy opuszczał dom.

Co też miała na myśli? — zastanawiał się, ale musiał odpowiedzieć Maisie, która zapytała go właśnie o zdanie na temat ostatniej rewii. Przyznał, że lubi muzykę.

— Po kolacji — oświadczyła Maisie — poprosimy Allegrę, żeby nam coś zagrała.

Wszyscy czworo udali się do salonu. Wetterman w cichości ducha uznawał ten zwyczaj za barbarzyński. Wolał, gdy panie wychodziły z jadalni i pozostawiały panów przy stole. Lubił te męskie chwile, kiedy podawano porto i cygara. Ale dzisiaj sytuacja była szczególna. Nie miał pojęcia, o czym mógłby rozmawiać z młodym Segrave'em. Maisie miewała naprawdę okropne kaprysy. I żeby ten młodzieniec był chociaż przystojny — naprawdę przystojny — albo interesujący. Ulżyło mu, gdy Maisie poprosiła Allegrę, żeby zasiadła do fortepianu. To może skróci wieczór. Ten młody idiota nawet nie znał zasad brydża.

Allegra grała całkiem nieźle, chociaż nieprofesjonalnie. Poczęstowała ich nowoczesną muzyką: Debussym, Ravelem i Skriabinem.

Potem przeszła do „Sonaty patetycznej” Beethovena, utworu wyrażającego bezbrzeżny smutek, odwieczną żalobę, lecz mimo to przepełnionej wolą przetrwania. Płynącego z niezłomną powagą potężnym rytmem ku ostatecznej zagładzie.

Pod koniec zaczęła fałszować, więc urwała gwałtownie. Popatrzyła na Maisie i roześmiała się drwiąco.

— Widzisz! — zawołała. — „Oni” mi nie pozwalają.

Potem, nie czekając na odpowiedź, zaczęła grać jakąś niesamowitą, natrętną melodię o dziwnym rytmie. Segrave nigdy w życiu nie zetknął się z takim utworem, lekkim jak lot ptaka, rozedrganym, lecz stojącym niemal w miejscu. Nagle, bez najmniejszego ostrzeżenia, Allegra przejechała palcami po klawiaturze, tworząc dysonans, istne kłębowisko nut, roześmiała się i wstała.

Mimo że uśmiechnięta, robiła wrażenie zdenerwowanej i jak gdyby przestraszonej. Przysiadła się do Maisie i John usłyszał, jak ta szepnęła jej do ucha:

— Nie powinnaś tego robić. Naprawdę, nie powinnaś.

— Czyj był ostatni utwór? — zapytał John z wielkim zainteresowaniem.

— Mój własny — odparła lakonicznie.

Pan Wetterman zmienił temat.

Tejże nocy Segrave'owi znowu przyśnił się Dom.

John był nieszczęśliwy. Życie dokuczało mu jak nigdy dotychczas. Do dziś znosił je cierpliwie, niby coś w rodzaju koniecznego zła, ale takiego, które pozostawiało mu wewnętrzną wolność. Teraz wszystko się zmieniło. Jego wewnętrzne życie pomieszało się z zewnętrznym.

Nie ukrywał przed sobą przyczyny tego zjawiska. Zdawał sobie sprawę, że zakochał się w Allegrze od pierwszego wejrzenia. I nic nie potrafił na to poradzić.

Tamtego wieczoru był tak tym zaskoczony, że nie potrafił powziąć żadnych planów. Nie próbował nawet ponownie zobaczyć się z Allegra. Wreszcie Maisie zaprosiła go na weekend do posiadłości

ojca. Przyjął to z entuzjazmem, ale ku swojemu rozczarowaniu nie zastał tam dziewczyny.

Zapytał o nią tylko raz i dowiedział się, że pojechała w odwiedziny do Szkocji. Miał wprawdzie ochotę porozmawiać o niej z Maisie, jednak słowa więzły mu w gardle.

Maisie zaś zdziwiło jego zachowanie. Jakby nie spostrzegał tego, co przecież było takie jasne. Maisie odznaczała się bezpośredniością i jasno dawała mu do zrozumienia, o co jej chodzi. John natomiast zdawał się niczego nie rozumieć. Uznał, że jest miła, choć trochę onieśmielająca.

Jednakże Parki, boginie losu silniejsze od Maisie, sprawiły, że już niebawem John zetknął się z Allegra.

Spotkał ją pewnego niedzielnego popołudnia w miejskim parku. Dostrzegł ją z daleka i serce zaczęło mu bić jak oszalałe. Co będzie, jeżeli ona go wcale nie zapamiętała?

A jednak rozpoznała go, przystanęła i przywitała się z nim. A po chwili spacerowali już ramię w ramię, wolno przemierzając zielony trawnik. John poczuł się szczęśliwy jak dureń.

— Wierzy pani w sny? — zapytał niespodziewanie.

— Wierzę w koszmary. Zdumiał go jej ochrypły głos.

— Nie chodzi mi o koszmary. Allegra spojrzała nań z ukosa.

— No tak — powiedziała. — W pana życiu nie było koszmarów. To jasne.

Jej głos był łagodniejszy niż przed chwilą.

I wtedy opowiedział jej, jękając się z lekka, swój sen o białym domu. Od tamtej nocy śnił o nim już sześć, a może siedem razy. Zawsze identycznie. Zawsze równie pięknie. Pięknie!

— Widzi pani, on ma z panią coś wspólnego. Po raz pierwszy przeżyłem go w noc przed naszym poznaniem — mówił dalej.

— A cóż ja mogę mieć z nim wspólnego? — Allegra roześmiała się urywanym, gorzkim śmiechem. — To wykluczone. Przecież mówi pan, że dom jest piękny.

— Podobnie jak pani — zapewnił John.

Allegra zarumieniła się. Była speszona.

— Przepraszam bardzo, zachowałam się tak, jak gdybym chciała wymusić na panu komplement. Ale nie. Wiem tyle, że moja powierzchowność nie jest niemiła.

— A ja jeszcze nie znam wnętrza tego domu... Kiedy je poznam, okaże się na pewno, że jest równie piękne jak jego fasada.

Mówił z powagą, kładąc nacisk na każde słowo. Allegra próbowała udawać, że tego nie zauważa.

— Chciałbym pani coś jeszcze powiedzieć, jeżeli pani pozwoli.

— Bardzo proszę.

— Rzucam pracę. Powinienem był to zrobić już dawno, ale dopiero teraz to sobie uświadomiłem. Od początku zadowalałem się życiem z dnia na dzień, zdając sobie sprawę, że jestem do niczego. I wcale mi to nie przeszkadzało. Żaden mężczyzna nie powinien tak egzystować. Trzeba mieć cel w życiu, dążyć do sukcesu. Teraz wszystko rzucam. Przyjąłem propozycję w zupełnie innej dziedzinie. Wyruszam z ekspedycją do Afryki Zachodniej. Nie mogę wtajemniczać pani we wszystkie szczegóły. Na razie to tajemnica. Wolno mi powiedzieć tylko tyle, że jeżeli wszystko się uda, zostanę zamożnym człowiekiem.

— Zatem pan też mierzy sukces pieniędzmi?

— Pieniądze — zawołał John — są mi potrzebne tylko w jednym celu! Żeby panią zdobyć! Jeżeli uda mi się powrócić — dodał cicho.

Allegra spuściła głowę. Twarz jej pobiadła.

— Nie zamierzam udawać, że nie rozumiem, o co panu chodzi. Dlatego oświadczam panu tu i teraz: nigdy nie wyjdę za mąż.

John zastanawiał się przez chwilę, a potem zapytał łagodnie:

— Czy może mi pani wytłumaczyć dlaczego?

— Owszem, mogłabym, ale panu nie wyznam tego za żadne skarby świata.

John znowu milczał. Nagle uniósł głowę i uroczy uśmiech rozjaśnił jego twarz fauna.

— Rozumiem — powiedział. — Pani nie chce, żebym wszedł do wnętrza domu, a nawet, żebym chociaż przez sekundę rzucił na niego okiem. Okiennice mają pozostać zamknięte.

Allegra zwróciła się ku niemu i dotknęła jego dłoni.

— Powiem panu coś. Dla pana ten dom jest snem. Dla mnie koszmarem.

Wypowiedziawszy te słowa, bez pożegnania ruszyła szybkim krokiem przed siebie.

Tej nocy sen się powtórzył. John nabrał przekonania, że Dom jest zamieszkały. Raz nawet zauważył rękę otwierającą okiennice, a potem cienie jakichś postaci.

Owej nocy Dom zdawał się piękniejszy niż kiedykolwiek. Białe ściany połyskiwały w promieniach gorącego słońca. Piękno Domu, emanujący zeń spokój miały wymiary nieskończoności.

Niespodziewanie John poczuł przyływ radości. Ktoś podszedł do okna. Znał tę osobę. Ręka, ta sama ręka, którą widział poprzednio, zamykała okiennice. Za chwilę zobaczy twarz tej osoby...

Przebudził się nagle. Drżał na całym ciele z przerażenia, z dzikiej nienawiści do Tego Czegoś, co spojrzało na niego przez okno Domu.

Było to coś potwornego, coś tak strasznego i wstrętnego, że na samo wspomnienie ogarnęły go mdłości. Najgorsza okazała się obecność potwornej istoty wewnątrz jego Domu — jego Pięknego Domu.

Ta istota, ta Rzecz była symbolem grozy — grozy, która niweczyła spokój i ciszę tak ściśle związaną z aurą domostwa. Niweczyła to cudowne, bezbrzeżne piękno, jakie dotychczas w nim panowało, bezcześciła uświęcone ściany, okrywała je cieniem Rzeczy Nieczystej!

Segrave zrozumiał, że jeżeli kiedykolwiek jeszcze przyśni mu się Dom, to przebudzi się zlany potem strachu, strachu przed ową Rzeczą, która mogła przecież nagle spojrzeć mu prosto w twarz.

Nazajutrz wieczorem, natychmiast po pracy, poszedł do Wettermanów. Chciał koniecznie porozmawiać z Allegrą Kerr. Maisie na pewno wie, gdzie można ją znaleźć.

Nawet nie zauważył radości w oczach Maisie, która zerwała się z fotela, by go przywitać. Natychmiast, jeszcze zanim ich dłonie się rozdzieliły, wymamrotał pytanie:

— Wczoraj spotkałem się z panną Kerr, ale nie mam jej adresu. Nie poczuł, jak dłoń Maisie wiotczeje, nie zwrócił uwagi na chłód jej głosu.

— Allegra jest u nas, ale obawiam się, że nie będzie mogła się z panem zobaczyć.

— Ależ...

— Dziś rano zmarła jej matka. Dowiedzieliśmy się o tym przed chwilą.

— Och! — jęknął zaskoczony John.

— To strasznie smutne — ciągnęła Maisie. Zawahała się chwilę, po czym dodała: — Ona... widzi pan... umarła w czymś w rodzaju domu opieki. Wszyscy w tej rodzinie mają odchylenia od normy. Dziadek Allegry się zastrzelił, jedna z jej ciotek jest umyślowo chora, druga się utopiła.

John wymamrotał coś niezrozumiałego.

— Uważam, że powinien pan o tym wiedzieć. Jesteśmy wszak przyjaciółmi. Wiem, że Allegra jest bardzo pociągająca. Miała mnóstwo propozycji małżeńskich, ale z oczywistych powodów postanowiła nie wychodzić za mąż. Ma chyba rację, prawda?

— Ona jest zupełnie normalna. Nie zauważyłem żadnego odchylenia od normy. — Zdziwił go ochryply, nienaturalny ton własnego głosu.

— Tego nie można przewidzieć. Matka Allegry w jej wieku też wydawała się zupełnie normalna. Ale później... nawet nie można było powiedzieć, że jest trochę dziwna. Po prostu rozchorowała się na dobre. Była naprawdę obłąkana. To straszne.

— Tak. To straszna rzecz — powtórzył John. Wiedział już, co patrzyło na niego z okna Domu. Maisie jeszcze coś mówiła. Przerwał jej niegrzecznie:

— Przyszedłem tutaj, żeby się pożegnać i podziękować pani za wszystko.

— Czyżby pan wyjeżdżał?

W jej głosie słychać było niepokój.

Uśmiechnął się do niej — krzywym, smutnym, a jednak pociągającym uśmiechem.

— Tak — przyznał. — Wybieram się do Afryki.

— Do Afryki — powtórzyła odruchowo Maisie.

Zanim to sobie uświadomiła, John potrząsnął na pożegnanie jej ręką i zniknął za drzwiami. Na policzkach dziewczyny zakwitły rumieńce złości.

John spotkał Allegrę na progu domu. Wracała z miasta. Spojrzała na niego przelotnie i zaciągnęła do małego saloniku na parterze.

— Maisie wszystko panu powiedziała? — zagadnęła. — Już pan wie?

Skinął potwierdzająco głową.

— To nie ma żadnego znaczenia. Przecież pani jest zdrowa. To... to nie zawsze jest dziedziczne.

Popatrzyła na niego ze smutkiem.

— Pani jest zdrowa — powtórzył.

— Nie wiem tego na pewno — wyszeptła. — Naprawdę nie. Mówiłam panu... o moich koszmarach. Czasami, kiedy gram na fortepianie, „Oni” przychodzą i łapią mnie za ręce.

John patrzył na nią jak porażony. Przez ułamek sekundy zobaczył w jej oczach coś bardzo dziwnego. Tak przelotnego, że niemal niedostrzegalnego. Ale zrozumiał, co to jest. To Coś, co patrzyło na niego przez okno Domu.

Allegra zauważyła jego reakcję.

— No widzisz — szepnęła. — No widzisz. Żałuję, że Maisie ci o tym powiedziała. To ci odbiera wszelką nadzieję.

— Wszelką?

— O, tak. Nie pozostanie ci nawet sen o Domu, bo teraz ze strachu nie dopuścisz go do siebie.

Zachodnioafrykańskie słońce silnie przygrzewało. Panował potężny upał.

John Segrave ciągle majaczył:

— Nie mogę go znaleźć. Nie mogę go znaleźć.

Niewysoki angielski lekarz o rudych włosach i wydatnym podbródku przyglądał się swojemu pacjentowi z niezadowoleniem.

— Co on tak ciągle powtarza? Co to znaczy?

— Chyba śni mu się jakiś dom, *monsieur* — odparta cichym głosem siostra miłosierdzia z misji katolickiej i łagodnym wzrokiem obrzuciła leżącego na łóżku mężczyznę.

— Dom? No cóż, musi wybić sobie ten sen z głowy, bo inaczej go nie uratujemy. Ten dom go dręczy! Segrave! Segrave!

John ocknął się i niemal przytomnie spojrzął na lekarza.

— Panie, niech pan mnie posłucha. Wyciągnę pana z tego, ale niech pan przestanie myśleć o tym domu. On panu nie ucieknie. Więc niech pan przestanie teraz na niego patrzeć.

— W porządku — wymamrotał zgodnie John. — Tak, bez wątpienia ma pan rację. On mi nie ucieknie, zwłaszcza że nie wiadomo, czy w ogóle istnieje.

— Oczywiście, że nie istnieje — roześmiał się rubasznie doktor. — Teraz wyzdrowieje pan w ciągu kilku dni. — Zrobił szeroki gest ręką i pospiesznie się oddalił.

Segrave leżał i rozmyślał. Gorączka chwilowo ustąpiła, więc miał jaśniejszy umysł. Musi odnaleźć Dom.

Przez dziesięć lat bał się, że go odnajdzie. A najbardziej lękał się tego, że zobaczy go zniecka. Kiedy wreszcie przestał o nim myśleć, Dom odnalazł jego. Doskonale pamiętał lęk, jaki go wówczas ogarnął, a także nagłe, wspaniałe poczucie ulgi. Okazało się bowiem, że Dom jest pusty!

Zupełnie pusty i bardzo cichy. Taki jak dziesięć lat temu. Niczego nie zapomniał. Powoli oddalał się wielki czarny wóz. Ostatni lokator wyprowadzał się z Domu na dobre. Segrave podszedł do tragarzy i coś do nich mówił. Czarny wóz robił groźne wrażenie. Konie także były czarne, miały bujne ogony i grzywy. Również cała obsługa była od stóp do głów ubrana na czarno. Coś mu to mętnie przypominało, ale co?

Tak, potwierdziło się jego wrażenie. Ostatni lokator właśnie się wyprowadzał z całym dobytkiem. Umowa najmu wygasła. Dom miał pozostać nie zamieszkanym aż do powrotu właściciela z zagranicy.

John, już całkiem przebudzony, wchłaniał w siebie piękno opustoszałego Domu.

Miesiąc później otrzymał list od Maisie (pisywała do niego regularnie co cztery tygodnie), w którym zawiadamała go, że Allegra Kerr nie żyje, że umarła w tym samym zakładzie co jej matka. „Jakie to smutne — pisała. — Jakże strasznie smutna jest ta śmierć, choć przecież wyzwala”.

Co za dziwna historia. Wiadomość o śmierci Allegry tuż po śnie o przeprowadzce! Nic z tego nie rozumiał, ale mógł się zastanawiać przynajmniej nad tym zbiegiem okoliczności.

Najgorsze było jednak to, że potem nie mógł już znaleźć Domu. Zgubił do niego drogę.

Gorączka znów narastała. Rzucił się niespokojnie w pościeli. Przypomniał sobie nagle, że Dom stoi na wzgórzu, że trzeba się wspinać, by do niego dojść. Panował taki straszliwy upał. Z wielkim wysiłkiem poruszał nogami, uparcie posuwając się krok za krokiem. Och! Poślizgnął się. Musi jeszcze raz zacząć od samego dołu. W górę, w górę, w górę! Mijały dni, tygodnie — a może lata. Tego nie wiedział. I wciąż wspinał się na wzgórze!

Raz dotarł do niego głos doktora. Ale John nie zatrzymał się, żeby zrozumieć, co lekarz mówi. A zresztą był pewien, że każe mu przestać, dać sobie spokój z Domem. Myślał bowiem, że chodzi o zwykły dom. Nie znał prawdy.

Segrave uświadomił sobie nagle, że musi być spokojny, bardzo spokojny. W przeciwnym razie nigdy nie znajdzie Domu. Pośpiech, nerwowa szarpanina na nic się zdadzą.

Ach, gdyby tylko mógł zachować spokój! Ale było tak wściekle gorąco! Gorąco? Wcale nie. Było zimno, tak, zimno. A on wspinał się nie po skałach, ale po lodowcach — obłych, śmiertelnie zimnych górach.

Był taki zmęczony! Trzeba się zatrzymać — ten wysiłek nic nie da. Och! Wszedł na jakąś ścieżkę. Wolał ją od lodowca. Ścieżka była zielona, cieniasta, chłodna. I te drzewa! Jakie wspaniałe! Przypominały mu coś, ale co? Nie potrafił sobie tego uświadomić. Tylko czy miało to jakiegokolwiek znaczenie?

No i kwiaty. Żółte i błękitne! Było tu pięknie i dziwnie swojsko. Bez wątpienia już to kiedyś widział. Między drzewami majaczył stojący na wzniesieniu Dom. Wszystko tu było cudowne. Zielona ścieżka, drzewa, kwiaty, ale nawet ich nie można było porównywać z niezwykłą urodą Domu.

Przyspieszył kroku. I pomyśleć, że nigdy nie był w środku! Co za głupota! Przecież cały czas miał w kieszeni klucz!

Był pewien, że piękno fasady Domu jest niczym w porównaniu z jego wnętrzem — szczególnie teraz, kiedy właściciel powrócił z zagranicy. Segrave wspiał się po szerokich schodach, wiodących do frontowych drzwi.

Brutalnie odciągnęły go od nich silne ręce. Szarpały go na wszystkie strony, w prawo, w lewo, w przód, w tył.

Doktor potrząsał nim, krzycząc:

— Trzymaj się, człowieku! Nie daj się! Poradzisz sobie! Trzymaj się! No, trzymaj się!

Oczy doktora były szeroko otwarte, sprawiał wrażenie, że widzi wroga. John zastanawiał się, kim mógł być ten Nieprzyjaciel. Siostra w czarnym habicie modliła się żarliwie. To też wydawało się dziwne.

A on, John, pragnął tylko, żeby mu dano święty spokój. Żeby mógł wejść do Domu. A ten z każdą minutą zdawał się blaknąć.

Na pewno dlatego, że doktor jest taki silny. A on, John, zbyt słaby, by mu się przeciwstawić. Och, gdyby tylko mógł!

Ale stop! Był na to sposób — niechaj sen się zakończy, tak jak kończą się sny w momencie przebudzenia. Nie ma takiej siły, która mogłaby je zatrzymać. Sny po prostu się ulatniają. Ręce doktora nie utrzymają Johna, jeśli się poślizgnie — jeżeli zwyczajnie się poślizgnie!

Tak, to był jedyny sposób! Znowu zobaczył białe ściany, słyszał coraz słabszy głos doktora, uchwyt jego rąk był ledwie odczuwalny. John zrozumiał teraz, że sny śmieją się z ludzi, kiedy im umykają!

Stanął przed frontowymi drzwiami Domu. Dookoła panowała pełna cisza. John wsunął do zamka klucz i wolno go przekręcił.

Zatrzymał się na chwilę, by do syta nacieszyć się absolutnie wspaniałą, skończoną, nieporównywalną z niczym pełnią szczęścia.

A potem... a potem przekroczył Próg.

Posłowie

„Dom ze snu” po raz pierwszy ukazał się w „Sovereign Magazine”. Opowiadanie to zostało uzupełnione wersją innego, noszącego tytuł „Przepiękny Dom”, napisanego przez Agathę Christie tuż przed pierwszą wojną światową. Autorka w swojej autobiografii określa je jako „pierwszą rzecz, jaką napisałam, która wskazywała na odrobinę talentu”. Podczas gdy pierwsza wersja jest trochę niejasna i może nazbyt ponura w tonie, „Dom ze snu” przypomina raczej tajemnicze opowieści o duchach z okresu edwardiańskiego, a szczególnie twórczość E. F. Bensona. Jest ona znacznie bardziej zrozumiała i mniej introspektywna niż pierwsza. Autorka starannie ją przejrzała przed oddaniem do druku. Pragnęła uwiarygodnić postacie kobiet, stonować nieco tajemniczość Allegry i rozbudować postać Maisie. Podobny temat porusza w innym ze swych wczesnych opowiadań: „Zew skrzydeł” ze zbioru „The Hound of Death” (1933).

W 1938 roku, zastanawiając się nad „Przepięknym Domem”, mówi: „podczas gdy obmyślanie go należało do przyjemności, samo pisanie okazało się niezwykle trudne. Ziarno zostało wysiane — miałam mnóstwo czasu. Kiedy trafiał mi się wolny dzień, wymyślałam sobie opowiadanie. Nieodmiennie ze smutnym zakończeniem, często pełne wzniosłych, umoralniających sentencji”. W tych wczesnych latach do pisania zachęcał Agathę jeden z jej sąsiadów w Dartmoor, Eden Phillpotts, znany pisarz i stary przyjaciel rodziny. Służył Agacie Miller, jak nazywała się z domu, radą i pomocą i polecał jej lektury, których styl i słownictwo mogłyby ją zainspirować. W późniejszych latach, kiedy sława Agathy Christie daleko przerosła popularność Phillpotts’a, autorka wspominała, ile tak potrzebnego młodym pisarzom taktu i życzliwości miał jej sąsiad. „Jestem szczęśliwa, że obdarzał mnie wyłącznie zachętą, nie słyszałam od niego słów krytyki”. Po śmierci Phillpotts’a napisała: „Nigdy nie zdołam wyrazić ogromu wdzięczności za okazywaną mi życzliwość, gdy byłam młodą, początkującą autorką”.

Aktorka

Ubogo odziany mężczyzna, siedzący w czwartym rzędzie na parterze, wysunął się naprzód, zmrużył niespokojne oczy i patrzył z niedowierzaniem na scenę.

— Nancy Taylor — mruknął pod nosem. — Mała Nancy Taylor, jak Boga Kocham!

Zerknął do programu. Jedno z nazwisk wydrukowano nieco grubszą czcionką.

— Olga Stormer! Więc taki przybrała pseudonim. Wyobrażasz sobie zapewne, młoda damo, że jesteś gwiazdą, co? I na pewno nieźle zarabiasz. Zapomniałaś, że jeszcze nie tak dawno byłaś zwyczajną Nancy Taylor. Ciekaw jestem, co byś powiedziała, gdyby Jake Levitt ci o tym przypomniał.

Skończył się pierwszy akt, opadła kurtyna. Widownia wybuchła entuzjastycznymi oklaskami. Olga Stormer, wielka aktorka dramatyczna, której nazwisko znane było od kilku lat w prawie każdym angielskim domu, raz jeszcze zatriumfowała jako Cora w sztuce „Anioł zemsty”.

Jake Levitt nie klaskał, ale na jego wargach zakwitł pełen zadowolenia uśmiešek. Boże! Co za szczęśliwy przypadek! I to właśnie w chwili, gdy znalazł się w wielkich tarapatach. Nancy z pewnością spróbuje blefować, ale nie z nim takie sztuczki, o nie! A on, jeżeli dobrze odegra swoją rolę, znajdzie się w posiadaniu istnej kopalni złota!

Nazajutrz rano poczynił pierwsze kroki, mające go do tej kopalni doprowadzić. Olga Stormer siedziała w swoim salonie o wystroju z czerwonej laki i czarnych zasłonach. Po raz nie wiedząc który czytała zaskakujący list. Jej ruchliwa, blada twarz o pięknie rzeźbionych rysach miała — być może — surowszy niż zazwyczaj wyraz. Aktorka od czasu do czasu otwierała szarozielone oczy i patrzyła w przestrzeń, zupełnie jak gdyby stamtąd, a nie z treści listu, spodziewała się niebezpieczeństwa.

— Panno Jones! — zawołała cudownym głosem, który to drżał z emocji, to znów potrafił upodobnić się do stukotu maszyny do pisania.

Z sąsiedniego pokoju przybiegła starannie ubrana młoda kobieta w okularach na nosie, uzbrojona w bloczek do stenografowania i ołówki.

— Proszę zadzwonić do pana Danahana i poprosić, żeby natychmiast przyszedł.

Niebawem zjawił się Syd Danahan, impresario Olgi. Był typowym okazem człowieka, którego życie upływa na załatwianiu cudzych spraw i służeniu innym, a zwłaszcza na spełnianiu kaprysów artystek. Uspokajanie, grożenie, namawianie, odwodzenie od takich czy innych zamiarów stanowiło jego chleb powszedni. Syd stwierdził z ulgą, że Olga jest spokojna i zrównoważona. Rzuciła mu przez stół jakiś świstek.

— Proszę to przeczytać.

List napisany był niewprawną ręką na lichym papierze.

Szanowna Pani,

Jestem pełen uznania dla Pani za jej rolę w „Aniele zemsty”. Wydaje mi się, że mamy wspólną znajomą w osobie panny Nancy Taylor z Chicago. Wkrótce ukaże się w druku artykuł na jej temat. Gdyby miała Pani ochotę omówić jego treść, gotów jestem odwiedzić Ją w dogodnej dla Niej porze.

Z szacunkiem

Jake Levitt

Danahan był nieco zdziwiony.

— Nie bardzo rozumiem. Kim jest owa Nancy Taylor?

— Wolałabym, żeby nie było jej na świecie — odparła ponuro aktorka. Robiła wrażenie zmęczonej i nagle zaczęła wyglądać na swoje trzydzieści cztery lata. — Była martwa do chwili, w której przywrócił ją do życia ten złowrogi kruk!

— Ach, tak...

— Tak, Danny, to ja nią jestem.

— Co, oczywiście, oznacza szantaż. Skinęła głową.

— O tak, i to ze strony człowieka, który wie, jak to się robi. Danahan zmarszczył brwi i zamyślił się. Olga podparła głowę smukłą ręką i patrzyła na niego z napięciem.

— Mogłabyś zblefować. Wyprzeć się wszystkiego. Ten człowiek nie może być pewien, czy nie jesteś kimś łudzaco do tamtej podobnym.

Olga potrząsnęła głową.

— Levitt żyje z szantażowania kobiet. On wie, co robi.

— Może policja? — podsunął Danahan.

Miał odpowiedzieć, uśmiechnęła się tylko blado. Doskonale nad sobą panowała i zręcznie ukrywała zniecierpliwienie jego powolnością. Zastanawiał się nad czymś, co jej żywa inteligencja

pochwyciła niemal w mgnieniu oka.

— Nie uważasz, że byłoby dobrze, gdybyś zwierzyła się z tego sir Richardowi? Pozwoliłoby mu to przynajmniej trochę się przygotować, zanim wybuchnie skandal.

Jej zaręczyny z posłem do parlamentu, sir Richardem Everardem, ogłoszone zostały kilka tygodni temu.

— Wyznałam Richardowi wszystko, kiedy mi się oświadczył.

— Świetnie! Mądre posunięcie! — powiedział Danahan z podziwem.

Olga uśmiechnęła się blado.

— To żadna mądrość, drogi Danny. Nie zrozumiesz tego. No, ale jeżeli ten Levitt robi to, czym grozi, będę skończona, a przy okazji skończy się parlamentarna kariera Richarda. Widzę tylko dwa wyjścia z sytuacji.

— Jakie?

— Zapłacić mu, ale przecież w takim przypadku szantażowi nie będzie końca. Albo wyjechać i zacząć wszystko od początku. — W jej głosie zabrzmiało wielkie zmęczenie. — Nie zrobiłam niczego, czego miałabym teraz żałować. Byłam wiecznie głodną sierotą i próbowałam się za wszelką cenę ratować. Zastrzeliłam człowieka. Ale to był potwór, który na to zasługiwał. Zwłaszcza w okolicznościach, jakie każdy sąd wzięłby pod uwagę i na pewno mnie uniewinnił. Teraz to już wiem, ale wtedy byłam tak przerażona, że uciekłam.

Danahan skinął głową.

— Czy mamy coś na tego człowieka? — zapytał bez większej nadziei w głosie.

Olga potrząsnęła głową.

— Chyba nie. Jest zbyt wielkim tchórzem, żeby zrobić coś naprawdę kryminalnego — westchnęła z udręką. — O tak, to tchórz. Zastanawiam się, czy nie można by tego jakoś przeciwko niemu wykorzystać.

— Może sir Richard spotkałby się z nim i jakoś go nastraszył? — zastanawiał się Danahan.

— Richard jest na to zbyt delikatny. Do ludzi takich jak ten drań nie można podchodzić w rękawiczkach.

— Wobec tego ja się z nim rozprawię.

— Danny, daruj, ale ty też się do tego nie nadajesz. Tutaj potrzebna jest kombinacja miękkich rękawiczek i twardych pięści. A może najlepsze byłyby mitenki! A to oznacza kobietę! Tak, tak, kobieta byłaby najlepsza. Kobieta obdarzona pewną dozą finezji, która z własnego gorzkiego

doświadczenia zna ponure strony życia. Na przykład Olga Stormer! Poczekaj! Nic nie mów, coś mi zaczyna świtać. — Pochyliła głowę i zakryła twarz dłońmi. Po chwili opuściła ręce. — Jak się nazywa ta dziewczyna, którą przygotowywałeś jako moją dublerkę? Chyba Margaret Ryan? Ta, która ma identyczne jak ja włosy?

— Włosy ma w porządku — mruknął Danahan, przyglądając się złotobrazowemu warkoczowi okalającemu głowę Olgi. — Rzeczywiście, są bardzo podobne do twoich. Ale poza tym dziewczyna jest do niczego. W przyszłym tygodniu zamierzam jej wymówić.

— Jeżeli wszystko dobrze pójdzie, prawdopodobnie będziesz musiał obsadzić ją w roli Cory. — Gestem dłoni oddaliła jego protesty. — Danny, powiedz mi szczerze, czy uważasz mnie za dobrą aktorkę? Naprawdę dobrą? A może jestem tylko ładną kobietą, która snuje się po scenie w pięknych toaletach?

— Czy jesteś dobrą aktorką? Olgo, na Boga, nie było takiej od czasu Duse.

— Wobec tego, jeżeli Levitt jest rzeczywiście tchórzem, to wszystko się uda. O nie, nie zamierzam cię we wszystko wtajemniczać. Proszę cię tylko, żebyś się porozumiał z tą małą Ryan. Powiedz jej, że się nią interesuję i zapraszam ją jutro na kolację. Na pewno się ucieszy.

— Niewątpliwie.

— Poza tym musisz zdobyć dla mnie jakieś usypiające kropelki, takie, co to nokautują człowieka na parę godzin i nie wywołują nazajutrz bólu głowy.

Danahan uśmiechnął się.

— Nie gwarantuję, że nasza przyjaciółeczka nie dostanie migreny, ale z pewnością nie dozna uszczerbku na zdrowiu.

— Świetnie! A teraz idź już sobie, Danny. Resztę pozostaw mnie. Panno Jones! — zawołała głośno.

Młoda okularnica jak zawsze zjawiała się natychmiast.

— Chcę pani coś podyktować.

Przechadzając się wolno po pokoju, Olga dłuższy czas dyktowała odpowiedzi na pocztę dnia. Lecz na jeden list odpowiedziała własnoręcznie.

W swoim nędznym pokoju Jake Levitt uśmiechnął się do siebie. Z satysfakcją otworzył kopertę i wyciągnął z niej arkusik papieru.

Drogi Panie!

Nie przypominam sobie kobiety, o której Pan wspomina, ale widuję tak wiele osób, że nie mogę być pewna. Zawsze jestem gotowa pomóc koledze po fachu. Jestem dziś wieczorem w domu i jeżeli zechce się Pan pofatygować, mogę go przyjąć o dziewiątej.

Z poważaniem

Olga Stormer

Levitt skinął głową z uznaniem. Bardzo cwany tekścik! Nie przyznaje się do niczego, ale jest gotowa do rozmów. Najwyraźniej kopalnia złota stawała się realna.

Punktualnie o dziewiątej Levitt stał pod drzwiami apartamentu Olgi i naciskał dzwonek. Nikt nie odpowiadał i Levitt już chciał zadzwonić po raz drugi, gdy się zorientował, że drzwi wejściowe są otwarte. Pchnął je lekko i wszedł do holu. Na prawo zobaczył szeroko otwarte drzwi do jasno oświetlonego salonu o szkarłatno–czarnym wystroju. Pod stojącą na stole lampą ujrzał dużą kartkę, na której widniały słowa:

Proszę poczekać na mój powrót — O. Stormer

Usiadł i uzbroił się w cierpliwość. Jednak w sercu poczuł nieuchwytnie ukłucie strachu. W apartamencie panowała niesamowita wprost cisza.

Nie ma w tym nic groźnego, uspokajał sam siebie, ale było mu nieswojo. Miał prawie pewność, że nie jest tu sam. Nonsens! Otarł pot z czoła. A jednak to dziwne uczucie tylko przybrało na sile.

W tym pokoju na pewno ktoś był! Jake zaklął pod nosem. Za chwilę pojawi się gospodyni, a wtedy...

Nagle zmartwiał i wydał z siebie stłumiony okrzyk. Zza czarnej aksamitnej zasłony wysunęła się ludzka ręka! Stał jak sparaliżowany, ale po chwili jej dotknął. Zimna! Strasznie zimna! Ręka trupa!

Jęknął głucho i rozsunał draperię. Za nią leżało ciało kobiety. Jedna ręka odrzucona, druga bezwładnie wyciągnięta. Leżała twarzą do podłogi, na jej karku wiły się gęste złotobrazowe loki.

Olga Stormer! Drżącymi dłońmi ujął jej lodowaty nadgarstek. Szukał tętna. Kobieta nie żyła. Wyniknęła mu się, wybierając najprostszą formę ucieczki.

Nagle jego wzrok przyciągnął widok dwóch krańców czerwonego sznura, zakończonych frędzlą i na pół ukrytych w gęstych włosach nieboszczki. Dotknął ich ostrożnie. Wtedy głowa opadła. Levitt zobaczył twarz wykrzywioną w straszliwym grymasie. Odskoczył z krzykiem, zakręciło mu się w

głowie. Czegoś tu nie rozumiał. Szybkie spojrzenie na zmarłą przekonało go, że nie popełniła samobójstwa, lecz została zamordowana! Uduszona! A poza tym nie była to wcale Olga Stormer!

Och! A to co? Za plecami usłyszał niewyraźny dźwięk. Obrócił się błyskawicznie i spojrzał prosto w przerażone oczy młodej służącej, która kulila się pod ścianą. Twarz miała równie białą jak czepeczek i fartuszek, przykrywający jej spódniczkę. Ale na dobre przeraził się dopiero wtedy, kiedy dziewczyna, wybałuszając oczy, wybełkotała:

— O mój Boże! Pan ją zabił!

Nie całkiem jeszcze uświadamiając sobie niebezpieczeństwo, w jakim się znalazł, odparł:

— O nie, nie żyła już, kiedy ją znalazłem.

— Przecież widziałam na własne oczy, jak pan zacisnął sznur i udusił panią. Słyszałam jej charczenie.

Pot wystąpił mu na czoło. Odtworzył sobie w myślach ruchy, jakie wykonał w ciągu ostatnich kilku minut. Dziewczyna musiała wejść do salonu w chwili, kiedy trzymał w dłoniach frędzle czerwonego sznura. Zobaczyła opadającą głowę zamordowanej kobiety, a jego krzyk przypisała ofierze. Przyjrzał się uważnie drobnej dziewczynie. Na jej twarzy malowały się tępota i przerażenie. Na pewno powie policji, że była świadkiem zbrodni, i żaden krzyżowy ogień pytań nie zachwieje jej przekonania. Tego był pewien. Pod przysięgą dziewczyna zgubi go, w pełni przekonana, że mówi prawdę.

Co za straszny, nieprzewidziany zbieg okoliczności! Diabli nadali! Wiedziony instynktem, rzekł wpatrując się w pokojówkę:

— To nie twoja pani. Widzisz chyba?

Jej mechaniczna odpowiedź rzuciła nowe światło na sytuację.

— Wiem, że to nie ona, to jej przyjaciółka. Też aktorka. Były z sobą na noże. Kłóciły się jak pies z kotem. Dzisiaj też wybuchła awantura.

A więc to pułapka! Zrozumiał to natychmiast.

— Gdzie twoja pani?

— Wyszła jakieś dziesięć minut temu.

O, tak. To była pułapka. A on wszedł w nią potulnie jak baranek. Co za cwaniara, co za diablica z tej Olgi Stormer. Za jednym zamachem pozbyła się rywalki, z niego zaś zrobiła mordercę. Morderstwo! Mój Boże, przecież za morderstwo grozi stryczek. A on jest niewinny... niewinny!

Nagle coś zaszeleściło. Mała służąca ostrożnie ruszyła ku drzwiom. Widać odzyskiwała równowagę. Patrzyła to na telefon, to na drzwi. Trzeba ją za wszelką cenę uciszyć. Nie ma innego wyjścia. Jeżeli grozi mu stryczek, to niech będzie przynajmniej za prawdziwą zbrodnię, a nie za

fikcję. Ani on, ani nieboszczka nie mieli żadnej broni. Ale on miał silne dłonie! Nagle serce podskoczyło mu do gardła. Na stoliku, przy którym stała służąca, prawie w zasięgu jego ręki leżał mały, ozdobny rewolwer. Gdyby chwycił go pierwszy...

Coś ją ostrzegło. Instynkt, a może jego spojrzenie. Ubiegła go, zanim doskoczył do stolika, chwyciła broń i skierowała w jego pierś. Palec trzymała na spuście. Z tak niewielkiej odległości nie mogła chybić. Levitt znieruchomiał. Był pewien, że rewolwer należący do kobiety takiej jak Olga Stormer jest nabyty.

Dziewczyna przesunęła się ku niemu. Nie odgradzała go już od drzwi. Postanowił zaryzykować. Zygzakiem przemierzył pokój, hol i dotarł do drzwi frontowych. Szybko zatrzaskał je za sobą. Słyszał, jak pokojówka woła drżącym głosem:

— Policja! Ratunku! Morderstwo!

Musiałyby krzyczeć znacznie głośniej, żeby ją usłyszano. Błyskawicznie pokonał kilka schodków i znalazł się na opustoszałej ulicy. Natychmiast zwolnił kroku. Jakiś starszy człowiek właśnie zniknął za rogiem. Levitt w mgnieniu oka wymyślił plan ucieczki. Postanowił możliwie jak najszybciej pojechać na Gravesend. Wiedział, że jeszcze tego wieczoru odpływa stamtąd w dalekie strony statek. Znał kapitana i orientował się, że ten za niewielką sumę powstrzyma swoją ciekawość. Marzył o tym, by się znaleźć na pokładzie sunącego pełną parą statku. Wtedy poczuje się bezpieczny.

O jedenastej w mieszkaniu Danahana zadzwonił telefon. W słuchawce rozległ się głos Olgi.

— Przygotuj dla panny Ryan kontrakt na zastępstwo w roli Cory. Nie sprzeciwiaj mi się, to nic nie da. Jestem jej coś winna za dzisiejszy wieczór. Za wszystko, co dla mnie zrobiła. Słucham? Owszem, chyba wybrnęłam z tarapatów. Ale słuchaj, jeżeli ona opowie ci jutro, że jestem świetną hipnotyzerką i że wprowadziłam ją w trans, nie okaz wielkiego zdziwienia. Jak ja to robię? Wlałam jej do kawy te nasenne krople, wymalowałam jej twarz na sino i założyłam jej na lewe ramię opaskę. Nic nie rozumiesz? Jutro ci wszystko wytłumaczę. Teraz nie mam czasu. Muszę zdjąć czepeczek i fartuszek, zanim moja ukochana Maude wróci z kina. Powiedziała mi, że dzisiaj grają „piękny dramat”. Nie wie, że najpiękniejszy „dramat” miał miejsce przed chwilą w naszym salonie. Zagrałam dzisiaj moją najlepszą rolę. Wszystko poszło na medal! Jake Levitt rzeczywiście jest strasznym tchórzem. A ja? Ja, Danny, jestem znakomitą aktorką.

Posłowie

Opowiadanie „Aktorka” ukazało się po raz pierwszy w „Novel Magazine” w maju 1923 roku pod tytułem „Pułapka na nieostrożnych”. Pod tym samym tytułem wydrukowano je w 1990 roku w tomiku wydanym z okazji setnej rocznicy urodzin Agathy Christie.

Opowiadanie o zręcznym powtarzaniu po raz któryś tego samego wątku, w tej samej formie, ale z innej perspektywy lub z pewnymi subtelными, lecz znaczącymi zmianami, ma służyć do zmylenia czytelnika. Prosty zabieg, polegający na żonglerce fabułą, pojawia się w kilku innych nowelkach Agathy Christie, a zwłaszcza w intrygującym opowiadaniu „Zdarzenie w bungalowie” („The Affair in the Bungalow”) z tomiku „Trzynaście opowiadań” i w powieści „Zło, które żyje pod słońcem”, w której jako detektyw występuje Poirot.

Niniejsze opowiadanie przypomina, że Agatha Christie napisała również wiele słynnych sztuk teatralnych. Pierwsza z nich — o której autorka wyraziła się, że jest „bardzo ponurym dramatem, a chodzi w niej — o ile mnie pamięć nie myli — o kazirodztwo” — nigdy nie została wystawiona. Jej ulubionym dziełem scenicznym był „Świadek oskarżenia” (1953), ale największy rozgłos niewątpliwie uzyskała „Pułapka na myszy” (1952), która po bez mała pięćdziesięciu latach wciąż jest obecna na londyńskich scenach. „Pułapka”, w której morderca zręcznie oszukuje swoje potencjalne ofiary, opiera się głównie na solidnej znajomości psychiki widowni, jej reakcji na to, co widzi i słyszy na scenie, i na niebywalej wprost umiejętności manipulowania nią. Po londyńskiej premierze „Pułapki” recenzent „Timesa” napisał, że „jest to dzieło idealnie spełniające szczególne wymogi teatru”. Każdy, kto widział tę sztukę lub ją dokładnie przestudiował, wie, że jej tajemnica polega na tym, iż niewielu widzów potrafi odgadnąć zaskakujące zakończenie.

Na krawędzi

Klara Halliwell szła szybko ścieżką, dzielącą jej niewielką willę od furtki w płocie. W rękę trzymała koszyk z butelką zupy, słoikiem owocowej galaretki domowej roboty i małą kłasią winogron. W niewielkiej wiosce Daymer's End nie było wielu ubogich mieszkańców, ale za to otaczano ich troskliwą opieką. Klara Halliwell należała do najtroskliwszych i najgorliwszych z grona opiekunek, które regularnie spotykały się na plebanii.

Liczyła sobie trzydzieści dwa lata. Trzymała się prosto, miała dobrą cerę i miłe, piwne oczy. Nie odznaczała się szczególną urodą, ale jej hoży wygląd wzbudzał sympatię. Można też rzec, że była w każdym calu Angielką. Wszyscy ją lubili i mówili, że to naprawdę porządna dziewczyna. Od dwóch lat, czyli od śmierci matki, mieszkała sama, jedynie w towarzystwie psa wabiącego się Rover. Trzymała trochę drobiu, lubiła zwierzęta i życie na świeżym powietrzu.

Gdy otworzyła furtkę, minął ją dwuosobowy samochód, prowadzony przez młodą dziewczynę w czerwonym kapelusiku, która pomachała jej ręką na powitanie. Klara odpowiedziała tym samym gestem, ale na chwilę zacisnęła wargi. Zawsze, gdy natykała się na Vivien Lee, żonę Geralda, czuła skurcz w sercu.

Położony tuż za wioską majątek Medenham Grange od wielu pokoleń należał do rodziny Lee. Obecny jego właściciel, sir Gerald Lee, wyglądał nad wiek poważnie i wielu ludzi uważało go za człowieka nieprzystępnego. Wynikało to wszakże raczej z nieśmiałości niż pychy. Klara i Gerald w dzieciństwie często bawili się razem. Później zostali przyjaciółmi. Oczekiwano powszechnie, że zażyłość ta wkrótce przerodzi się w bardziej intymną. Klara również tak myślała. Nie należało się oczywiście z tym spieszyć, ale... Kiedyś nadejdzie dzień, w którym... Klara była tego niemal pewna.

Niecały rok temu wioskę zaskoczyła wiadomość, że sir Gerald ożenił się z niejaką panną Harper — dziewczyną, o której nikt tam przedtem nie słyszał!

Nowa lady Lee nie zdobyła sobie sympatii sąsiadów. W najmniejszym stopniu nie interesowała się sprawami parafii, polowanie ją nudziło, nienawidziła wiejskiego życia i wszelkiego rodzaju sportów na świeżym powietrzu. Wielu plotkarzy zastanawiało się, jak to się wszystko skończy, i tylko kiwało głowami. Vivien odznaczała się wielką urodą, toteż nietrudno było sobie wyobrazić, czym zdobyła uczucia sir Geralda. Pod każdym względem stanowiła przeciwieństwo Klary. Drobna, eteryczna, o rudawozłotych włosach, skrywających śliczne uszka, miała przepastne, fiołkowe oczy, którymi figlarnie patrzyła na świat.

Prostolinijny Gerald Lee wyobrażał sobie, że jego żona i Klara polubią się od pierwszego wejrzenia. Klarę często zapraszano na posiłki, a Vivien zawsze była dla niej szalenie miła. Stąd dzisiejsze przyjazne powitanie.

Klara poszła dalej. U staruszki, którą się opiekowała, zastała pastora. Po chwili oboje wyszli, razem przebyli niewielki kawałek drogi, zatrzymali się na ścieżce i omówili kilka bieżących spraw

parafialnych.

— Niestety, Jones znowu uciekł z więzienia — powiedział pastor. — A miałem nadzieję, że się zmieni, szczególnie kiedy przysiągł to z własnej woli.

— To obrzydliwe — orzekła sucho Klara.

— No, owszem — przytaknął pan Wilmot. — Ale musimy pamiętać, że nam jest bardzo trudno postawić się w jego sytuacji i uświadomić sobie, co wodzi go na pokuszenie. Nie pojmujemy do końca, czym jest pociąg do butelki. Ale przecież mamy własne pokusy, co powinno nam pomóc w zrozumieniu cudzych.

— Chyba tak — odparła Klara niepewnie. Pastor zmierzył ją krótkim spojrzeniem.

— Niektórzy mają to szczęście, że nigdy nie są wodzeni na pokuszenie — powiedział łagodnie. — Ale czasem i ich godzina nadchodzi. Strzeżmy się i módlmy — zakończył.

Pożegnał się z Klarą i oddalił szybkim krokiem. Klara także ruszyła przed siebie. Niebawem jednak niemal zderzyła się z sir Geraldem.

— Witaj, Klaro. Spodziewałem się, że cię tutaj spotkam. Wyglądasz wspaniale. Masz piękne rumieńce.

Rumieńców tych jeszcze przed chwilą nie było na policzkach Klary.

— Jak mówiłem, spodziewałem się ciebie spotkać — ciągnął sir Gerald. — Vivien wyjeżdża na weekend do Bournemouth. Musi odwiedzić chorą matkę. Czy mogłabyś przyjść na kolację we wtorek zamiast dzisiaj?

— O, tak! Wtorek też mam wolny.

— To świetnie. Do zobaczenia. Bardzo się spieszę.

Klara poszła do domu. Na progu czekała na nią wierna służąca.

— Dobrze, że pani przysła — zawołała. — Stało się coś okropnego. Ludzie przynieśli biednego Rovera. Wybiegł rano z domu i ktoś go przejechał.

Klara szybko pobiegła do psiny. Uwielbiała wszelkie zwierzęta, a Rover był jej szczególnym ulubieńcem. Obmacała mu wszystkie łapy i całe ciało. Parę razy zaskomlał i polizał jej rękę.

— Jeżeli ma obrażenia — stwierdziła wreszcie — to wewnętrzne. Na pierwszy rzut oka żadna kość nie jest złamana.

— Czy pójść po weterynarza?

Klara potrząsnęła głową. Nie miała zbyt wielkiego zaufania do miejscowego psiego eskulapa.

— Zaczekamy do jutra — powiedziała. — Chyba nic go poważnie nie boli, dziąsła mają zdrowy kolor, więc na pewno silnie nie krwawi. Gdyby do jutra coś mnie zaniepokoiło, pojedę z nim do Skippington do Reevesa. To niewątpliwie najlepszy specjalista w okolicy.

Nazajutrz rano Rover wydał się jej słabszy, więc zrobiła, jak zamierzała. Miasteczko Skippington znajdowało się w odległości około czterdziestu mil, lecz tylko tamtejszy weterynarz odpowiadał jej wymaganiom. Słyszał na całą okolicę.

Stwierdził kilka wewnętrznych obrażeń, zapewnił jednak Klarę, że pies wydobrzeje. Pozostawiła go w szpitaliku na kilka dni.

W miasteczku był tylko jeden przyzwoity hotel — County Arras. Przeważnie zatrzymywali się w nim tylko komiwojażerowie, gdyż w okolicy nie było żadnych dobrych terenów łowieckich i żadnej głównej drogi.

Obiad podawano od pierwszej, to znaczy już za kilka minut. Klara zabawiała się więc przeglądaniem wpisów w księdze gości.

Nagle wydała cichy okrzyk. Przecież знаła ten charakter pisma, pełen zakrętasów i upiększeń. Zawsze uważała go za jedyny w swoim rodzaju. Nawet teraz gotowa była przysiąc, że... Ale nie, to niemożliwe. Vivien Lee przebywał, w Bournemouth. Zresztą sam wpis: „Pan Cyryl Brown z małżonką, Londyn”, zdawał się potwierdzać nonsensowność jej przypuszczenia.

Uporczywie, jak gdyby wbrew woli, oczy jej powracały do wpisu dokonanego skomplikowanym, ozdobnym charakterem pisma. Wiedzioną niezrozumiałym dla samej siebie impulsem, zwróciła się z zapytaniem do recepcjonistki:

— Pani Cyrylowa Brown? Ciekawa jestem, czy to ta sama osoba, którą mam na myśli?

— Drobna i szczupła, ma rudawe włosy. Jest bardzo ładna. Zajechała czerwonym, sportowym samochodem. Peugeotem, jeżeli się nie mylę.

A więc jednak. To nie może być zbieg okoliczności. Jak przez sen słyszała dalsze słowa recepcjonistki:

— Ci państwo spędzili u nas weekend... Jakiś miesiąc temu. Tak im się tutaj spodobało, że powrócili. Wyglądają na nowożeńców.

— Dziękuję pani — odpowiedziała mechanicznie Klara. — Nie wydaje mi się, żeby mogła to być moja przyjaciółka.

Jej głos brzmiał dziwnie, jak gdyby należał do obcej osoby. Po chwili zasiadła w jadalni; jadła pieczeń wołową na zimno, a w jej głowie kłębiły się najdziwniejsze myśli i emocje.

Nie miała najmniejszych wątpliwości. Od pierwszej chwili poznała się na Vivien. Zastanawiała się, kim mógł być mężczyzna. Czyżby ktoś, kogo Vivien znała jeszcze przed swoim ślubem. Najprawdopodobniej tak. Zresztą, nie miało to żadnego znaczenia. Najważniejszy w tym wszystkim był

Gerald.

Co tu zrobić? — zastanawiała się Klara. Czy ma mu wyjawić, czego się dowiedziała? Nie może tego przed nim ukrywać. Uznała to za swój obowiązek. Przez czysty przypadek poznała tajemnicę Vivien i bezzwłocznie powinna zawiadomić o tym Geralda. Przecież była przyjaciółką jego, a nie Vivien.

Jednakże czuła się nieswojo. Dręczyły ją wyrzuty sumienia. Na pozór jej rozumowanie było słuszne, ale tak się składało, że obowiązek wobec przyjaciela i niechęć do Vivien zahaczały o siebie w niemiły dla niej sposób. Poza tym, jeżeli Gerald się rozwiedzie — a Klara nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości — wówczas droga do niej, do Klary, będzie przed nim otwarta. Gdy uświadomiła sobie to wszystko, wzdrygnęła się. To, co zamierzała zrobić, wydało się jej nagle prostackie i brzydkie.

Czynnik osobisty był tu zbyt silny. I na dodatek nie miała pewności co do swoich motywów. Była osobą sumienną, rzec można, szlachetną. Na serio zastanawiała się nad całą sytuacją. Usiłowała sobie wyjaśnić, na czym polega jej obowiązek. Jak zwykle pragnęła postąpić możliwie najuczciwiej. Gdzie jest słuszność? Co wolno zrobić, a czego nie?

Przez czysty przypadek odkryła sprawę bezpośrednio dotyczącą mężczyzny, którego kochała, i kobiety, której nie lubiła, o którą — bądźmy szczerzy — była dziko zazdrosna. Dalszy los tej damy zależał teraz od niej. Lecz czy wolno jej było z tego skorzystać?

Klara z reguły trzymała się z daleka od plotek i intryg, które są integralną częścią życia każdej wioski. Brzydziła ją sama myśl, że mogłaby się stać jedną z tych wstrętnych intrygantek, którymi tak gardziła.

Nagle przypomniała sobie słowa pastora, wypowiedziane tamtego ranka: „Ale czasem i ich godzina nadchodzi...”

Czyżby właśnie nadeszła jej godzina? Czyżby właśnie to była jej pokusa, ukazująca się w postaci obowiązku? Ja, Klara Halliwell, pomyślała, jestem chrześcijanką, szanującą i kochającą wszystkich ludzi, zarówno mężczyzn, jak kobiety. Jeżeli ma otworzyć Geraldowi oczy, to musi być absolutnie pewna, że nie kierują nią względy osobiste. Na razie postanowiła milczeć.

Zapłaciła za obiad i ruszyła w drogę do domu. Było jej lżej na sercu. Od dawna nie czuła się tak dobrze. Cieszyło ją, że znalazła w sobie dość siły, by nie ulec pokusie zrobienia czegoś niegodziwego. Przez krótką chwilę obawiała się, że to poczucie siły tak ją uskrzydliło, ale odrzuciła tę myśl jako absurdalną.

Do wtorkowego wieczoru pokonała wszelkie wątpliwości. Doszła do wniosku, że ta sprawa nie może ujrzeć światła dziennego za jej pośrednictwem. Postanowiła milczeć. Jej miłość do Geralda wykluczała nawet najmniejszą aluzję do postępuku Vivien. Postanowienie to było bardzo szlachetne i dla niej jedynie możliwe.

Zajechała do Grange swoim małym samochodziem. Szofer sir Geralda czekał na nią przed frontowymi drzwiami i zaofiarował się odprowadzić auto do garażu. Kiedy ruszył, Klara przypomniała sobie, że zostawiła na siedzeniu przeczytane książki Geralda. Zamierzała mu je zwrócić. Krzyknęła za szoferem, żeby się zatrzymał, ale uczyniła to zbyt późno. Służący Geralda wjechał już do garażu.

Przez chwilę Klara znalazła się w holu sama i blisko drzwi salonu, które lokaj otworzył, by zaanonsować jej przybycie.

Osoby znajdujące się w salonie nie wiedziały więc nic o jej obecności, toteż głos Vivien, dość głośny i odrobinę prostacki, dotarł do uszu Klary jasno i wyraźnie.

— Czekamy już tylko na Klarę Halliwell. Na pewno ją znacie. Mieszka w wiosce. Uchodzi za miejscową piękność, ale tak naprawdę jest bardzo nieatrakcyjna. Robiła wszystko, żeby usidlić Geralda, ale on nie miał na nią najmniejszej ochoty. Tak, o tak, kochanie — dodała w odpowiedzi na protesty Geralda. — Wiadomo, że na ciebie leciała, ale ty wolałeś tego nie zauważać. Robiła, co mogła, biedna, stara Klara. Dobra z niej dziewczyna, ale brzydula.

Klara zbladła, zaciśniętymi pięściami zaczęła się bić po udach, fala złości o nie znanej jej dotychczas mocy zalała ją od stóp do głów. W tej chwili gotowa była zamordować Vivien Lee. Nadludzkim wysiłkiem odzyskała nad sobą panowanie. Pomogła jej w tym niecałkiem uświadomiona myśl, że ukaranie Vivien za okrutne słowa leży w jej mocy.

Pojawił się kamerdyner z książkami. Otworzył szeroko drzwi salonu i zaanonsował Klarę. Po chwili zmieszła się z gromadką gości, witając się z nimi w charakterystyczny dla siebie, uprzejmy sposób.

Vivien miała na sobie suknię w kolorze czerwonego wina, która pięknie kontrastowała z jej jasną karnacją i podkreślała szczupłość sylwetki. Okazała Klarze wielką serdeczność i gościnność. Oświadczyła, że zbyt rzadko u nich bywa, a także, że ona zamierza nauczyć się gry w golfa i byłaby rada, gdyby Klara się do niej przyłączyła.

Gerald był jak zwykle serdeczny i ciepły. Wprawdzie nie domyślał się, że Klara usłyszała słowa jego żony, ale instynkt kazał mu za nie przeprosić. Szanował Klarę i było mu przykro, że Vivien tak brzydko o niej mówiła. Uważał się za bliskiego przyjaciela Klary, bardzo ją lubił i jeżeli podświadomie podejrzewał, że czuje do niej coś więcej niż przyjaźń, nie przyznawał się do tego nawet przed samym sobą.

Po kolacji rozmowa zeszła na temat psów i Klara opowiedziała o wypadku Rovera. Z pełną świadomością zaczęła na pauzę w ogólnej rozmowie i dodała:

— W sobotę pojechałam z nim do Skippington.

Usłyszała, jak Vivien drżącą ręką odstawia filiżankę na spodek, ale nawet na nią nie spojrzała — jeszcze nie.

— Zawiozła go pani do Reevesa?

— Tak. Przynależ, że wyleczy mi psisko. Obiad zjadłam w hotelu County Arms. Ten lokal jest zupełnie niezły. Nocowaliście tam kiedyś? — zwróciła się do Vivien.

Jeżeli miała jakiegokolwiek wątpliwości, to teraz się ich pozbyła. Vivien odpowiedziała za szybko, niepewnym głosem:

— Ja... my... nie... o nie... nigdy.

W jej oczach pojawił się strach. Spojrzała bacznie na Klarę. Ale wzrok Klary był obojętny, niczego nie zdradzał. Nikomu z obecnych nawet się nie śniło, jak ogromnej doznała satysfakcji. Prawie wybaczyła Vivien słowa, które usłyszała stojąc przed drzwiami salonu. Poczwała w sobie tak wielką siłę, że aż zakręciło się jej trochę w głowie. Już wiedziała, że trzyma Vivien w garści.

Nazajutrz otrzymała od niej liścik z zaproszeniem na herbatę.

Odmówiła.

Wkrótce Vivien zjawiała się u niej w domu. Dwukrotnie przychodziła w porze, kiedy Klara zazwyczaj była u siebie. Za pierwszym razem naprawdę jej nie zastała, za drugim Klara zauważyła ją przez okno i szybko wyszła kuchennymi drzwiami.

Nie jest pewna, ile wiem — pomyślała sobie. — Chce się zorientować, ale to się jej nie uda. Dopóki nie zdecyduję, że jestem gotowa.

Klara nie bardzo wiedziała, na co czeka. Na razie postanowiła milczeć. Uznała to za rzecz samą przez się zrozumiałą i honorową. Ilekroć przypomniwała sobie niemiłe słowa Vivien o sobie, rosło w niej uznanie dla własnej szlachetności. Była pewna, że słabsza osoba, znalazłszy się na jej miejscu, zachowałaby się zupełnie inaczej.

W niedzielę dwa razy poszła do kościoła. Z samego rana przyjęła komunię i poczuła się mocniejsza i pewniejsza siebie. Przynależ sobie, że nie będzie się kierować osobistymi uczuciami, że nie pozwoli sobie na małostkowość lub złośliwość. W południe znów poszła na mszę. Pastor Wilmot wygłosił kazanie na temat faryzeusza. Nakreślił sylwetkę tego człowieka, człowieka dobrego, podporę Kościoła. Opisał powolne, niemal niedostrzegalne zmiany, jakie w nim zachodziły, wzrost pychy, która doprowadziła go w końcu do całkowitego moralnego upadku.

Klara nie słuchała zbyt uważnie. Vivien siedziała w ławie rodziny Lee i Klara była pewna, że podejdzie do niej po nabożeństwie. Tak też się stało. Vivien odprowadziła Klarę do domu i zapytała, czy może na chwilę wejść. Oczywiście została zaproszona do środka.

Młode kobiety usiadły w małym saloniku, pełnym świeżych kwiatów i kolorowych pokrowców. Po chwili Vivien odezwała się niepewnie:

— Ubiegły weekend spędziłam w Bournemouth. — Zająknęła się lekko.

— Wiem o tym. Od Geralda.

Spojrzały sobie w oczy. Klara pomyślała, że Vivien chyba zeszczułała w ostatnich dniach. Na jej twarzy malowała się lisa przebiegłość. Wyraźnie zbrzydła. W każdym razie straciła niemal cały swój wdzięk.

— Kiedy byłaś w Skippington...? — zaczęła.

— Kiedy byłam w Skippington? — powtórzyła Klara uprzejmie.

— Wspomniałaś o jakimś tamtejszym niewielkim hoteliku.

— Masz na myśli County Arms? Owszem, wpadłam tam na obiad. Ale mówiłaś, że nigdy o nim nie słyszałaś.

— Byłam tam. Jeden raz.

— Ach tak!

Wystarczyło milczeć i czekać. Vivien siedziała napięta jak struna, niezdolna do odparowania najłżejszego ciosu. Jeszcze chwila, a się załamie. Nagle pochyliła się i zaczęła mówić bez opanowania:

— Nie lubisz mnie. Nigdy mnie nie lubiłaś. Gorzej, zniechędziłaś mnie od pierwszego wejrzenia. A teraz bawisz się ze mną jak kot z myszą i sprawia ci to przyjemność. Jesteś okrutna! Okrutna! Boję się ciebie!

— Uspokój się, Vivien — zachnęła się Klara.

— Ty wiesz! Ty wszystko wiesz! Widzę to po tobie. Wiedziałaś już od tamtego wieczoru, kiedy rozmawialiśmy o Skippington. Nie mam pojęcia, jak się o tym dowiedziałaś. Chciałabym wiedzieć, co zamierzasz zrobić. Mów!

Klara milczała dłuższą chwilę. Vivien zerwała się z krzesła.

— Powiedz, co planujesz! Muszę to wiedzieć! Nie zaprzeczysz chyba, że wiesz o wszystkim?

— Niczemu nie zaprzeczam.

— Widziałaś mnie tam?

— Nie. Zobaczyłam tylko twój podpis w księdze gości. Państwo Cyrylowie Brown.

Na policzkach Vivien wykwitły ciemne rumieńce.

— Od tego dnia obserwowałam cię. Wiem, że tamtego weekendu nie bawiłaś w Bournemouth. Twoja matka nie żądała twojego przyjazdu. Dokładnie tak samo było sześć tygodni temu.

Vivien opadła na sofę. Rozszlochała się jak przerażone dziecko.

— Co zamierzasz zrobić? Czy powiesz o tym Geraldowi?

— Jeszcze nie wiem — odparła Klara spokojnie.

Vivien uniosła głowę i odgarnęła z czoła wilgotne włosy.

— Czy chcesz, żebym ci wszystko opowiedziała?

— Myślę, że byłoby dobrze.

Vivien wyrzuciła z siebie całą prawdę. Bez żadnych oporów. „Cyryl Brown”, młody inżynier, z którym była kiedyś zaręczona, w rzeczywistości nazywał się Cyryl Haviland. Rozchorował się, stracił pracę, w rezultacie czego porzucił ubogą jak mysz kościelna Vivien i ożenił się z zamożną wdową, na dodatek znacznie od niego starszą. Wkrótce potem Vivien wyszła za Geralda Lee.

Z Cyrylem zetknęła się niedawno zupełnie przypadkowo. Zaczęli się po kryjomu spotykać w czasie weekendów. Cyryl, podparty fortuną żony, robił karierę i powoli stawał się dość znaną postacią. Nie była to przyjemna historia — dzieje spotkań w niezbyt eleganckich miejscach, połączone z nieustannymi kłamstwami i intrygami.

— Tak go kocham — powtarzała Vivien raz po raz, wzdychając przy tym i jęcząc, co Klarę przyprawiało o mdłości.

Wreszcie ponura spowiedź dobiegła końca.

— I co zamierzasz zrobić? — zwróciła się na koniec Vivien do Klary.

— Jeszcze nie zdecydowałam. Muszę to wszystko dobrze przemyśleć.

— Ale nie zdradzisz mnie przed Geraldem?

— Nie wykluczam, że uznam to za swój obowiązek.

— Nie, o nie! — krzyknęła Vivien histerycznie. — On się ze mną rozwiedzie! Nie zechce mnie nawet wysłuchać! Dowie się prawdy w hotelu. Cyryl zostanie zdemaskowany. Wtedy jego żona także zażąda rozwodu. Wszystko diabli wezmą! Jego karierę, jego zdrowie! Znowu zostanie bez złamanego grosza przy duszy. Nigdy mi tego nie wybaczy! Nigdy!

— Daruj — zachnęła się Klara. — Ale nie mam najlepszego zdania o tym twoim Cyrylu.

Vivien zignorowała te słowa.

— Znienawidzi mnie, po prostu znienawidzi! A ja tego nie wytrzymam! Uczynię wszystko, co zechcesz, ale nie zdradź mnie przed Geraldem.

— Muszę mieć trochę czasu do namysłu — odparła Klara poważnie. — Nie chcę ci niczego pochopnie przyrzekać. Ale na razie nie spotykaj się z Cyrylem.

— Zgadzam się. Przysięgam na wszystko!

— Kiedy zdecyduję, co zrobić, dam ci znać.

Klara wstała. Vivien opuściła jej dom lęklwym, niepewnym krokiem. Cały czas odwracała głowę, spoglądając za siebie.

Klara z niesmakiem zmarszczyła nos. Co za obrzydliwa historia. Czy można zaufać Vivien, że nie będzie próbowała zobaczyć się z Cyrylem? Ależ skąd! Cała ta sprawa brzydko pachnie.

Tegoż popołudnia Klara poszła na długi spacer. Miała ulubioną ścieżkę, wijącą się wśród skał. Z jednej strony prowadziła do jeziora, z drugiej wiodła prawie stromo w górę. Zwano ją Krawędzią. Spacer po niej był bezpieczny, pod warunkiem że się z niej nie zbaczało. Cały teren obfitował w pozornie łagodne, lecz zdradzieckie pagórki. Niegdyś Klara straciła tam psa. Pędził jak szalony po śliskiej trawie i nie był w stanie zahamować. Spadł z jednego ze szczytów i nadział się na ostre występy skał. Zginął na miejscu...

Popołudnie było piękne, prawie zupełnie bezchmurne. Do uszu Klary docierał łagodny szum fal. Usiadła na trawie i skierowała wzrok w błękit jeziora. Postanowiła wszystko dokładnie przemyśleć. I wreszcie coś postanowić.

O Vivien myślała z pewnym niesmakiem. Jak szybko ta dziewczyna się załamała! Nie miała odrobiny godności, za grosz odwagi! Klara czuła rosnącą pogardę.

Ale mimo niechęci do dziewczyny postanowiła na razie ją oszczędzić. Po powrocie do domu napisała liścik, w którym zapewniła lady Lee, że chociaż nie chce jej obiecywać niczego na przyszłość, to chwilowo będzie milczała.

Życie w Daymer's End toczyło się zwykłym trybem, tyle że sąsiedzi Vivien Lee spostrzegli, że pani domu mizernieje w oczach. Podczas gdy Klara Halliwell po prostu rozkwitała. Miała radosny błysk w oczach, nosiła wysoko głowę, jej styl bycia tchnął nowo nabytą pewnością siebie. Panie spotykały się dosyć często. Zauważono, że młodsza wpatruje się w starszą z uwagą i chłonie każde jej słowo.

Niekiedy panna Halliwell robiła nieco tajemnicze uwagi, nie pasujące do tematu konwersacji. Na przykład mówiła nagle, iż ostatnio zmieniła zdanie o wielu kwestiach i błahe na pozór wydarzenia całkowicie odwróciły jej punkt widzenia na wiele spraw. Twierdziła też, że ludzie zbyt łatwo wybaczą swoim bliźnim, wiedzeni zazwyczaj współczuciem, co jest głęboko niesłuszne.

Gdy wygłaszała takie sądy, często wpatrywała się przenikliwie w Vivien Lee i to w bardzo szczególny sposób, a dziewczyna, blada jak ściana, robiła wrażenie przerażonej.

W miarę upływu czasu małe aluzje Klary stawały się coraz bardziej enigmatyczne, a Vivien Lee jakoś słabiej na nie reagowała. Powoli odzyskiwała urodę i dobry humor. Bywała wesoła jak za dawnych czasów.

Pewnego przedpołudnia, gdy Klara spacerowała z psem po wąskiej uliczce, natknęła się na Geralda. Jego spanielka wdała się w żywy flirt z Roverem Klary, a ich właściciele gawędzili.

— Słyszałaś już? — zapytał Gerald. — Spodziewam się, że Vivien ci powiedziała.

— Och, nie wiem, o czym mówisz. Ostatnio Vivien nie zwierzyła mi się z niczego szczególnego.

— Wyjeżdżamy na rok za granicę. Może nawet na dłużej. Vivien bardzo nie lubi naszego domu. Nigdy go nie lubiła. — Gerald westchnął głęboko. Przez chwilę wydawał się przygnębiony. Wiadomo było, że jest ogromnie przywiązany do rodzinnej posiadłości. — Przynależem jej zmianę miejsca pobytu. Wynająłem willę pod Algierem. Zapewniono mnie, że jest wspaniała — roześmiał się niezbyt szczerze. — To taka druga podróż poślubna.

Przez kilka minut Klara nie potrafiła wydobyć z siebie słowa. Krtań miała zaciśniętą, czuła, że za chwilę się udusi. Wyobraziła sobie dom o białych ścianach, gaje pomarańczowe, poczuła łagodny, ciepły wietrzyk. Druga podróż poślubna!

Vivien jej się wymykała. Widać przestała wierzyć w pogrózki. Wyjedzie stąd szczęśliwa, beztroska, wolna jak ptak.

Nie swoim głosem powiedziała to, co zazwyczaj mówi się w takich przypadkach. Że to cudowny pomysł. Godny pozazdroszczenia!

Na szczęście w tym właśnie momencie spanielka i Rover postanowili skończyć swój flirt. Rozległo się głośnie szczekanie, uniemożliwiające ich państwu dalszą rozmowę.

Jeszcze tego popołudnia Klara napisała liścik do Vivien. Poprosiła ją o spotkanie następnego dnia na Krawędzi, ponieważ ma jej coś ważnego do przekazania.

Nazajutrz wstał słoneczny i ciepły poranek. Niebo było bezchmurne. Klara pięła się pod górę lekkim krokiem. Co za wspaniały dzień! Była zadowolona, że postanowiła rozmówić się z Vivien, i to na świeżym powietrzu, pod kopułą błękitnego nieba, a nie w swoim małym, dusznym saloniku. Żal jej było Vivien, naprawdę szczerze jej współczuła, ale nie widziała innego wyjścia.

Z daleka, na górnym skraju ścieżki dostrzegła żółtą plamę, przypominającą wielki kwiat. Gdy podeszła bliżej, okazało się, że to trykotowa sukienka Vivien. Lady Lee siedziała na skalnym występie, obejmując kolana ramionami.

— Dzień dobry — przywitała ją Klara. — Co za cudowna pogoda.

— Nie zauważyłam — odparła Vivien. — Co masz mi do powiedzenia?

Klara usiadła tuż przy niej na trawie.

— Trochę się zadyszałam — powiedziała. — To podejście jest naprawdę strone.

— A niech cię wszyscy diabli wezmą! — krzyknęła Vivien. — Mówże, o co ci chodzi, diablico! Przestań mnie torturować.

Klara zrobiła obrażoną minę i Vivien nieco się zmięła.

— Przepraszam cię, Klaro, nie wiem, co mi się stało. Jest mi naprawdę przykro. Tylko, widzisz, mam strasznie napięte nerwy, a ty gawędzisz o pogodzie. Trochę się zdenerwowałam.

— Jeżeli się nie opanujesz, dostaniesz załamania nerwowego — zauważyła Klara oziębło.

Vivien zaśmiała się krótko.

— Chcesz powiedzieć, że mogę się znaleźć na krawędzi obłądzenia? I runąć w dół? O nie, nigdy nie byłam i nie jestem wariatką. Ale mówże wreszcie.

Po krótkim milczeniu Klara, nie patrząc na Vivien, lecz na gładką taflę jeziora, powiedziała:

— Chciałam cię tylko ostrzec i oświadczyć ci, że dłużej nie zamierzam milczeć o twojej zeszłorocznej sprawie.

— Czy to znaczy, że zamierzasz zdemaskować mnie wobec Geralda?

— Chyba że sama zwierzysz mu się ze wszystkiego. Co na pewno byłoby znacznie lepszym wyjściem z sytuacji.

Vivien roześmiała się szorstko.

— Doskonale wiesz, że nie starczy mi na to odwagi — odparła. Roześmiała się po raz drugi, równie ochryple i sarkastycznie. — Zapewne zmusza cię do tego twoje delikatne sumienie — dodała ironicznie.

— Niestety, ty tego nie potrafisz zrozumieć, ale rzeczywiście tak jest.

Vivien obróciła ku Klarze pobludłą twarz.

— O Boże — jęknęła. — Ty jesteś naprawdę o tym przekonana. Wmawiasz sobie, że takie są twoje motywy.

— Istotnie.

— Nonsens! Gdyby tak było, zrobiłabyś to już dawno temu. Powiedz, dlaczego milczałaś? No właśnie, nie umiesz na to odpowiedzieć. Więc ja ci powiem. Milczałaś, bo trzymanie mnie w szachu dawało ci większą przyjemność. Cieszyłaś się, patrząc, jak się denerwuję, jak poniżam się przed tobą, jak wiję się ze strachu. Torturowałaś mnie swoimi diabelskimi słowami, trzymałaś mnie w nieustannym napięciu. Ale ja z czasem przyzwyczaiałam się do tego.

— Poczułaś się bezpieczna.

— Zauważyłaś to, prawda? Ale nawet wtedy nie spełniałaś swojej groźby, gdyż poczucie przewagi nade mną dawało ci satysfakcję. Ale teraz my stąd wyjeżdżamy, uciekamy przed tobą i jeśli dobrze pójdzie, może nawet będziemy szczęśliwi. Stąd to nagle przebudzenie się twojego sumienia.

Zamilkła. Jej szybki oddech uspokajał się powoli.

— Nie mogę cię zmusić do tego, żebyś nie opowiadała takich fantastycznych bzdur, ale zapewniam cię, że bredzisz.

Vivien obróciła się nagle i chwyciła Klarę za rękę.

— Klaro, na litość boską! Przecież dotrzymałam słowa, zrobiłam, co mi kazałaś. Nie widziałam się już ani razu z Cyrylem. Przysięgam!

— To nie ma nic do rzeczy.

— Klaro, czy tobie w ogóle obce jest współczucie? Nie masz odrobiny życzliwości? Jeżeli chcesz, to mogę paść przed tobą na kolana.

— Przyznaj się Geraldowi do wszystkiego. Może ci wybaczy.

Vivien roześmiała się z goryczą.

— To wykluczone. Przecież go znasz. Poczuj się oszukany, zechce się zemścić. Na mnie i na Cyrylu. A tego nie zniosę. Cyrylowi zaczęło się tak dobrze powodzić. Podobno wynalazł jakąś maszynę. Nie znam się na tym, ale to może być wielka sprawa. Pracuje teraz nad udoskonaleniem tej rzeczy. Oczywiście, finansuje mu to żona. Ale to kobieta podejrzliwa i zazdrosna. Jeżeli dowie się o jego eskapadach, a tak przecież będzie, kiedy Gerald wystąpi o rozwód, to wyrzuci Cyryla za drzwi. Będzie to koniec pracy nad wynalazkiem, a zarazem koniec jego samego.

— Mnie nie chodzi o Cyryla — powiedziała Klara. — Ja myślę wyłącznie o Geraldzie. Ty też mogłabyś o nim pomyśleć.

— Gerald znaczy dla mnie tyle co nic! — krzyknęła Vivien i zrobiła pogardliwy gest. — Nigdy go nie kochałam. Powiedzmy sobie całą prawdę. Kocham Cyryla! Jestem obrzydliwa, zepsuta do szpiku kości! Przyznaję się do tego. Cyryl też jest okropny, ale ja go kocham, a to jest takie cudowne. Jestem gotowa umrzeć za niego. Słyszysz? Umrzeć!

— To łatwo się mówi — zauważyła Klara z pogardą.

— Nie bierzesz mnie na serio. Posłuchaj, jeżeli rzeczywiście zrobisz to świństwo, zabiję się. Wolę śmierć niż świadomość, że przeze mnie Cyryl został w to zamieszany i grozi mu, że straci wszystko.

Słowa jej nie poruszyły Klary.

— Nie wierzysz mi? — zapytała Vivien zdyszczanym głosem.

— Samobójstwo wymaga wielkiej odwagi.

Vivien cofnęła się jak pod uderzeniem bata.

— Znasz mnie aż za dobrze. Rzeczywiście, nie jestem zbyt odważna. Gdyby znalazło się łatwiejsze wyjście...

— Owszem, jest. Wystarczy, żebyś zbiegła po tym zielonym wzgórzu i skoczyła ze skały. Potrwałoby to zaledwie kilka minut. Pamiętasz dzieciaka, który zabił się tu w zeszłym roku?

— No tak — zgodziła się Vivien. — To rzeczywiście byłoby łatwe. Gdyby się można było zdecydować...

Klara wybuchnęła śmiechem.

Vivien obróciła się i spojrzała na nią uważnie.

— Omówmy to jeszcze raz — zaproponowała. — Czy nie widzisz, że skoro milczałaś tak długi czas, nie masz prawa zmieniać teraz zdania? Przysięgam, że w życiu nie zobaczę się już z Cyrylem. Będę dla Geralda dobrą żoną. Przysięgam na wszystko, co święte. Albo wyjadę stąd i zniknę Geraldowi z oczu. Mów, co wolisz, Klaro.

Klara wstała.

— Radzę ci, żebyś natychmiast przyznała się swojemu mężowi do wszystkiego. W przeciwnym wypadku ja to zrobię.

— Rozumiem — szepnęła Vivien. — No cóż, nie mogę dopuścić do tego, żeby Cyrylowi stała się krzywda...

Wstała, przez chwilę tkwiła nieruchomo, po czym puściła się szybkim, lekkim krokiem w dół po trawiastym zboczu. Jeden jedyny raz odwróciła głowę i pomachała Klarze ręką prawie wesoło, jak bez troskie dziecko. Następnie zniknęła jej z oczu.

Klara stała jak wryta. Wreszcie z dołu dobiegły ją jakieś krzyki, dźwięk przerażonych ludzkich głosów. A potem — cisza.

Powoli, na sztywnych nogach, zaczęła schodzić ku brzegowi jeziora. Zobaczyła grupę ludzi, którzy piełi się pod górę, ale nagle zatrzymali się, wskazywali coś rękami. Szybko się do nich przyłączyła.

— Ktoś spadł ze skały! — krzyknął do Klary jakiś człowiek. — Dwaj chłopcy poszli zobaczyć, co da się zrobić.

Klara wstrzymała oddech i czekała. Może godzinę, może całą wieczność, może tylko kilka chwil?

Zobaczyła mężczyznę, który podszedł do leżącego na trawie ciała. Był to pastor, w spodniach i w samej koszuli. Zdjął wierzchnie odzienie, by przykryć nim zwłoki. Był blady jak ściana.

— To straszne — powiedział. — Na szczęście śmierć musiała być natychmiastowa.

Dostrzegł Klarę i podszedł do niej.

— Przeżyła pani straszny szok. Podobno byliście razem na spacerze, kiedy...

Klara mechanicznie, jakby nie swoim głosem odpowiadała na wszystkie jego pytania.

Owszem, rozstały się dopiero kilka minut temu. Nie, nie, lady Lee zachowywała się zupełnie normalnie. Jeden z turystów dodał, że widział na własne oczy, jak ta pani z uśmiechem machała ręką do przyjaciółki. To wyjątkowo niebezpieczne miejsce — należałoby obudować ścieżki płotem.

— Tak, to wypadek, straszny wypadek. — zasepił się wikary. Nagle rozległ się dziki śmiech Klary.

— To przekłete kłamstwo! — krzyknęła. — Ja ją zabiłam!

Ktoś pogłaskał ją po ramieniu. Czyjś współczujący głos szepnął:

— Dobrze, już dobrze, za chwilę dojdzie pani do siebie.

Ale Klara nie miała dojść do siebie ani za chwilę, ani już nigdy. Trzymała się swojego urojenia — bo było to z całą pewnością urojenie, jako że dobrych kilkanaście osób było świadkami wypadku — że to ona zabiła Vivien Lee. Była w bardzo złym stanie, dopóki nie pojawiła się pielęgniarka, niejaka Lauriston. Siostra Lauriston doskonale umiała się opiekować chorymi umysłowo.

— Trzeba im we wszystkim ustępować — mawiała. Przedstawiła się więc Klarze jako strażniczka więzienia w Pentonville. Dodała, że choć Klara została skazana na śmierć, to wyrok zmieniono na dożywotnie więzienie. Umeblowała jej pokój jak celę.

— Teraz na pewno będziemy bardzo zadowolone — powiedziała do doktora. — Jeżeli pan doktor każe, to damy jej do posiłków tępe noże ale myślę, że nie zachodzi najmniejsza obawa, aby usiłowała popełnić samobójstwo. To nie ten typ. Jest zbyt skoncentrowana na sobie. Dziwne, ale właśnie tacy ludzie najczęściej znajdują się na krawędzi obłądu.

Posłowie

„Na krawędzi” po raz pierwszy opublikowano w „Pearsons’s Magazine” w lutym 1927 roku z sugestywnym redakcyjnym komentarzem, że opowiadanie „powstało tuż przed niedawną chorobą autorki i jej tajemniczym zniknięciem”. Późnym wieczorem 3 grudnia 1926 roku Agatha Christie opuściła swój dom w Berkshire. Wczesnym rankiem następnego dnia w Newland Corner koło Shere w hrabstwie Surrey znaleziono jej pusty samochód. Policjanci i ochotnicy na próżno przeszukiwali okolicę, jednak po upływie półtora tygodnia liczni członkowie obsługi hotelu w Harrogate zdali sobie sprawę, że podróżna, która zarejestrowała się pod nazwiskiem Theresa Neele, w rzeczywistości była zaginioną pisarką.

Po powrocie żony mąż Agathy Christie wydał oświadczenie dla prasy, że „cierpiała na całkowity zanik pamięci”, wszakże okoliczności towarzyszące temu stosunkowo niewielkiemu wydarzeniu z jej życia przez wiele lat wzbudzały gorączkowe spekulacje. Jeszcze kiedy pisarka zaginęła, Edgar Wallace, słynny twórca powieści sensacyjnych, w prasowym artykule twierdził, że jeśli nie umarła, to „musi żyć w pełni władz umysłowych, przypuszczalnie znajduje się w Londynie. Nie owijając w bawełnę — kontynuował Wallace — pragnęła «dać komuś w kość»... Neele to panińskie nazwisko kobiety, która miała zostać drugą żoną Archibalda Christiego. Przypuszczano zatem, że Agatha porzuciła samochód, by wpędzić męża w tarapaty. Pisarka przed wyruszeniem do Harrogate wieczór 3 grudnia spędziła w Londynie z przyjaciółmi. Sugerowano nawet, że zniknięcie zaaranżowano, by wzbudzić niezdrowe zainteresowanie czytelników. Tak czy owak, chociaż niektóre aspekty owego wydarzenia pozostają tajemnicą, nic nie wskazuje, by te rozmaite alternatywne „przypuszczenia” były czymkolwiek innym niż próżnymi spekulacjami.

Bożonarodzeniowa przygoda

Wielkie bierwiona wesoło płonęły na kominku, ale ich trzaski nie były w stanie zagłuszyć rozmowy sześciu osób pogrążonych w żywej dyskusji. Grupa młodych ludzi, zebranych z okazji pierwszego dnia świąt Bożego Narodzenia, bawiła się w najlepsze.

Stara panna Endicott, zwana przez niemal wszystkich ciotką Emilią, przysłuchiwała się im z pobłażliwym uśmiechem.

— Założę się, Jean, że nie potrafisz zjeść sześciu ciasteczek bakaliowych.

— No to przegrasz.

— Na pewno wygram.

— Jeżeli tak, to wyłowię ci marcepanową świnkę z deseru.

— Dobrze. I trzy dodatkowe porcje, i dwie porcje puddingu.

— Mam nadzieję, że pudding się udał — zauważyła panna Endicott z z troskaniem. — Został zrobiony dopiero trzy dni temu, a porządny pudding powinien się przed świętami dobrze odleżeć. Pamiętam, że jako dziecko byłam pewna, iż słowa wygłaszane przy ostatniej kweście adwentu: „I odwracaj je, błagamy Cię, Panie”, odnoszą się w jakiś sposób do świątecznych puddingów, które trzeba tak długo mieszać, aż nabiorą właściwej konsystencji.

Kiedy panna Endicott zaczęła mówić, goście umilkli. I to bynajmniej nie dlatego, żeby tych młodych interesowały w choć najmniejszym stopniu jej wspomnienia z dawnych czasów, lecz z uprzejmości, jaka należała się jej jako pani domu. Gdy skończyła, chór głosów rozbrzmiał od nowa. Panna Endicott westchnęła i skierowała wzrok ku jednemu gościowi, który był mniej więcej w jej wieku. Może szukała zrozumienia u tego niewielkiego wzrostu starszego pana o czasce zbliżonej kształtem do jaja i małym sterczącym wąsiku. Dawniej, zastanawiała się, młodzi ludzie byli zupełnie inni. Gdy starsi rzucali im pod nogi swoje perły mądrości, otaczali ich kołem i trwali w pełnym szacunku milczeniu. Dzisiaj zaś plotą trzy po trzy o zupełnie dla niej niezrozumiałych sprawach. Lecz mimo to są to naprawdę sympatyczne dzieciaki. Przyglądała się im ciepłym wzrokiem. Wysokiej, piegowatej Jean, małej, ślicznej Nancy Cardell o urodzie Cyganki, dwóm młodszym chłopcom, Johnny'emu i Brykowi, którzy przyjechali ze swoich szkół na wakacje i przywieźli ze sobą Charliego Pease'a, wreszcie jasnowłosej, pięknej Evelyn Haworth... Na widok tej ostatniej panna Endicott zmarszczyła lekko brwi i przeniosła wzrok na swego najstarszego siostrzeńca Rogera, który milczał z kwaśną miną, chłonąc jedynie oczami jasną, nordycką urodę dziewczyny.

— Ale fajny śnieg! — zawołał Johnny, zbliżywszy się do okna. — Prawdziwe Boże Narodzenie. Zabawmy się w śnieżki! Co wy na to? Do obiadu jest jeszcze sporo czasu, prawda, ciociu?

— Tak jest, moje dziecko. Jemy o drugiej. Ale a propos, muszę się zająć nakryciem stołu — odpowiedziała i wyszła pośpiesznie z pokoju.

— Wiecie co? Ulepimy bałwana! — zawołała Jean.

— O tak! Ale frajda! Już wiem! Zrobimy śnieżny posąg pana Poirota. Czy pan mnie słyszy, panie Poirot? Słynny detektyw Herkules Poirot wyrzeźbiony w śniegu przez sześciu zasłużonych artystów.

Mały człowieczek, zagłębiając się w fotelu, skinął głową na znak zgody. Jego bystre oczy zabłyśły radośnie.

— Zróbcie tak, moje dzieci, żeby był piękny — poprosił. — Żądam tego bardzo stanowczo.

— Oczywiście!

Młodzi ludzie w mgnieniu oka zniknęli z pokoju. W drzwiach zderzyli się ze sztywno idącym lokajem, który niósł na niewielkiej, okrągłej srebrnej tacy list. Lokaj zachwiał się lekko, ale natychmiast odzyskał równowagę i podszedł do Poirota.

Poirot otworzył kopertę. Lokaj zniknął bezszelestnie. Mały człowieczek przeczytał list, złożył go starannie i wsunął do kieszeni. Jego twarz pozostała nieporuszona, mimo że treść listu go zaskoczyła. Było tam tylko jedno, napisane kulfonami zdanie: Nie jedz puddingu.

— Bardzo interesujące — mruknął Poirot. — I raczej niespodziane!

Spojrzał w kierunku kominka. Evelyn Haworth nie wyszła wraz z przyjaciółmi. Zatopiona w myślach wpatrywała się w ogień i nerwowym ruchem bawiła się pierścionkiem, wsuniętym na trzeci palec lewej dłoni.

— O czym pani tak myśli, *mademoiselle*? — zagadnął detektyw. — Czy o czymś niemiłym?

Dziewczyna wyprostowała się i spojrzała na niego niepewnym wzrokiem. Poirot uśmiechnął się do niej życzliwie.

— Orientowanie się we wszystkim należy do moich obowiązków — wyjaśnił łagodnie. — Pani jest czymś zakłopotana. Ja, prawdę mówiąc, też. Czy nie powinniśmy się sobie nawzajem zwierzyć? Moje zmartwienie polega na tym, że jeden z moich starych przyjaciół wyjechał daleko, za morze, do Ameryki Południowej. Dawniej, kiedy spotykaliśmy się często, działał mi czasami na nerwy, jego tępota doprowadzała mnie wręcz do szału. Ale teraz, kiedy go nie ma, pamiętam tylko jego dobre cechy. Takie jest życie, czyż nie? Proszę mi jednak powiedzieć, *mademoiselle*, o swoich zmartwieniach. Jestem stary i samotny, ale pani jest młoda i piękna, jest pani zakochana z wzajemnością. O tak, ostatnie pół godziny obserwowałem pani przyjaciela.

Dziewczyna zarumieniła się.

— Pan ma na myśli Rogera Endicotta? Więc myli się pan. To nie z nim jestem zaręczona.

— Wiem. Pani narzeczonym jest Oskar Levering. Ale pani kocha innego mężczyznę.

Dziewczyna nie rozgniewała się na niego. Miał sposób bycia, który to wykluczał. Mówił łagodnym głosem, był życzliwy, autorytatywny i budził zaufanie.

— Proszę mi o wszystkim opowiedzieć — poprosił i dodał do tego słowa, których użył przed chwilą, a które jakoś ujęły dziewczynę: —Orientowanie się we wszystkim należy do moich obowiązków.

— Och, panie Poirot, jestem taka nieszczęśliwa — wyznała. — Widzi pan, jeszcze do niedawna byliśmy bardzo zamożni. Ja miałam odziedziczyć całą rodzinną fortunę, a Roger był tylko najmłodszym synem rodziny. I chociaż jestem pewna, że mnie kochał, wyjechał bez słowa do Australii.

— Dziwnie u was organizuje się małżeństwa — zauważył Poirot. — Zupełnie bez sensu. Bez żadnej metody. Wszystko pozostawia się przypadkowi.

Evelyn nie słuchała go wcale.

— Nagle straciliśmy cały majątek — kontynuowała. — Mama i ja zostałyśmy bez grosza. Przeprowadziłyśmy się do maleńkiego domku i ledwo wiązałyśmy koniec z końcem. Potem mama poważnie zachorowała. Jedyłą szansą dla niej była skomplikowana operacja i zamieszkanie w ciepłym klimacie. Nie miałyśmy jednak na to pieniędzy, co oznaczało dla niej śmierć. Pan Levering przedtem aż dwa razy mi się oświadczał. Teraz zrobił to po raz trzeci. Obiecał, że dopilnuje wszystkiego, co trzeba dla mamy. Więc zgodziłam się. Nie miałam innego wyjścia. Operację przeprowadził najlepszy specjalista z tej dziedziny, a potem pojechałyśmy na całą zimę do Egiptu. To było rok temu. Mama znowu jest zdrowa i silna, a ja... ja wychodzę za pana Leveringa zaraz po Bożym Narodzeniu.

— Rozumiem — rzekł Poirot. — Tymczasem starszy brat pana Rogera zmarł, a on sam powrócił do Anglii i przekonał się, że jego marzenie o szczęściu się rozwiało. No, *mademoiselle*, w końcu nie jest pani jeszcze małżonką pana Leveringa.

— W rodzinie Haworthów nie łamie się danego słowa — odparła dumnie dziewczyna.

W drzwiach salonu ukazał się nagle zwalisty mężczyzna o okrągłej twarzy, małych przenikliwych oczkach, łysy jak kolano.

— Dlaczego tu siedzisz, Evelyn? Chodź, przejdziemy się trochę.

— Dobrze, Oskarze.

Wstała powoli. Poirot także się podniósł i zapytał uprzejmie:

— Czy *mademoiselle* Levering wciąż źle się czuje?

— Niestety, tak. Przykro mi, ale siostra nie może jeszcze wstać. Co za pech! Żeby zachorować w

samo Boże Narodzenie!

— Rzeczywiście — pokiwał głową Poirot.

Kilka minut zajęło Evelyn nałożenie wysokich botków i różnych ciepłych rzeczy, po czym wraz z narzeczoną wyszła na pokrytą śniegiem ścieżkę, ciągnącą się wzdłuż domu. Dzień był cudowny, mroźny, lecz słoneczny, prawdziwie świąteczny. Reszta gości zajęta była lepieniem bałwana. Levering i Evelyn zatrzymali się, by podziwiać dzieło ich rąk.

— Para gruchających gołąbków! — krzyknął Johnnie na ich widok i rzucił w nich śnieżką.

— Co powiesz na naszego bałwanka, Evelyn? — zawołała Jean. — Cały Herkules Poirot, wielki detektyw.

— Zaczekaj, aż przylepimy mu wąsy — powiedział Eryk. — Nancy obetnie sobie loczek i będzie wspaniale. *Vivent les braves Belges!* Pif, paf!

— Mieć autentycznego detektywa w domu to naprawdę zabawne — roześmiał się Charlie. — Przydałoby się jakieś morderstwo!

— O la, la! — ucieszyła się Jean, podskakując jak fryga. — Wiecie co? Mam pomysł. Sfingujemy jakieś morderstwo i nabierzemy go! Słuchajcie, zróbmy tak! To dopiero będzie heca! Pięć osób zaczęło mówić równocześnie.

— Jak to zrobić?

— Straszne jęki!

— Skądże, głuptasie, to musi być tutaj.

— Jean w nocnej koszuli.

— Potrzebna jest czerwona farba.

— Nalejesz trochę na rękę i przyłożysz do czoła.

— Szkoda, że nie mamy rewolweru.

— Ojciec i ciotka Emma nic nie usłyszą. Ich sypialnie są po drugiej stronie domu.

— Nie, on się na pewno nie obrazi. Ma duże poczucie humoru.

— Jaki rodzaj farby byłby najlepszy? Może olejna?

— Kupimy ją we wsi.

— Niemądry jesteś. Sklepy są zamknięte.

— Najlepsze byłyby farby wodne.

— Jean mogłaby być ofiarą.

— Zmarznie trochę, ale nic jej nie będzie. To nie potrwa długo.

— Nie, lepsza byłaby Nancy. Ma te swoje eleganckie pidżamy.

— Zapytamy Gravesa, czy nie mają tu czerwonej farby. Pędem ruszyli do domu.

— O czym tak dumasz? — zagadnął Levering Rogera Edincotta i roześmiał się raczej cynicznie.

Roger wzdrygnął się. Nie bardzo słuchał tego, co mówili rozbawieni goście.

— Rozmyślałem po prostu — odparł cichym głosem.

— O czym?

— Zastanawiałem się, co właściwie sprowadziło tu Poirota. Levering wydawał się zaskoczony tymi słowami, ale w tej samej chwili rozległ się gong i wszyscy ruszyli do jadalni na świąteczny obiad. Tam okna były już zasłonięte, żyrandole zapalone, a długi stół nakryty pięknie w tradycyjnym stylu. Na jednym jego końcu siedział pan domu z jowialnym uśmiechem na czerstwej twarzy. Naprzeciw niego siostra. Dla uhonorowania święta *monsieur* Poirot włożył czerwoną kamizelkę. Jego tusza oraz sposób przechylania na bok głowy każdemu kojarzyły się z gilem.

Gospodarz pokroił indyka i wszyscy rzucili się na jedzenie. Gdy służba wyniosła dwa szkielety indyków, zapadła cisza. Po chwili lokaj Graves uroczyście wniósł gigantyczny, płonący pudding. Biesiadnicy zaczęli mówić jednocześnie.

— Szybko! Mój kawałek zaraz zgaśnie, a wtedy nie spełni się życzenie. Graves, proszę się pospieszyć!

Nikt nie zauważył zdziwionej miny Poirota, przyglądającego się bacznie swojemu talerzowi, na którym leżał spory kawałek puddingu. Nikt też nie zwrócił uwagi na to, że po kolei przyjrzał się wszystkim biesiadnikom. Wreszcie zmarszczył i uniósł brwi i zabrał się do jedzenia. Podobnie zresztą jak pozostali. Rozmowy przycichły. Nagle twarz pana domu spurpurowiała, uniósł rękę do ust i krzyknął:

— A niech to wszyscy diabli, Emily! Jak możesz dopuszczać do tego, żeby w puddingu znajdowały się kawałki szkła!?

— Szkła? — zdziwiła się panna Endincott. Jej brat wypluł dyskretnie szkło w serwetkę.

— Mogłem sobie złamać ząb — mruknął. — Albo połknąć to paskudztwo i dostać ataku ślepej kiszki.

Przed każdym nakryciem stała miseczka z wodą; wrzucano tam sześciopensówki i inne

niespodzianki, w które obfitował pudding. Pan Endicott wrzucił okruch szkła do wody, opłukał go i podniósł w górę.

— Na Boga! — krzyknął. — To świecidełko z którejs z tych broszek z fałszywymi kamieniami.

— Pan pozwoli? — Poirot sięgnął delikatnie po szkiełko i obejrzał je uważnie. Rzeczywiście, jak stwierdził gospodarz domu, był to spory kamyk w kolorze rubinu. Poirot zaczął go obracać. Światło z żyrandola wydobywało zeń małe iskierki.

— Hej! — krzyknął Eryk. — Może to prawdziwy rubin?

— Głupiś! — skarciła go Jean. — Taki duży rubin jest piekielnie drogi. Nieprawdaż, *monsieur* Poirot?

— Niebywałe, jak teraz przyozdabia się te fałszywe błyskotki — odezwała się panna Endicott. — Zupełnie nie rozumiem, jak to szkiełko dostało się do puddingu.

Niewątpliwie padło kluczowe pytanie. Goście zaczęli rozpatrywać wszystkie możliwe okoliczności. Tylko Poirot milczał i jakby zastanawiał się nad czymś zupełnie innym. Wreszcie niepostrzeżenie wsunął czerwone szkiełko do kieszeni.

Po kolacji udał się do kuchni.

Kucharka była bardzo zdenerwowana, trochę nawet rozeźlona, że przesłuchuje ją jakiś gość, na dodatek cudzoziemiec. Starła się jednak odpowiadać na wszystkie pytania. Puddingi przygotowano trzy dni wcześniej.

— W dniu pańskiego przyjazdu, sir.

Wszyscy goście zostali przez nią zaproszeni do kuchni, żeby kilka razy zakręcili ciasto i, jak każe obyczaj, wypowiedzieli w duchu jakieś życzenie. Ot, taki stary zwyczaj. Może nieznaną za granicą? Potem ciasto wlano do form i gotowano je na parze, następnie umieszczono jedno obok drugiego na półce w spiżarni. Czy któryś pudding czymkolwiek różnił się od pozostałych? Chyba nie. Tyle że ten był w aluminiowej formie, a reszta w fajansowych. Czy przeznaczono go na pierwszy dzień Bożego Narodzenia? Zabawne, że pan o to pyta. Rzeczywiście, nie. Świąteczny pudding zawsze podaje się na dużym porcelanowym półmisku ze wzorkiem w zielone liście. Czerwona twarz kucharki zachmurzyła się. Ale dzisiaj rano jej pomocnica, którą posłała do spiżarni, żeby go przyniosła, bo chciała go raz jeszcze potrzymać na parze, upuściła pudding na podłogę. Półmisek rozbił się w drobny mak. Kucharka w obawie, że ktoś się skaleczy okruchami, na stół posłała inny, ten z dużej aluminiowej formy.

Monsieur Poirot podziękował jej uprzejmie. Wychodząc z kuchni uśmiechał się, jak gdyby był zadowolony z uzyskanych informacji. A w kieszeni palcami prawej ręki bawił się pewnym małym przedmiotem.

— *Monsieur Poirot! Monsieur Poirot!* Niech pan się obudzi! Stało się coś strasznego!

Tymi słowami nazajutrz o bardzo wczesnej godzinie Johnnie obudził pana Poirota. Detektyw usiadł na łóżku i odsunął z czoła szlafmycę. Kontrast pomiędzy dostojnym wyrazem jego twarzy i zawadiacko przechyloną na bok szlafmycą robił wprawdzie bardzo dziwne wrażenie, ale chyba nie rozśmieszył przesadnie Johnniego. Gdyby jego wołanie nie było tak alarmujące, można by sobie wyobrazić, że chłopak bawi się kosztem detektywa. Zza drzwi dochodziły dziwne dźwięki, przypominające zepsuty syfon z wodą sodową.

— Proszę pana bardzo, niech pan natychmiast zejdzie na dół — ciągnął Johnnie lekko drżącym głosem. — Ktoś padł ofiarą morderstwa! — dodał i odwrócił się.

— O, to poważna sprawa — skomentował pan Poirot.

Wyszedł z łóżka i bez większego pośpiechu ubrał się i uczesał. Następnie podążył za Johnniem na dół. Wszyscy goście zgromadzili się przy drzwiach prowadzących do ogrodu. Na ich twarzach malował się strach. Na widok Poirota Eryk zaczął się krztusić ze śmiechu. Jean podeszła do detektywa i położyła dłoń na jego ramieniu.

— Proszę spojrzeć — powiedziała i dramatycznym gestem wskazała otwarte wejściowe drzwi.

— *Mon Dieu!* — wykrzyknął Poirot. — To sprawia wrażenie sceny z jakiejś teatralnej sztuki!

Uwaga ta była słuszna. W nocy spadł świeży śnieg i w bladym świetle wczesnego poranka świat wyglądał jak zaczarowany. Nieskazitelnie białą przestrzeń mąciła tylko jedna wielka, szkarłatna plama.

Nancy Cardell leżała nieruchomo na śniegu. Miała na sobie ciemnoczerwoną pidżamę, spod której sterczały bosc stopy, jej ramiona były szeroko rozpostarte. Przechyloną na bok głowę otaczała masa ciemnych włosów. Nad dziewczyną unosiła się cisza śmierci, a w jej lewym boku tkwiła rękojeść sztyletu—. Plama krwi powoli rozszerzała się wokół nieruchomego ciała.

Poirot podreptał po nieskazitelnym śniegu ku martwej dziewczynie. Nie poszedł na przełaj po pokrytym białym puchem trawniku, wolał się trzymać alejki. Ślady dwóch par butów, jeden męskich, drugi damskich, wiodły do miejsca tragedii. Przy czym ślady po męskim obuwiu wiodły w odwrotnym kierunku. Poirot przystanął i w zamyśleniu gładził podbródek.

Nagle z domu wybiegł Oskar Levering.

— Na litość! — krzyknął. — Co się tutaj dzieje?

Jego zdenerwowanie kontrastowało ze spokojem detektywa.

— To wygląda na morderstwo — odpowiedział. Eryk znów dostał ataku kaszlu.

— Trzeba coś zrobić! — krzyczał Levering. — Ale co, co?

— Należy natychmiast zawiadomić policję.

— Och! —jęknęli wszyscy równocześnie.

Monsieur Poirot spojrział na nich pytającym wzrokiem.

— Tak, tak, to jedyne wyjście z sytuacji. Kto z państwa to zrobił? Po chwili milczenia naprzód wysunął się Johnnie.

— Koniec zabawy — powiedział. — Mam nadzieję, *monsieur Poirot*, że nie pogniewa się pan na nas. To był tylko kawał. Umówiliśmy się, że nabierzemy pana. Nancy po prostu udaje trupa.

Monsieur Poirot przez chwilę patrzył na Johnniego bez specjalnego zdziwienia. W jego oczach zabłyśły przelotne iskierki humoru.

— Więc zażartowaliście sobie ze mnie — wyrzekł spokojnie.

— Bardzo pana przepraszam. Nie powinniśmy byli tego robić. To nie był najmądrzejszy pomysł. Proszę nam wybaczyć.

— Przeprosiny są niepotrzebne — zauważył *Poirot*. Johnnie odwrócił się.

— Wstawaj, Nancy! — krzyknął. — Nie będziesz przecież leżała tak cały dzień.

Leżąca na śniegu postać nie poruszyła się jednak.

— No, wstawaj! — powtórzył Johnnie.

Nancy nawet nie drgnęła. Johnniego przeszył dreszcz strachu.

— Co się dzieje? — zwrócił się do *Poirota*. — Dlaczego ona się nie rusza?

— Proszę za mną — burknął *Poirot*.

Ruszył przez grubą warstwę śniegu ku nieruchomo leżącej Nancy. Gestem ręki kazał innym pozostać na miejscu. Starannie omijał ślady stóp. Johnnie poszedł za nim. Był przerażony świtającą mu w głowie prawdą. *Poirot* klęknął przy dziewczynie, po czym dał chłopcu znak.

— Proszę dotknąć jej ręki i poszukać pulsu.

Johnnie pochylił się i po krótkiej chwili wydał z siebie jęk rozpacz. Ręka Nancy była zimna, ramię sztywne jak kłoda. Ani śladu pulsu.

— Ona nie żyje! — szepnął. — Jak to się mogło stać? I dlaczego? *Poirot* zignorował pierwsze pytanie.

— Dlaczego? — powtórzył. — Ja też się nad tym zastanawiam.

Pochylił się nad ciałem dziewczyny i otworzył jej zaciśniętą na jakimś przedmiocie dłoń. Oboje z Johnniem krzyknęli ze zdumienia. W ręku Nancy błysnął czerwony kamyk.

Poirot szybko wsunął rękę do kieszeni. Była pusta.

— To ten rubin z puddingu — zdziwił się Johnnie. Poirot zaś pochylił się, by obejrzeć sztylet i czerwoną plamę na śniegu. — To nie jest krew! — zawołał Johnnie. — To farba. To zwykła farba.

— Racja — odparł Poirot i wyprostował się. — To tylko farba.

— Więc jak...? — zdziwił się Johnnie i zamilkł w pół zdania. Poirot skończył za niego.

— Jak umarła? To musimy wyjaśnić. Czy ona dzisiaj już coś jadła lub piła?

Ruszył z powrotem swoimi śladami do reszty zgromadzonych. Johnnie podążał za nim.

— Wypiła filiżankę herbaty — mówił chłopak. — Pan Levering ją dla niej zaparzył. Ma w swoim pokoju maszynkę spirytusową.

Głos Johnniego był donośny i wyraźny. Levering dosłyszał jego słowa.

— Zawsze ją wożę ze sobą — oświadczył. — To jedna z najprzydatniejszych rzeczy na świecie. Podczas naszej wizyty moja siostra była z niej bardzo zadowolona. Oszczędza to bowiem służbie mnóstwa pracy.

Poirot przyklęknął i z przepaszającą miną przyjrzał się kapciom na stopach Leveringa.

— Widzę, że zmienił pan obuwie — mruknął cicho.

Levering utkwiał w nim wzrok.

— Panie Poirot! — krzyknęła Jean. — Co my teraz zrobimy?

— Jest tylko jedna rzecz do zrobienia, *mademoiselle*. Trzeba wezwać policję.

— Zaraz to zrobię! — zwołał Levering. — Tylko włożę buty. To nie potrwa długo. A wy wejdźcie do środka, bo się pozaziębiacie. I ruszył do domu.

— Pan Levering jest niezwykle roztropny — zauważył Poirot. — Posłuchajmy zatem jego rady.

— Może należałoby obudzić ojca i pozostałych domowników?

— Nie — powiedział Poirot stanowczo. — To absolutnie niepotrzebne. Do przybycia policji nie wolno tu niczego dotykać. Lepiej chodźmy do środka. Może do biblioteki? Chcę państwu opowiedzieć pewną historyjkę, która może na chwilę pozwoli wam zapomnieć o tej tragedii.

Ruszył naprzód. Reszta podążyła za nim.

— Jest to historyjka pewnego rubinu. — Poirot rozsiadł się wygodnie w fotelu. — Bardzo słynnego rubinu, który należał do bardzo słynnego człowieka. Nie wymienię jego nazwiska, ale jest jednym z wielkich tego świata. Otóż ten wielki człowiek przyjechał do Londynu incognito. A ponieważ był nie tylko słynny, ale młody i niemądry, wdał się w romans z ładną młodą kobietą. Dziewczyna zainteresowała się nie tyle młodym człowiekiem, co jego majątkiem. I to do tego stopnia, że pewnego dnia ulotniła się z historycznym rubinem, który od wieków był w rękach jego rodziny. Nieszczęsny młodzieniec znalazł się w tarapatkach. Wkrótce miał wziąć ślub z pewną księżniczką i bał się skandalu. Wciągnięcie w to policji okazało się niemożliwe, zatem zwrócił się do mnie, Herkulesa Poirota. „Proszę odnaleźć mój rubin”, zażądał. *Eh bien*, wiem coś niecoś o tej dziewczynie. Ma brata, razem z nim wykonała kilka bardzo sprytnych skoków. Przypadkowo dowiedziałem się, gdzie zamierza spędzić Boże Narodzenie. Dzięki uprzejmości pana Endicotta, również mojego dawnego znajomego, zostałem tutaj zaproszony na święta. Gdy ta ładna młoda dziewczyna dowiedziała się, że i ja tu będę, zaczęła się niepokoić. Jest inteligentna, poza tym wie, że szukam rubinu. Musi natychmiast schować go w bezpieczne miejsce. Zgadnijcie gdzie? Wciska go do puddingu, znajdującego się w aluminiowej formie, innej od pozostałych. Przez dziwny przypadek ten właśnie pudding podano gościom na świąteczny obiad.

Zapominając na chwilę o tragedii wszyscy słuchali Poirota z zapartym tchem.

— Zrobiła to — ciągnął Poirot — i położyła się spać.

Wyjął z kamizelki zegarek.

— Zdaje się, że służba zaczęła się już krzątać. Jakoś przeciąga się nieobecność pana Leveringa. No cóż, myślę, że zabrał ze sobą siostrę. Gdzież ta policja?

Evelyn zerwała się z krzykiem z krzesła. Nie spuszczała oczu z Poirota.

— I ja myślę, że już ich więcej nie zobaczymy! Oskar Levering od dawna balansował na granicy prawa, ale teraz noga powinęła mu się na dobre. Od rana straszylam i kusiłam go na przemian. On i jego siostra przez pewien czas zamieszkają pod przybranym nazwiskiem za granicą. Gdyby zdecydował się na odkrycie kart, mógłby wejść w posiadanie rubinu w czasie, gdy wszyscy byliśmy w domu, a on udał, że idzie po policję. Ale to oznaczałoby spalenie za sobą wszystkich mostów. Jednak z chwilą, gdy zrodziło się podejrzenie o morderstwo, ucieczka była jedynym rozwiązaniem.

— Więc to on zabił Nancy? — zapytała szeptem Jean.

Poirot wstał z fotela.

— Proponuję, żebyśmy powrócili na miejsce zbrodni — zaproponował.

Poszedł pierwszy, a za nim cała młodzież. Gdy znaleźli się przed domem, niemal chórem wydali okrzyk zdumienia. Wszelkie ślady zbrodni zniknęły. Śnieg na murawie był gładki i nietknięty.

— Kurczę! — krzyknął Eryk, siadając ciężko na schodku. — Czy to się nam śniło?

— To niezwykle — zgodził się Poirot. — „Tajemnica znikających zwłok”. — W jego oczach

pojawiły się iskierki humoru.

Tknięta nagłym podejrzeniem Jean podeszła do niego.

— Czy pan z nas sobie... przez cały ten czas kpił? — zapytała. — Zaczynam to podejrzewać.

— To prawda, moje dzieci. Wiedziałem, że zamierzacie zrobić mi kawał, więc zorganizowałem, że tak powiem, kontrkawał. O, jest i panna Nancy. Wspaniale zagrała swoją rolę i mam nadzieję, że to jej nie zaszkodziło.

Nancy Cardell ukazała się wszystkim we własnej osobie, zdrowa i pełna wigoru.

— Chyba się pani nie przeziębiła? Czy wypita pani ziołową herbatkę, którą kazałem jej podać do sypialni?

— Wzięłam jeden łyk i to mi wystarczyło. Nic mi nie jest. Czy jest pan ze mnie zadowolony, *monsieur* Poirot? Boli mnie tylko jeszcze ramię, które pan tak ścisnął bandażem, by zsiniało.

— Była pani wspaniała, *ma petite*. Ale powinniśmy oświecić pani przyjaciół. Widzę, że jeszcze nie bardzo rozumieją, co się stało. Otóż było tak. Powiedziałem *mademoiselle* Nancy, że znam wasze zamiary, ten wasz mały *complot*, i zapytałem, czy nie zechciałaby zagrać dla mnie pewnej roli. Zgodziła się i wykonała ją perfekcyjnie. Poprosiła pana Leveringa, by zaparzył jej filiżankę herbaty i namówiła go, żeby zostawił ślady stóp na śniegu. Ale gdy „dziwnym zbiegiem okoliczności” okazało się, że dziewczyna została zamordowana, miałem już wszystko, co potrzebne do zastraszenia delikwenta. *Mademoiselle*, proszę im powiedzieć, co się zdarzyło, gdy powróciliśmy do domu.

— Wraz z siostrą zszedł na dół, wyrwał mi rubin z dłoni i oboje ulotnili się najszybciej jak tylko mogli.

— *Monsieur* Poirot, co będzie z rubinem? — zdenerwował się Eryk. — Czy pan pozwoli, żeby z nim uciekli?

Poirot jakby ugiął się pod naporem oskarżycielskich podejrzeń wszystkich obecnych.

— Zdobędę go z powrotem — powiedział bez większego przekonania. Czuł, jak jego autorytet gwałtownie maleje.

— Myślę, że... — zaczął Johnnie i po chwili dodał: — Przecież coś takiego nie może im ujść na sucho.

Jean była jeszcze bardziej zdenerwowana.

— On sobie znowu z nas żartuje! — zawołała. — Niech się pan przyzna, *monsieur*.

— Proszę wsunąć rękę do mojej lewej kieszeni, *mademoiselle*. Jean zrobiła, co jej kazano, po czym z okrzykiem triumfu uniosła rękę do góry. Trzymała w niej wspaniałą, jaskrawoczerwony, autentyczny rubin.

— No widzi pani — odezwał się Poirot. — Tamten to była imitacja, którą przywiozłem ze sobą z Londynu.

— Jaki pan przebiegły! — zachwyciła się Jean.

— Nie wyjawiał nam pan jeszcze tylko jednej rzeczy — odezwał się nagle Johnnie. — Jak pan się dowiedział o naszych planach? Czy to Nancy nas zdradziła?

Poirot potrząsnął głową.

— Więc skąd pan wiedział?

— Orientowanie się we wszystkim to moja specjalność — uśmiechnął się detektyw. Spojrzał na Evelyn Haworth i Rogera Endicotta, którzy ukazali się w alejce prowadzącej ku domowi.

— Niech pan nam wszystko opowie — odezwały się błagalne głosy. — Bardzo, bardzo prosimy! Drogi panie Poirot, będziemy naprawdę bardzo wdzięczni!

Otoczył go wianuszek rozpalonych, pełnych ciekawości twarzy.

— Rzeczywiście chcecie, żebym wyjaśnił wam tę tajemniczą sprawę?

— Och, tak.

— Niestety, nie mogę.

— Dlaczego nie?

— *Ma foi*, bylibyście bardzo rozczarowani.

— Niechże pan mówi! Jak odgadł pan nasze plany?

— Widzicie więc, byłem w bibliotece...

— Tak?

— A wy omawialiście głośno wasz pomysł stojąc pod jej oknami. Jedno okno było otwarte.

— Czy to wszystko? — Eryk skrzywił się niemal ze zgorzaniem. — Czyżby to było takie proste?

— No właśnie — zgodził się Poirot.

— W każdym razie już wszystko jest jasne — powiedziała Jean z zadowoleniem.

— Czyżby? — uśmiechnął się detektyw i wolnym krokiem ruszył w stronę domu. — Bo ja mam jeszcze pewne wątpliwości. Ja, którego specjalnością jest poznawanie całej prawdy.

I po raz co najmniej dwudziesty wyciągnął z kieszeni dość wymięty kawałek papieru.

Nie jedz puddingu...

Monsieur Poirot potrząsnął głową ze zdumieniem i w tej samej chwili usłyszał coś w rodzaju westchnienia blisko swoich stóp. Spojrzał w dół i zobaczył niewielkie stworzenie w sukience w kwiatki. Dziewczyna w lewej ręce trzymała szufelkę do śmieci, a w prawej zmiotkę.

— A kim ty jesteś, moje dziecko? — zapytał.

— Annie Icks, sir, pomocnica pokojówki.

Poirot doznał nagłego olśnienia. Podsunął służącej liścik.

— Powiedz mi, Annie, czy ty to napisałaś?

— Tak, ale bez złych zamiarów, sir. Poirot obdarzył ją uśmiechem.

— Oczywiście, że bez. A może byś mi teraz wszystko opowiedziała?

— To byli oni, sir... Pan Levering i jego siostra. My ich bardzo nie lubimy. Ona wcale nie zachorowała. Cała służba była tego pewna. Pomyślałam sobie, że na pewno szykują coś niedobrego. Szczerze powiem, sir, że podsłuchiwałam pod drzwiami i usłyszałam jasno i wyraźnie, jak on do niej powiedział: „Ten człowiek, ten Poirot, jest nam bardzo nie na rękę. Trzeba się go pozbyć możliwie jak najszybciej”. A potem to jeszcze dodał: „Gdzie go włożyłaś?”. A ona na to: „Do puddingu”. Wtedy pomyślałam, że oni chcą pana otruć i nie miałam pojęcia, co robić. Kucharka nawet by mnie nie wysłuchała. Więc wpadło mi do głowy, żeby napisać do pana karteczkę z ostrzeżeniem. Położyłam ją na stoliku w holu, bo byłam pewna, że pan Graves, nasz lokaj, z pewnością ją dostrzeże i panu dostarczy.

Annie urwała dla nabrania tchu. Poirot przyglądał się jej poważnie kilka minut.

— Czytasz wiele romansów, Annie — powiedział wreszcie. — Ale masz dobre serce i nawet sporo rozumu w głowie. Kiedy wrócę do Londynu, prześlę ci znakomity poradnik na temat prowadzenia domu, a także „Żywoty świętych” i jakieś dzieło na temat sytuacji społecznej kobiet.

Odszedł, pozostawiając dziewczynę zupełnie oszołomioną. Zamierzał pójść do biblioteki, ale przez otwarte drzwi zobaczył przytulone do siebie dwie głowy — jedną jasną, drugą ciemną, więc się zatrzymał. Nagle ktoś zarzucił mu ramiona na szyję.

— Stoi pan dokładnie pod jemiolą. Proszę się nie ruszać! — usłyszał głos Jean.

— A potem moja kolej — odezwała się Nancy.

Monsieur Poirot był bardzo zadowolony. Był naprawdę bardzo zadowolony.

Posłowie

„Bożonarodzeniowa przygoda” po raz pierwszy ukazała się pod tytułem „The Adventure of the Christmas Pudding” w piśmie „Sketch” 12 grudnia 1923 roku jako ostatnie opowiadanie z serii zatytułowanej „The Grey Cells of M. Poirot”. W latach czterdziestych opowiadanie to ukazało się ponownie pod tytułem „Zagadka gwiazdkowego puddingu” w dwóch niewielkich zbiorach „Problem at Pollensa Bay and Other Stories” („Detektywi w służbie miłości”, W-wa, Prószyński i S-ka 1997) oraz „Poirot Knows the Murderer”. W kilka lat później została przez autorkę poszerzona do rozmiarów noweli i włączona do zbioru „The Adventure of the Christmas Pudding and a Selection of Entrees” („Zagadka gwiazdkowego puddingu”, Gdańsk, Phantom Press International, 1993).

W przedmowie do tego zbioru Agatha Christie mówi, że opowiadanie przypomina jej święta Bożego Narodzenia z czasów wczesnej młodości, które po śmierci ojca zawsze spędzała wraz z matką w Abney Hall w miejscowości Stockport. Posiadłość ta została zbudowana przez sir Jamesa Wattsa, niegdyś lorda majora Manchesteru i dziada Jamesa Wattsa, męża starszej siostry autorki, Madge. W opublikowanej w 1977 roku „Autobiografii” Agatha Christie opisuje Abney jako „wprost wymarzony dom na Boże Narodzenie”, zwłaszcza dla dziecka. Był ogromny, w stylu wiktoriańskiego gotyku, z mnóstwem pokoi, korytarzy, niespodzianych podestów, schodów frontowych, kuchennych, alków, nisz —jednym słowem, wszystkiego, co lubią dzieci. Były tam również trzy fortepiany, na których pozwalano każdemu grać, a także organy. W innym miejscu autorka opisuje stoły uginające się pod mnóstwem potraw i panującą tam niezwykłą gościnność... W zawsze otwartej spiżarni każdy mógł raczyć się czekoladą i wszelkiego rodzaju łakociami. Agatha, kiedy się akurat nie objadała — zazwyczaj na wyścigi z młodszym bratem Jamesa Wattsa Humphreyem — bawiła się w różne gry z nim, jego młodszymi braćmi Lionelem i Milesem oraz siostrą Nan. Niewykluczone, że to oni właśnie są prototypami młodych ludzi z niniejszego opowiadania, którzy tak wesoło spędzali święta Bożego Narodzenia, kiedy spadło mnóstwo śniegu, a oni mieli „w domu autentycznego detektywa”.

Samotny bożek

Stał w British Museum, samotny i zagubiony pośród wielu najwyraźniej znaczniejszych bożków. Umieszczone na półkach wzdłuż czterech ścian jednej z sal posążki zdawały się emanować poczuciem wyższości. Każdy miał na podstawie napis, określający kraj i naród, które niegdyś miały przywilej ich czczenia. Nie było wątpliwości co do ich rangi i pozycji. W swoim czasie wszystkie niezmiernie się liczyły i cieszyły wielkim szacunkiem.

Tylko jeden schowany w kącie mały posążek sprawiał wrażenie samotnego i wyobcowanego. Wykonany z grubo ciosanego szarego kamienia, o niemal całkowicie zatartych na skutek upływu czasu i zgubnych zjawisk natury rysach twarzy, siedział w pozycji wyrażającej całkowitą izolację, z łokciami opartymi o kolana, głową ukrytą w dłoniach — smutny, maleńki bożek w obcym Kraju.

Na podstawie nie było inskrypcji, która wskazywałaby na kraj pochodzenia. Był rzeczywiście zagubiony, wyzuty z wszelkich śladów dawnej pozycji i uznania. Mała, nieszczęsna figurka bardzo daleko od domu. Prawie nikt nie zwracał na nią uwagi, nikt się przed nią nie zatrzymywał. A zresztą po co? Był tak niepokorny. Po prostu wciśnięta w kąt bryłka szarego kamienia. Po obu jej stronach umieszczono dwa meksykańskie bożki o wygładzonych przez czas konturach — znieruchomiałe idole z zamierzchłej przeszłości. Siedziały ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, a na ich wargach igrał okrutny uśmiezek, zdradzający ostentacyjną pogardę dla ludzkości. Tuż obok stał tęgi, emanujący poczuciem własnej ważności niewielki bożek, unoszący do góry zaciśniętą pięść. Cała jego postać wyrażała niebotyczne wręcz zarozumiałstwo. Od czasu do czasu któryś ze zwiedzających zatrzymywał się przed nim, rozbawiony zapewne kontrastem pomiędzy jego bezsensownym nadęciem a obojętnością, jaka była z uśmiechniętych twarzy jego meksykańskich współtowarzyszy.

A mały, nieszczęsny bożek siedział beznadziejnie smutny z ukrytą w dłoniach twarzą. Mijały lata, aż pewnego dnia niemożliwe stało się rzeczywistością. Mały bożek znalazł admiratora.

— Czy jest dla mnie jakaś poczta?

Portier wyjął ze skrzynki pakiet listów, przejrzał je pobieżnie i odpowiedział drewnianym głosem:

— Nic dla pana nie ma.

Frank Oliver westchnął i opuścił klub. Właściwie nie spodziewał się żadnej poczty. Mało kto do niego pisał. Od powrotu z Birmy, czyli od wiosny, odczuwał rosnącą i coraz dotkliwszą samotność.

Oliver właśnie przekroczył czterdziestkę. Ostatnie osiemnaście lat spędził w odległych częściach naszego globu, z krótkimi urlopami w rodzinnej Anglii. Kiedy wreszcie powrócił na stałe do ojczyzny, uświadomił sobie, że (właściwie jest bardzo samotnym człowiekiem.

Miał wprawdzie siostrę Grete, żonę pastora, mieszkającą w hrabstwie York, ale pochłaniały ją liczne parafialne obowiązki oraz wychowywanie kilkorga małych dzieci. Istniał też stary przyjaciel, niejaki Tom Hurley. Tom był żonaty z miłą, inteligentną i wesołą dziewczyną, bardzo praktyczną i apodyktyczną, której Frank bał się w skrytości ducha. Przekonywała go energicznie, że nie można dopuścić, by został zgorzkniałym starym kawalerem, i nieustannie podsuwała mu jakieś „młode dziewczęta”. Frank Oliver nigdy nie miał pojęcia, o czym rozmawiać z tymi „miłymi dziewczętami”, one natomiast tolerowały go przez pewien czas, a potem znikwały, uznając, że jest beznadziejny.

W gruncie rzeczy Frank Oliver wcale nie był samotnikiem. Wręcz przeciwnie, marzył o przyjaźni i ludzkiej sympatii, ale im dłużej mieszkał w Anglii, tym bardziej zaczynał wątpić, iż jest to możliwe. Zbyt wiele czasu spędził za granicą i czuł, że nie potrafi nadążyć za panującymi obecnie zwyczajami. Całymi dniami wałęsał się po mieście, zastanawiając się bez większej nadziei, co dalej począć.

Pewnego dnia zaszedł do British Museum. Interesowały go azjatyckie eksponaty i właśnie dzięki nim natknął się na samotnego bożka, który go oczarował. Wyczuł w nim pewne niejasne pokrewieństwo. Był to ktoś podobnie jak on zagubiony w obcym świecie. Zaczął mu składać częste wizyty i całe kwadransy spędzał przed szarą, kamienną figurką, ukrytą prawie przed wzrokiem zwiedzających na wysokiej półce.

Smutny jest los tego posążka — myślał sobie. — Z pewnością w dawnych wiekach adorowano go, składano mu ofiary i hołdy.

Po jakimś czasie poczuł się niemal właścicielem posążka, toteż gdy pojawił się drugi adorator, oburzyło go to do głębi. Uważał się za odkrywcę tej figurki i uważał, że nikt inny nie ma do niej prawa.

Jednak po chwili się opamiętał. I nawet uśmiechnął do siebie. Albowiem drugim wielbiciele, a raczej wielbiciele, okazała się postać niepozorna, maleńka i nieco żalosna, odziana w czarne wytarte paletko i spódniczkę pamiętającą znacznie lepsze czasy. Dziewczyna mogła mieć najwyżej dwadzieścia kilka lat. Była jasną blondynką o niebieskich oczach i opuszczonych smętnie kącikach ust.

Jej kapelusik prawie go wzruszył i nie wiadomo dlaczego pobudził opiekuńcze uczucia. Najwyraźniej sama go ześciboliła w śmiałym zamiarze zafundowania sobie czegoś modnego. Może dlatego sprawiał takie żalosne wrażenie. Dziewczyna niewątpliwie pochodziła z dobrej, choć podupadłej rodziny. Oliver po namyśle doszedł do wniosku, że jest guwernantką i sierotą.

Wkrótce się zorientował, że przychodzi do muzeum regularnie we wtorki i w piątki, zawsze o dziesiątej, czyli w chwili otwarcia. Z początku mu przeszkadzała, ale po pewnym czasie stała się jedynym stałym punktem monotonnej egzystencji Franka. Wreszcie wyparła przedmiot jego adoracji i nawet jakby go zastąpiła. Dzień, w którym nie spotkał „małej samotnej pani”, jak już ją w duchu nazywał, zaczął uważać za stracony.

Niewykluczone, że ona była nim także zainteresowana i próbowała to ukryć, demonstrując rosnące zaciekawienie bożkiem. Powoli, bardzo powoli zawiązywała się między dwojgiem ludzi nić sympatii, mimo że jeszcze nie zamienili ze sobą ani jednego słowa. Oliver był po prostu zbyt

nieśmiały, by zrobić pierwszy krok. Mówił sobie, że dziewczyna najprawdopodobniej nie zwróciła nań najmniejszej uwagi (choć, w głębi duszy, w to nie wierzył) i gdyby ją zagadnął, uznałaby to za impertynencję. Zresztą nie miał najmniejszego pojęcia, od czego zacząć.

Jednakże Przeznaczenie, a może mały bożek, ulitowały się nad nim i podsunęły mu inspirację — lub coś, co za takową uznał. Zachwycony swoim pomysłem kupił damską chusteczkę do nosa, cieniutką jak mgiełka, uszytą ze szlachetnego batystu i koronki. Była tak delikatna, że niemal bał się jej dotknąć. Tak zaopatrzony poszedł za dziewczyną i zagadnął ją w sali egipskiej.

— Przepraszam najmocniej, ale czy nie jest to pani chusteczka?

Usiłował mówić możliwie najobojętniejszym tonem, ale mu się to nie udało.

„Samotna pani” wzięła od niego chusteczkę i przyjrzała się jej z przesadną uwagą.

— Nie, nie jest moja — zwróciła mu ją i dodała, obrzucając go, jak mu się zdawało, pogardliwym spojrzeniem: — Jest zupełnie nowa. Ma jeszcze nawet metkę z ceną.

Oliver nie chciał się przyznać nawet przed sobą, że został zdemaskowany. Mimo to zaczął się gęsto tłumaczyć.

— Zauważyłem ją pod tą dużą skrzynią — mówił szybko. — Po lewej stronie. A ponieważ pani stała tuż obok, pomyślałem, że może ją pani zgubiła, więc oczywiście pobiegłem za panią.

— Nie, nie jest moja — powtórzyła i dodała, jakby się lękała, że robi wrażenie osoby niewdzięcznej: — Ale i tak panu dziękuję.

Konwersacja się urwała. Oboje poczuli się skrępowani. Dziewczyna zarumieniła się, widać było, że jest speszona i że zastanawia się, jak się wycofać w możliwie uprzejmy sposób.

On zaś gorączkowo myślał, jak wykorzystać sytuację.

— Nie spodziewałem się, że w Londynie jest druga osoba, która interesuje się naszym biednym małym bożkiem, dopóki pani się nie pojawiła — powiedział wreszcie.

— To pan też go tak nazywa? — zapytała ożywionym tonem, zapominając o swojej rezerwie.

Było jasne, że jeżeli zauważyła użyty przez niego zaimek, nie wzięła mu go za złe.

— Oczywiście — odparł najnaturalniej w świecie.

Znów zapanowało milczenie, tchnące jak gdyby wzajemnym zrozumieniem.

Przerwała je „samotna pani”, przypomniawszy sobie obowiązujące konwenanse.

Wyprostowała się na całą swoją wysokość, z niemal śmiesznym wysiłkiem przybrała dystygowany, tak nie licujący z jej nikłą posturą wyraz twarzy i powiedziała lodowatym tonem:

— Czas na mnie. Do widzenia.

Skinęła lekko głową i oddaliła się sztywnym krokiem.

Według wszelkich obowiązujących reguł Frank Oliver powinien czuć się odrzucony, lecz zgodnie z coraz bardziej widocznymi żalonymi oznakami własnej degrengolady jedynie mruknął do siebie:

— Urocze stworzenie!

Wkrótce poczuł się wszakże ukarany za swą lekkomyślność. Przez następne dziesięć dni „urocze stworzenie” nie pokazało się w muzeum. Był zrozpaczony! A więc ją wystraszył! Ona tu już nigdy nie wróci! Okazał się brutalem, idiotą! Nigdy jej już nie zobaczy!

Zrozpaczony, błąkał się beznadziejnie całymi dniami po British Museum. Może dziewczyna po prostu zmieniła godziny swych odwiedzin? Wkrótce poznał na pamięć większość eksponatów w salach sąsiadujących z salą bożka i poczuł żywą niechęć do mumii. Strażnik przyglądał mu się podejrzliwie, kiedy spędził trzy godziny, próbując odcyfrować asyryjskie hieroglify, a później niemal oszalał z nudów od nie kończącej się kontemplacji glinianych naczyń, z rozmaitych dawnych epok.

Aż pewnego dnia jego cierpliwość została wynagrodzona. Dziewczyna zjawiała się wreszcie. Miała trochę bardziej rumiane policzki i bardziej niż kiedykolwiek usiłowała stworzyć obraz osoby bardzo pewnej siebie.

Powitał ją z radością.

— Dzień dobry. Nie było tu pani od wieków.

— Dzień dobry — odparła lodowatym tonem i zignorowała próbę nawiązania konwersacji.

Ale Frank był zdeterminowany.

— Proszę pani — powiedział i spojrzał na nią oczami, które od razu skojarzyły się jej ze ślepiami wielkiego, wiernego brytana. — Zostańmy przyjaciółmi. Jestem bardzo samotny w tym mieście. Nie tylko w tym mieście zresztą, ale w całym świecie. Pani chyba też. Powinniśmy się lepiej poznać. Poza tym zostaliśmy sobie przedstawieni przez małego bożka.

Spojrzała niego z pewnym zdziwieniem i słaby uśmiech pojawił się w kącikach jej ust.

— Czyżby?

— Naturalnie!

Po raz drugi próbował być wobec niej bardzo pewny siebie i teraz, podobnie jak za pierwszym razem, jakoś to na nią podziałało, bo po krótkiej chwili powiedziała z tą jakby arystokratyczną nutą w głosie:

— No to zgoda.

— Cudownie — odparł prawie szorstko Frank, a w jego tonie było coś takiego, co kazało dziewczynie spojrzeć na niego w nagłym przypływie współczucia.

I tak zaczęła się ich dziwna przyjaźń. Dwa razy w tygodniu spotykali się przed pogańskim bóstwkiem. Z początku rozmawiali wyłącznie na jego temat. Był dla nich paliatywem, punktem zaczepienia. Zastanawiali się nad jego pochodzeniem. Frank uważał go za żadnego krwi, groźnego tyrana, nieustannie domagającego się ofiar z ludzi, tyrana, przed którym drżał i kajał się cały kraj. Jego tragedia polegała — sądził — na kontraście między dawną pozycją władzy a dzisiejszym poniżeniem.

„Samotna pani” nie zgadzała się z nim. Jej zdaniem był łagodnym małym bożkiem; wątpiła, czy kiedykolwiek miał silną władzę. Gdyby tak było, nie cierpiałby dzisiaj tak zagubiony i samotny. Kochała go i ubolewała nad tym, że zmuszony jest siedzieć tak dzień w dzień pośród tych wszystkich wstrętnych, wyniosłych, najwyraźniej wyśmiewających się z niego kamiennych idoli. Po tej gwałtownej obronie małego bożka mała pani wydawała się całkiem wyczerpana.

Po pewnym czasie temat bożka znużył ich i zaczęli opowiadać sobie o własnych sprawach. Frank Oliver przekonał się, że jego przypuszczenia były słuszne. Dziewczyna pracowała jako guwernantka u pewnej rodziny w Hampstead. Od razu poczuł niechęć do tych ludzi, szczególnie do pięcioletniego Teda, o którym opowiadała, że jest nawet dosyć grzeczny, i do bliźniaków, które potrafiły być nieznośne, a może raczej niezbyt zdyscyplinowane. Poza tym była tam jeszcze mała Molly, która odmawiała wykonywania jakichkolwiek poleceń, miała jednak tyle wdzięku, że nikt nie potrafił się na nią gniewać.

— Te dzieciaki strasznie panią wykorzystują! — oświadczył Frank oskarżycielskim tonem i z ponurą miną.

— Skądże! — oburzyła się. — Jestem wobec nich bardzo stanowcza.

— Już to widzę — roześmiał się, ale ona zmusiła go do przeproszenia za ten sceptycyzm.

Wyznała mu, że jest sierotą. Nie miała nikogo na świecie.

On opowiedział jej coś niecoś o swoim życiu zawodowym, które było raczej uporządkowane i niepozabawione sukcesów. A także o swoim życiu prywatnym, które polegało — jak się wyraził — na niszczeniu kilometrów płótna.

— Oczywiście nie mam pojęcia o malowaniu — przyznał się. — Ale zawsze wydawało mi się, że mam pewne zdolności i może kiedyś coś stworzę, zwłaszcza że nieźle rysuję. Ale chodzi mi o prawdziwy, namalowany farbami obraz. Pewien człowiek, który się na tym zna, powiedział mi kiedyś, że mam zupełnie niezłą technikę.

Zainteresowało ją to, prosiła, żeby opowiedział jej nieco więcej na ten temat.

— Jestem przekonana, że pan ma talent — oświadczyła.

— Och, nie. Ostatnio rozpocząłem kilka obrazów, ale wszystkie ze wstrętem wyrzuciłem. Niegdyś wyobrażałem sobie, że gdybym tylko miał dużo wolnego czasu, poszłoby mi gładko. Od lat głównie o tym myślałem, lecz podobnie jak ze wszystkim innym, za późno zdecydowałem się temu poświęcić.

— Nigdy nie jest za późno — odrzekła dziewczyna z pewnością siebie właściwą młodym ludziom.
— Nigdy.

Uśmiechnął się i pochylił nad nią.

— Tak sądzisz, moje dziecko? Ja jestem innego zdania. Mała pani roześmiała się i nazwała go Matuzalemem.

Z czasem w British Museum poczuli się jak w domu. Solidnie zbudowany, sympatyczny strażnik, patrolujący tę część galerii, był człowiekiem pełnym taktu, więc gdy widział, że nadchodzą, przypominał sobie zazwyczaj, że obowiązki wzywają go do sali zbiorów asyryjskich.

Pewnego dnia Frank zdobył się na zuchwałstwo. Zaprosił małą panią na herbatę.

Z początku odmówiła.

— Nie mam czasu. Nie jestem wolna. Przychodzę tu przed południem w te dni, kiedy dzieci mają lekcje francuskiego.

— Nonsens — oburzył się. — Niech się pani zwolni któregoś dnia z pracy. Proszę uśmiercić ciotkę albo kuzynkę z drugiej linii. Pójdziemy do jednej z tych małych kawiarni firmy ABC. Jedna jest bardzo niedaleko stąd. Przypuszczam, że pani lubi drożdżowe ciasteczka.

— O tak, szczególnie te za pensa, z rodzynkami.

— I glazurą na wierzchu...

— Są takie pulchne i pyszne.

— W drożdżówkach jest coś bardzo kojącego.

W końcu umówili się i mała guwernantka zjawiała się w kawiarni z kosztowną cieplarnianą różą u paska sukni.

Od pewnego czasu zauważył na jej twarzy wyraz niepokoju i troski. Było to wyraźnie widoczne owego popołudnia, kiedy siedziała naprzeciw niego przy okrągłym marmurowym stoliku i nalewała herbatę do filiżanek.

— Dzieci pani nadokuczały? — zapytał z troską.

Potrząsnęła przecząco głową. W ostatnich tygodniach jakoś bardzo niechętnie wdawała się w rozmowę o dzieciach.

— Z dziećmi wszystko w porządku. One mnie nigdy nie denerwują.

— Czyżby?

Jego współczujący ton dziwnie ją podrażnił.

— Przecież mówię, że nigdy. Ale ostatnio było mi jakoś smutno, czułam się bardzo samotna — pożałowała się.

Poruszony Frank powiedział szybko:

— Rozumiem, moje dziecko. Rozumiem to doskonale. Po chwili dodał:

— Czy pani zdaje sobie sprawę, że nigdy nie zapytała mnie pani nawet, jak mi na imię?

Uniosła dłoń w geście protestu.

— Przykro mi, ale wcale nie chcę znać pańskiego imienia. A pan niech nie pyta o moje. Pozostawmy parą obcych, samotnych ludzi, którzy spotykają się od czasu do czasu i się przyjaźnią. To takie wspaniałe i niezwykłe.

— Doskonale — rzekł powoli i z namysłem. — Żyjąc na tym wielkim, pełnym samotników świecie, bądźmy dwojgiem ludzi, którzy mogą na siebie liczyć.

Powiedział mniej więcej to samo co ona, ale mimo to było jej trudno rozmawiać z nim tego popołudnia. Pochylała się coraz niżej nad swoim talerzykiem, aż w końcu było widać tylko główkę jej kapelusza.

— Bardzo ładny kapelusz — odezwał się Frank po chwili.

— Sama go przybrałam — pochwaliła się.

— Domyśliłem się, gdy tylko go zobaczyłem — odparł, nieświadomy popełnionego nietaktu.

— Obawiam się, że nie wypadł tak modnie, jak chciałam — westchnęła.

Znów zapadła krępująca cisza.

Frank Oliver wziął się na odwagę i przerwał ją.

— Moja maleńka pani — powiedział. — Nie chciałem tego jeszcze mówić, ale już nie mogę się powstrzymać. Kocham. Pragnę. Kocham od pierwszego wejrzenia, od momentu, kiedy zobaczyłem cię stojącą w czarnym kostiumiku przed naszym bożkiem. Posłuchaj, najdroższa, gdy dwoje samotnych ludzi schodzi się ze sobą, kończy się samotność. Jakżebym zaczął pracować, och, z jakim entuzjazmem! Malowałbym cię bez przerwy. Potrafiłbym! Wiem to na pewno! Och, ty moja droga, kochana, mała dziewczyno, nie mogę już żyć bez ciebie! Nie mogę!

Wpatrywała się w niego intensywnie, a gdy się wreszcie odezwała, zaskoczyła go całkowicie.

— Kupiłeś tę chusteczkę — stwierdziła.

Zdumiał go ten dowód kobiecej przenikliwości, ale jeszcze bardziej to, że zapamiętała tamto zdarzenie i użyła go przeciw niemu w takiej chwili. Od tamtej pory minęło wystarczająco dużo czasu, żeby mu to wybaczyła.

— Przyznaję się — wyznał ze skruchą. — Potrzebny mi był pretekst do rozpoczęcia rozmowy. Czy bardzo się gniewasz?

Pokornie czekał na jej odpowiedź.

— To było bardzo miłe z twojej strony — roześmiała się mała kobietka. — Naprawdę.

Głos jej prawie się łamał.

— Powiedz mi, moja mała, czy mam u ciebie szansę? Wiem, że jestem brzydki, nieokrzesany, stary...

— Nic podobnego! — krzyknęła. — Nie chciałabym, żebyś był inny, pod żadnym względem. Kocham cię takim, jakim jesteś, czy tego nie rozumiesz? Nie dlatego, że mi ciebie żal, nie dlatego, że jestem sama jedna na świecie i marzę o tym, żeby ktoś mnie hołubił i dbał o mnie. Kocham cię. Rozumiesz?

— Czy to możliwe? — szepnął ledwie dosłyszalnym głosem.

— Tak — odparła z naciskiem.

Oboje poczuli się bezgranicznie szczęśliwi.

— Kochanie, znaleźliśmy się w siódmym niebie — powiedział Frank Oliver po chwili.

— W kawiarence ABC — uzupełniła głosem, w którym słychać było i śmiech, i łzy.

Jednakże należało powrócić do rzeczywistości.

— Nie miałam pojęcia, że jest tak późno! — zdenerwowała się nagle mała pani. — Muszę natychmiast wracać do domu.

— Odprowadzę cię.

— Och, nie!

Musiał jej ustąpić. Podprowadził ją tylko do najbliższej stacji metra.

— Do zobaczenia, najdroższy — powiedziała i z całej siły uścisnęła jego rękę. Przypomnił to

sobie później.

— Do widzenia, do jutra! — zawołał wesoło. — O dziesiątej, jak zwykle. Wyjawimy sobie nasze imiona, opowiemy sobie historie naszego życia. Będziemy szalenie prozaiczni i praktyczni.

— Niebu niech będą dzięki — szepnęła.

— Oby nas zawsze miało w swojej opiece, najdroższa!

Uśmiechnęła się do niego, ale w oczach miała smutek, który go niepokoił. A potem bezlitosna winda powiozła ją w dół, ku peronom.

Był trochę zaniepokojony jej ostatnimi słowami, szybko jednak wyrzucił je z pamięci i zastąpił radosnym wyczekiwaniem jutrzejszego dnia.

O dziesiątej znalazł się na ich zwykłym miejscu. Po raz pierwszy zauważył, z jaką niechęcią przyglądają mu się pozostałe bożki. Mogłoby się wydawać, że znają jakąś jego wstydliwą tajemnicę i czerpią z tej świadomości swoistą przyjemność. Speszyla go ich jawna wrogość.

Małeńka pani się spóźniała. Dlaczego? Atmosfera tego miejsca zaczęła mu działać na nerwy. Jego smętny przyjaciel (ich bożek) wydał mu się dzisiaj bardziej bezsilny niż kiedykolwiek. Toporna kamienna bryła otulona własną rozpaczą!

Rozmyślania Franka przerwało pojawienie się małego chłopca o ostrych rysach, który podszedł i z powagą zlustrował go od stóp do głów. Najwidoczniej zadowolony z rezultatu swojej obserwacji podał mu liścik.

— Czy to dla mnie?

Na kopercie nie było żadnego adresu. Frank sięgnął po list. Chłopiec natychmiast uciekł.

Frank Oliver czytał powoli, litera za literą. List był krótki.

Najdroższy!

Nie mogę zostać Twoją żoną. Proszę Cię, zapomnij o tym, że zjawiłam się w Twoim życiu, i spróbuj mi wybaczyć, jeżeli sprawiłam Ci ból. Nie szukaj mnie, bo nic z tego nie będzie. Żegnaj na zawsze

samotna pani

Było jeszcze post scriptum, pospiesznie dopisane w ostatniej chwili.

Kocham Cię, naprawdę.

To krótkie spontaniczne zdanie okazało się jedyną pociechą w ciągu następnych kilku tygodni. Nie posłuchał oczywiście prośby dziewczyny, szukał jej, niestety, bez rezultatu. Zniknęła bez śladu i bez nadziei. W rozpaczę dał kilka ogłoszeń do prasy, błagając ją w zawołany sposób, by zechciała chociażby odsłonić tajemnicę swojego postępowania, ale odpowiadała mu tylko głucha cisza. Dziewczyna odeszła, by nigdy nie powrócić.

Po raz pierwszy w życiu zabrał się na serio do malowania. Zawsze miał dobrą technikę. Teraz dołączyła do tego inspiracja.

Akademia Sztuki przyjęła obraz Franka na doroczną wystawę. Jego dzieło ogłoszono dziełem roku i uznano za mistrzowskie, zarówno pod względem wykonania, jak i treści. Szczególnie przyciągnęła publiczność pewna otaczająca je aura tajemniczości.

Jeżeli chodzi o inspirację, ta była dziełem przypadku. Zawładnęło jego wyobraźnię opowiadanie, przeczytane w jakimś magazynie.

Była to historia szczęśliwej księżniczki, która miała wszystko, czego tylko zapragnęła. Wypowiadała życzenie, a ono się natychmiast spełniało. Wyrażała na coś ochotę i natychmiast to otrzymywała. Miała kochających rodziców, wielki majątek, piękne stroje, wspaniałe klejnoty, niewolników, spełniających jej najwymyślniejsze kaprysy, bez reszty oddanych służących, wesołe towarzyszki, jednym słowem, posiadała wszystko, czego tylko mogło zapragnąć serce księżniczki. Adorowali ją najprzystojniejsi i najbogatsi książęta i nadaremnie ubiegali się o jej rękę. By dowieść swojego oddania, gotowi byli każdej chwili zabić dowolną liczbę smoków. Mimo to księżniczka była bardziej samotna niż najbiedniejsza żebraczka w jej królestwie.

Przerwał lekturę bajeczki. Nie interesowały go dalsze losy bohaterki. Oczami wyobraźni zobaczył postać otoczonej luksusem, zasypywanej wszelkimi dobrami księżniczki o smutnej, tęsknej duszy, która w Pałacu Dóbr Wszelkich umierała z tęsknoty.

Z niezwykłą energią zabrał się do malowania. Poczł ogromną radość tworzenia.

Ukazał księżniczkę leżącą na sofie, otoczoną dworem. Obraz nasycony był jaskrawymi barwami Wschodu. Księżniczka miała na sobie barwną, haftowaną szatę, złote włosy opadały jej na ramiona, —głowę zdobił wysadzany drogimi kamieniami diadem. Dokoła niej siedziały dworki, u stóp klęczeli młodzi książęta i wręczali jej luksusowe dary. Cała ta scena pulsowała przepychem i bogactwem.

Jednakże twarz księżniczki była odwrócona i wyrażała całkowitą obojętność na radość i śmiech adorujących ją młodzieńców. Wpatrywała się w stojącą w ciemnym kącie na pozór niezbyt

interesującą figurkę z szarego kamienia. Mały bożek siedział z głową schowaną w dłoniach, w pozie wyrażającej skrajną rozpacz.

Było w tym coś bardzo niezwykłego. Oczy młodej księżniczki wpatrywały się w figurynkę z dziwną sympatią, jak gdyby przyciągnięte rosnącym w niej poczuciem własnej izolacji. Istniało wyraźne pokrewieństwo pomiędzy nim a nią. Świat leżał u jej stóp, a jednak była sama. Samotna księżniczka patrząca na małego samotnego bożka.

Cały Londyn mówił o tym obrazie. Z hrabstwa York nadszedł od Greta liścik z gratulacjami, a żona Toma Hurleya błagała Franka Olivera, by „przyjechał na weekend i poznał naprawdę uroczą dziewczynę, wielbicielkę jego talentu”. Oliver roześmiał się gorzko i wrzucił list do kominka. Zdobył sukces, lecz to go nie cieszyło. Pragnął tylko jednego — odnalezienia małej samotnej pani, która na zawsze zniknęła z jego życia.

Nadszedł dzień wyścigów w Ascot. Policjant, pilnujący jednej z sal British Museum, przetarł oczy i zastanawiał się, czy śni na jawie. Bo czy można spodziewać się w takim miejscu kobiety będącej istnym wcieleniem bywalczyń słynnych wyścigów, wystrojonej w koronkową suknię i wspaniałą kapelusz? Była jak nimfa, ubrana przez genialnego paryskiego krawca.

Mały bożek zdawał się nieco mniej zaskoczony jej widokiem. Być może niegdyś był na swój sposób silnym władcą, a oto jedna z dawnych poddanych pojawiła się u jego stóp.

— Kochany, mały bożku, pomóż mi! Bardzo cię proszę!

Mały bożek poczuł się prawdopodobnie mile połączony. A jeżeli był niegdyś rzeczywiście — jak to sobie wyobrażał Frank Oliver — nieprześląganym dzikim bożyszczem, to długie, smutne lata osamotnienia i rozwoju cywilizacji zmiękczyły jego zimne, kamienne serce. A może słuszność miała samotna mała pani, która uważała go za dobre bóstwo? Wreszcie mógł to być zwyczajny zbieg okoliczności. Jednakże... W tym właśnie momencie do sali asyryjskich zbiorów wszedł wolnym krokiem smutny Frank Oliver.

Spojrzał przed siebie i ujrzał paryską nimfę.

Po chwili jego ramię otoczyło jej kibić, a z ust dziewczyny zaczęły się wydobywać krótkie, urywane słowa.

— Byłam tak przeraźliwie samotna — szeptała. — Jestem pewna, że przeczytałeś moje opowiadanie. W przeciwnym razie nie mógłbyś namalować tego obrazu. Zrozumiałeś mnie w pełni. Ta księżniczka to ja. Miałam wszystko, a mimo to byłam samotna ponad wszelkie wyobrażenia. Pewnego dnia postanowiłam pójść do wróżki, więc pożyczyłam strój jednej z moich pokojówek. Po drodze wstąpiłam do muzeum i zobaczyłam ciebie wpatrzonego w małego bożka. I tak to się zaczęło. Udawałam kogoś innego. Wiem, że to było brzydkie z mojej strony. Ale jakoś nie potrafiłam z tego wybrnąć, a potem nie miałam już odwagi się przyznać, że naopowiadałam ci tyle głupich kłamstw. Byłam przekonana, że będziesz oburzony sposobem, w jaki cię nabrałam. Nie mogłam znieść tego, że

zostanę zdemaskowana, więc postanowiłam zniknąć. Potem napisałam to opowiadanie, a wczoraj zobaczyłam twój obraz. Bo to jest przecież twój obraz?

Tylko bogowie naprawdę znają słowo „niewdzięczność”. Należy przypuszczać, że mały samotny bożek wiedział coś niecoś na temat czarnej niewdzięczności, cechującej ludzką naturę. Miał wszak za czasów swoich rządów mnóstwo okazji, by się o tym przekonać. Jednakże w godzinie próby on, któremu niegdyś składano nieprzeliczone mnóstwo ofiar, teraz sam z kolei się poświęcił. Poświęcił jedynych swoich adoratorów w tym obcym kraju i dał tym samym dowód, że jest na swój sposób wspaniały. Bo oddał właściwie wszystko, co miał.

Przyglądał się przez palce, jak odchodzą trzymając się za ręce. Nie rzucili mu nawet pożegnalnego spojrzenia. Dwoje szczęśliwych ludzi, którzy znaleźli się w niebie i już go nie potrzebowali.

Był w końcu tylko małym, ale bardzo samotnym bożkiem w obcym kraju.

Posłowie

„Samotny bożek” po raz pierwszy ukazał się drukiem w lipcu 1926 roku w „Royal Magazine”. Jest to jedno z nielicznych, prawdziwie romantycznych opowiadań Agathy Christie i ona sama wyraziła się o nim, że jest „niestety sentymentalne”.

Mimo to jest interesujące, chociażby dlatego, że zahacza o archeologię, dziedzinę, którą interesowała się niemal przez całe swe dojrzałe życie. Pisze o tym w artykule dla „Michael Parkinson’s Confession Album” (1973). Dzięki zainteresowaniu tą dziedziną nauki zetknęła się ze słynnym archeologiem Maksem Mallowanem, który został jej drugim mężem. Po drugiej wojnie światowej wszystkie wiosny spędzali w Nimrud w Asyrii. Agatha Christie napisała książkę, w której odmalowała prace wydobywcze w Tell Braku w Syrii w okresie 1937–1938 — „Przyjedź i opowiedz mi, jak ci się żyje” (1946). Jednocześnie jest to świetny i dowcipny przewodnik po różnych wykopaliskach i odsłania inną stronę charakteru autorki. Chociaż podobno nigdy nie pisała książek w czasie ekspedycji, zbierała cenne materiały do następnych powieści. Takich chociażby jak „Morderstwo w Mezopotamii” (1936), „Śmierć na Nilu” (1937), „Rendez-vous ze śmiercią” (1938) i niezwyklej powieści „Zakończeniem jest śmierć” (1944), której akcja rozgrywa się w starożytnym Egipcie dwa tysiące lat p.n.e. We wszystkich prócz ostatniej występuje Herkules Poirot.

Złoto Manksów*

Przedmowa

„Złoto Manksów” nie jest zwykłą powieścią kryminalną, ale jedyną w swoim rodzaju pozycją literacką. Występujący w niej detektywi są wprawdzie dość konwencjonalni, lecz mimo że mają do czynienia z wyjątkowo brutalnym morderstwem, ujęcie sprawcy nie jest ich główną troską. Interesuje ich bardziej rozpracowanie szeregu poszlak, dotyczących miejsc ukrycia wielu cennych przedmiotów, które nigdy nie zostały nawet opisane. W związku z tym należą się czytelnikom wyjaśnienia...

Zimą 1929 roku Arthur B. Crookall wpadł na zupełnie nowy pomysł. Crookall był przewodniczącym Komitetu do Spraw Rozwoju Turystyki na wyspie Man i zaproponował zorganizowanie polowania na skarby. Zainspirowały go liczne legendy o dawnych mieszkańcach wyspy, zwanych powszechnie Manksami, którzy zajmowali się szmuglem, i ich zaginione skarby. W różnych punktach wyspy planowano umieścić cenne przedmioty, a poszlaki dotyczące tych miejsc miały być zawarte na stronach pewnej powieści kryminalnej. Niektórzy członkowie komitetu z początku sprzeciwiali się temu pomysłowi, ale wkrótce został on zaakceptowany. Ustalono, że impreza nazwana „Polowanie na skarby wyspy Man” odbędzie się z początkiem sezonu turystycznego, w tym samym czasie co Międzynarodowe Turystyczne Wyścigi Motocyklowe, rozgrywane tu od dwudziestu czterech lat, a także „Koronacja Królowej Róż” oraz nocne regaty z udziałem licznych jachtów.

Zadaniem Crookalla było znalezienie autora, który napisałby opowieść na temat skarbów. Agatha Christie pasowała do tej roli jak ulał. Zgodziła się na tę raczej zaskakującą propozycję, i to za marne sześćdziesiąt funtów. Pod koniec kwietnia 1930 roku odwiedziła wyspę Man i zamieszkała u jej gubernatora. Jednakże z powodu nagłej choroby córki musiała szybko wracać do swojego domu w hrabstwie Devon. Agatha Christie i Crookall spędzili parę wieczorów na omawianiu szczegółów i zwiedzili kilka miejsc, nadających się na kryjówki dla skarbów. Ustalili też dokładnie, jak poszlaki powinny być rozłożone w książce.

Powieść „Złoto Manksów”, która wkrótce powstała, drukowano w odcinkach pod koniec maja w gazecie „Daily Dispatch”. Wychodziła ona w Manchesterze, a wybrano ją zakładając, że potencjalni turyści angielscy w drodze na wyspę z pewnością zechcą ją kupić. „Złoto Manksów” ukazało się również jako książka w formacie kieszonkowym w nakładzie ćwierć miliona egzemplarzy, którą rozprowadzono po hotelach i zajazdach całej wyspy. Pięć poszlak wydano osobno (przy czym każdą kryjówkę w tekście opatrzono literą X). Gdy zaczęła zbliżać się data ogłoszenia w „Dispatchu” pierwszej poszlaki, Komitet Turystyki zwrócił się do ludności wyspy z prośbą o współpracę, żeby nadać sprawie możliwie jak najszerszy rozgłos. Większa liczba turystów oznaczała większy dochód. Apelowano też do dawnych mieszkańców wyspy, którzy w swoim czasie wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych i zamierzali odwiedzić w czerwcu rodzinne strony jako specjalnie honorowani goście.

Złoto Manksów

*Gdzie Jarby opada łagodnym swym zboczem,
Żył stary Mylecharane w zagrodzie uroczej,
Wśród bujnych janowców, co błyszczą jak złoto.
Aż kiedyś go córka spytała tak oto:*

*„Słyszałam, mój ojcze, że skarb przebogaty
Ukrywasz przed ludźmi, wyniosłeś go z chaty.
Choć krzewy janowca jak złoto się mienia,
Ja skarbów nie widzę; czyś skrył je pod ziemią?”*

*„W dębowej szkatule me złoto się chroni,
Ukryte bezpiecznie na dnie wodnej toni.
I tam wyczekuje na swoją godzinę —
Gdy ona nadejdzie, w mig złoto wypłynie”**

— Podoba mi się ta piosenka — orzekłem, gdy Fenella skończyła śpiewać. — I tak powinno być. Jest to w końcu historia naszego przodka. Twojego i mojego. Dziadka wuja Mylesa. Zbił fortunę na szmuglu, a potem ukrył ją gdzieś i nikt nie wie gdzie.

Przodkowie rodziny to przedmiot wielkiego zainteresowania Fenelli. Pragnie wiedzieć o nich wszystko. Jeżeli zaś o mnie chodzi, to interesuje mnie głównie terażniejszość. Jest wystarczająco trudna, a co do przyszłości, wydaje mi się co najmniej niepewna, i troska o nią pochłania całą moją energię. Lubię jednak słuchać, gdy Fenella śpiewa ballady Manksów.

Fenella jest osobą wielce czarującą. To moja kuzynka w pierwszej linii, a od czasu do czasu także moja narzeczona. Zaręczamy się w okresach względnej zamożności, kiedy jednak ogarnia nas fala pesymizmu co do naszej finansowej przyszłości i obawiamy się, że przez co najmniej dziesięć lat o

żadnym małżeństwie nie może być mowy, zrywamy ze sobą.

— Czy nikt nie próbował odnaleźć tego skarbu? — zapytałem.

— Owszem, próbowano, ale bez rezultatu.

— Może nie robiono tego w sposób naukowy?

— Wuj Myles naprawdę podszedł do sprawy poważnie — rzekła Fenella. — Twierdził, że każdy, kto ma odrobinę inteligencji, potrafi poradzić sobie z podobnym problemem.

To był cały wuj Myles: kapryśny i ekscentryczny starszy pan, mieszkający na wyspie Mań. Bardzo lubił wygłaszać dydaktyczne sentencje.

W tej właśnie chwili zjawił się listonosz — no i list!

— Dobry Boże! — krzyknęła Fenella. — O wilku mowa i proszę! Wuj Myles nie żyje!

Oboje widzieliśmy naszego ekscentrycznego pociotka zaledwie dwa, trzy razy, więc żadne z nas nie musiało okazywać zbyt wielkiego żalu z powodu jego odejścia. List pochodził od jakiegoś adwokata z miasta Douglas, który informował o śmierci pana Mylesa Myle—charane’a. Fenella i ja byliśmy jedynymi jego spadkobiercami. Zostawił nam dom w pobliżu Douglas i bardzo niewielki kapitał. W załączeniu znajdowała się zalakowana koperta z adnotacją wuja Mylecharane’a, by Fenella otworzyła ją po jego śmierci. List ten przeczytaliśmy z niemałym zdumieniem. Przytaczam go tu w całości, jako że jest to naprawdę wyjątkowo charakterystyczny dokument.

Moi drodzy Fenello i Juanie (zakładam, że gdzie jest jedno z Was, drugie nie może być zbyt daleko)! Pamiętacie zapewne, jak nieraz mówiłem, że każdy, kto posiada odrobinę inteligencji, potrafi odnaleźć skarb ukryty przez tego czarującego łajdaka, mojego dziadka. Ja tę inteligencję miałem i w nagrodę stałem się właścicielem czterech skrzyń złota. Czy nie brzmi to jak bajka?

Mam czterech krewniaków, was dwoje, siostrzeńca Ewana Corjeaga, o którym zawsze słyszałem jak najgorsze rzeczy, i doktora Faylla, o którym wiem bardzo mało, ale za to nic dobrego.

Całą moją spuściznę pozostawiam Warn, Juanie i Fenello, ale poczuwam się do pewnych zobowiązań, związanych ze „skarbem”, na który natrafiłem dzięki własnej przebiegłości. Moi mili przodkowie nie byłiby, jak sądzę, zadowoleni, gdybym przekazał ów skarb po prostu, tak zwyczajnie, w testamencie. Toteż ja z kolei stworzyłem mały problem.

Istnieją wciąż cztery „szkatuły” zawierające skarby (choć w bardziej współczesnej postaci niż sztabki złota czy też monety), o które ubiegać się ma czworo zawodników, czyli czwórka moich spadkobierców. Byłoby zapewne sprawiedliwe, gdybym „przydzielił” każdemu z nich po jednej — ale świat, moje kochane dzieci, nie jest sprawiedliwy. Wyścigi wygrywają z reguły najgłupszy, często zaś najbardziej nieuczciwi!

Nie zamierzam się przeciwstawić Naturze! Musicie pójść w zawody z tamtymi dwoma. Obawiam się, że szansę Wasze są niewielkie. Dobroć i niewinność z rzadka tylko bywają nagradzane. Czuję to tak, mocno, że popełniłem całkiem świadome oszustwo. List niniejszy wysyłam do Was z dwudziestoczterogodzinnym wyprzedzeniem w stosunku do listu do tamtych. Daję Wam więc świetną szansę odkrycia pierwszej „szkatuły”. Jeżeli macie choć trochę oleju w głowie, powinno to wystarczyć.

Wskazówki, dotyczące miejsca ukrycia skarbu, znajdziecie w moim domu w Douglas. Poszlaki dotyczące drugiego „skarbu” ukażą się wam dopiero po znalezieniu pierwszego. W tym wypadku Wasze szanse będą równe. Przekazuję Wam słowa zachęty i życzę sukcesu. Byłbym szczęśliwy, gdybyście to Wy zdobyli wszystkie cztery „szkatuły”, ale z powodów, które wyżej wymieniłem, wydaje mi się to mało prawdopodobne. Pamiętajcie o tym, że kochany Ewan nie będzie miał żadnych skrupułów. Zaufanie mu byłoby dużym błędem. Co do doktora Richarda Faylla — wiem o nim bardzo mało, ale może okazać się fuksem.

Życzę Wam obojgu szczęścia, choć nie bardzo wierzę w Wasz sukces.

Wasz kochający wuj

Myles Mylecharane

Gdy dotarliśmy do podpisu, Fenella zerwała się na równe nogi.

— Co ci się stało? — krzyknąłem.

Fenella nerwowo kartkowała rozkład jazdy.

— Musimy jak najszybciej pojechać na wyspę Man — powiedziała. — Jak on śmie mówić o nas, że jesteśmy dobrzy, niewinni i głupi. Ja mu pokażę! Zapewniam cię, Juan, że znajdziemy wszystkie te cztery „szkatuły”, po czym pobierzemy się i będziemy żyli długo i szczęśliwie, będziemy jeździli rolls-royce’ami, kąpali się w marmurowych wannach, no i zatrudnimy kamerdynera. Ale przede wszystkim musimy natychmiast wyruszyć na wyspę Man.

W dwadzieścia cztery godziny później zajechaliśmy do Douglas, rozmówiliśmy się z adwokatami i teraz znajdowaliśmy się w domu wuja zwanym Maughold House, próbując wyciągnąć coś z gospodyni wuja pani Skillicorn, kobiety o surowym wyrazie twarzy, która jednak zmiękła nieco pod wpływem wdzięku Fenelli.

— Był bardzo dziwny — zwierzyła się. — Lubił stawiać ludzi wobec zagadek i zawsze coś kombinował.

— Ale gdzie są jakieś wskazówki? — uniosła się nieco Fenella. — Gdzie?

Pani Skillicorn opuściła pokój dostojnym krokiem. Po kilku minutach wróciła i podała nam złożoną kartkę.

Rozpostarliśmy ją i ujrzeliśmy wypisany topornym pismem wuja wierszyk o marnych rymach.

Gdzie nas kieruje strzałka kompasu?

Na północ, południe, na wschód albo zachód.

Wschodni wiatr wyrządza szkody.

Idź na południe, zachód i północ.

Lecz jak ognia unikaj wschodu.

— O! — odezwała się oszołomiona Fenella.

— O! — powtórzyłem za nią.

Pani Skillicorn uśmiechnęła się nieco ironicznie.

— Nie widzę tu wiele sensu — mruknęła całkiem zbytecznie.

— Nie mam pojęcia, od czego zacząć — zmartwiła się Fenella.

— Każdy początek jest trudny — dorzuciłem z udaną wesołością. — Jak tylko zaczniemy...

Pani Skillicorn uśmiechała się coraz posępniej. Działała na nas deprymująco.

— Czy pani nie potrafi nam pomóc? — dopytywała się Fenella.

— Nic nie wiem o całej tej bzdurnej sprawie. Wasz wuj nigdy mi się z niczego nie zwierzał. Powtarzałam mu, żeby lokował pieniądze w banku i nie robił głupstw. Alę nigdy nie wiedziałam, czy mnie posłuchał, czy nie.

— A może wynosił z domu jakieś szkatułki lub pudła?

Pani Skillicorn potrząsnęła przecząco głową.

— No cóż... — odezwałem się. — Są tylko dwie możliwości. Albo skarb jest ukryty tutaj, na terenie posiadłości, albo poza nim. Oczywiście, zależy to od tego, jakie są jego rozmiary.

Nagle Fenella wpadła na pomysł.

— Nie zauważyła pani, czy ostatnio znikło coś z rzeczy wuja?

— Ciekawe, że pani pyta...

— A więc zauważyła pani?

— Rzeczywiście. Tabakierki. Co najmniej cztery z jego tabakierek.

— Cztery! — wykrzyknęła Fenella. — To musi być to! Jesteśmy na tropie! Chodźmy do ogrodu. Trzeba się rozejrzeć.

— Tam nic nie znajdziecie — powiedziała pani Skillicorn. — Bo sama bym je znalazła. Wasz wuj nie mógł zakopać w ogrodzie niczego, czego bym nie zauważyła.

— Wspomina o kierunkach wskazywanych przez kompas — powiedziała z namysłem Fenella. — Wobec tego potrzebujemy mapy wyspy.

— Leży na biurku — odparła pani Skillicorn.

Fenella pośpiesznie rozłożyła mapę. Coś wypadło z niej na podłogę. Schwyciłem tę karteczkę w locie.

— To chyba dalsza wskazówka — powiedziałem.

Oboje przyjrzeliliśmy się jej uważnie.

Była to prymitywnie narysowana mapka. W jednym miejscu widniał krzyżyk, kółko i strzała, jakieś kreski wiodły w różne strony, ale wszystko to zdawało się mało pomocne.

— Dużo nam z tego nie przyjdzie — przerwała wreszcie milczenie Fenella.

— Trzeba ją dokładnie przestudiować — oświadczyłem. — Nie należy spodziewać się łatwizny.

Pani Skillicorn poczęstowała nas znakomitym posiłkiem, a na końcu zjawiała się z dużym dzbanem kawy.

— Teraz — oświadczyła Fenella — zabierajmy się do roboty.

— Najważniejszy jest kierunek — zauważyłem. — Wszystkie znaki zdają się kierować ku północno-wschodniej części wyspy.

— Aha. Przypatrzmy się dobrze mapie. Zrobiliśmy to.

— Wszystko zależy od interpretacji — orzekła Fenella. — Czy krzyżyk oznacza miejsce, w którym ukryty jest skarb? A może po prostu kościół? Powinna być jakaś legenda.

— To byłoby zbyt łatwe.

— Chyba tak. Dlaczego po jednej stronie narysowano te cienkie linie, a po drugiej nie?

— Nie mam pojęcia.

— Czy są tu jakieś inne mapy?

Siedzieliśmy w bibliotece. Było tam mnóstwo doskonałych map, a także przewodników, opisujących dokładnie wyspę. Książka o folklorze. O historii. Przeczytaliśmy wszystkie.

W końcu stworzyliśmy dość prawdopodobną teorię.

— To zupełnie możliwe — oświadczyła Fenella. — Połączenie dość logiczne i nigdzie indziej nie występuje.

— W każdym razie warto spróbować — zgodziłem się. — Myślę, że dzisiaj już nic więcej nie wymyślimy. Jutro z samego rana wynajmiemy samochód i spróbujemy szczęścia.

— Już jest jutro — roześmiała się Fenella. — Wpół do trzeciej! Wyobraź sobie!

Wczesnym rankiem ruszyliśmy w drogę. Samochód wynajęliśmy na tydzień. Zamierzaliśmy go sami prowadzić. W miarę, jak oddalaliśmy się od domu wuja znakomitą szosą, Fenella stawała się coraz weselsza.

— Gdyby nie tamci dwaj, byłaby to cudowna wycieczka — powiedziała w pewnej chwili. — Zdaje mi się, że to tutaj właśnie odbywały się pierwsze derby. Dopiero potem przeniesiono je do Epsom. Jakież to dziwne!

Skierowałem jej uwagę na przydrożną farmę.

— Tu na pewno znajduje się ujście tajnego podziemnego kanału, prowadzącego od morza na wyspę.

— Ale zabawa! Uwielbiam tajne przejścia, a ty nie? Och, Juanie, czuję, że zbliżamy się do celu. Jestem szalenie podekscytowana. Może nam się uda!

Pięć minut później zatrzymaliśmy auto i dalej już poszliśmy piechotą.

— Sześć ścieżek. W porządku. Teraz wejdźmy pomiędzy te dwie. Czy masz kompas?

Kilka minut później staliśmy naprzeciwko siebie, a na naszych twarzach malowało się niewypowiedziane szczęście, gdyż na mojej wyciągniętej dłoni leżała antyczna tabakierka.

Udało się!

Po naszym powrocie do Maughold House pani Skillicorn oświadczyła, że przyjechali dwaj dżentelmeni. Jeden z nich już się oddalił, drugi zaś jest w bibliotece.

Gdy tam weszliśmy, z fotela podniósł się wysoki, jasnowłosy mężczyzna o rumianych policzkach i miłym uśmiechu.

— Pan Faraker i panna Mylecharane? Jakże mi miło! Jestem waszym dalekim krewnym, doktor Fayll do usług! Co za przedziwna zabawa!

Zachowywał się uprzejmie i z prostotą, lecz mimo to poczułem do niego niechęć. Było w nim coś fałszywego, poza tym nie patrzył w oczy.

— Mam dla pana niedobłą wiadomość — powiedziałem. — Panna Mylecharane i ja znaleźliśmy już pierwszy „skarb”.

Przyjął to do wiadomości.

— Fatalnie, fatalnie. Tutejsza poczta widać kiepsko działa. Barford i ja wyruszyliśmy natychmiast po otrzymaniu listów.

Nie śmieliśmy mu wyjawić perfidii wuja Mylesa.

— Ale w drugiej rundzie będziemy już mieli równe szanse — oświadczyła Fenella.

— Świetnie. Może moglibyśmy się już teraz zabrać do rozpatrywania następnych poszlak? Zdaje się, że są w posiadaniu waszej znakomitej gospodyni... jak jej tam... Skillicorn?

— Byłoby to niesprawiedliwe w stosunku do pana Corjeaga — odparła Fenella. — Trzeba na niego poczekać.

— Oczywiście. Zupełnie o nim zapomniałem. Musimy się czym prędzej z nim porozumieć. Ja się tym zajmę. Na pewno jesteście strasznie zmęczeni. Odpocznijcie sobie.

Pożegnał się z nami i wyszedł. Widocznie miał duże trudności z odnalezieniem Ewana Corjeaga, bo zadzwonił dopiero po jedenastej. Zaproponował, że zjawi się u nas wraz w Ewanem nazajutrz o dziesiątej rano. Pani Skillicorn mogłaby nam wtedy wyjawić następne wskazówki.

— Doskonale — zgodziła się Fenella. — Zatem jutro o dziesiątej. Położyliśmy się spać zmęczeni, ale szczęśliwi.

Nazajutrz rano zbudziła nas niesłychanie zdenerwowana pani Skillicorn.

— Wyobraźcie sobie, że mieliśmy włamanie — wysapała.

— Złodzieje? — zdumiałem się. — Czy coś zabrali?

— Absolutnie nic i to właśnie jest najdziwniejsze. Jestem pewna, że chodziło o srebra stołowe, ale nie udało się im sforsować zamkniętych od zewnątrz drzwi, więc nie zdołali wdrzeć się dalej.

Wraz z Fenellą poszliśmy za nią na miejsce przestępstwa, którym okazał się jej własny salonik. Okno było wybite, ale najwyraźniej niczego nie skradziono. Wszystko to wydawało się raczej

niezwykle.

— Nie mam pojęcia, czego szukali — odezwała się Fenella.

— Przecież w tym domu z pewnością nie ma żadnego „skarbu” — dodałem. Nagle do głowy wpadła mi pewna myśl. — Wskazówki! Przecież może nam pani podać teraz następne poszlaki — zwróciłem się do pani Skillicorn.

— Oczywiście. Są w górnej szufladzie komody. — Wysunęła ją. — o Boże... jest pusta! Zabrali je!

— A więc to nie złodzieje — orzekłem — ale nasi szanowni krewni! Wuj Myles ostrzegwał nas, że są pozbawieni skrupułów. Widać wiedział coś niecoś. Co za świństwo!

— Cicho — szepnęła nagle Fenella, unosząc do góry palec. — Co to?

Do naszych uszu dotarł jęk, wyraźnie dochodzący z zewnątrz. Wyrzeliśmy przez okno. Pod nim rosły krzewy, więc niczego nie dostrzegliśmy. Jęk się powtórzył i teraz zauważyliśmy, że krzaki są połamane i zdeptane.

Pospieszyliśmy na dół i obiegliśmy dom. Pod oknem leżała drabina. Parę kroków dalej znaleźliśmy jęczącego mężczyznę.

Był młody, ciemnowłosy i poważnie ranny. Miał mocno zakrwawioną głowę. Przyklęknąłem przy nim.

— Musimy natychmiast wezwać lekarza. Obawiam się, że ten człowiek umiera.

Ogrodnik co tchu pobiegł po pomoc. Wsunąłem rękę do kieszeni rannego i wyciągnąłem notes. Widniały na nim inicjały EC.

— Ewan Corjeag — rozszyfrowała Fenella.

Mężczyzna otworzył oczy.

— Spadłem z drabiny — szepnął i znów stracił przytomność. Tuż przy jego głowie leżał zakrwawiony kamień.

— Wszystko jasne — stwierdziłem. — Drabina się obsunęła, spadł i uderzył głową o kamień. Obawiam się, że ten biedak już się z tego nie wyliże.

— Więc taka jest twoja wersja wypadku? — spytała Fenella dziwnym tonem.

Ale w tej chwili zjawił się lekarz. Nie dawał większej nadziei. Rannego wniesiono do domu i wezwano pielęgniarkę. Nic się jednak nie dało już dla niego zrobić. Zmarł kilka godzin później.

Ale jeszcze przedtem wezwano nas do jego łoża śmierci. Otworzył na chwilę oczy.

— Jesteśmy twoimi kuzynami. Ja jestem Juan, a ona Fenella — powiedziałem. — Czy możemy coś dla ciebie zrobić?

Pokręcił przecząco głową i zaczął coś szeptać. Pochyliłem się nad nim.

— Czy chcecie wskazówkę? Mnie ona się już na nic nie przyda. Strzeżcie się Faylla.

— Tak, tak — odszepnęła Fenella. — Mów.

Grymas podobny do uśmiechu ukazał się na ustach umierającego.

— *D'ye ken...* — zaczął.

Głowa opadła mu na bok. Umarł.

— Coś mi się tu nie podoba — odezwała się nagle Fenella.

— Co?

— Posłuchaj, Juanie. Ewan ukradł listę wskazówek. Przyznał się, że spadł z drabiny. Więc gdzie ta lista? Przejrzeliśmy zawartość jego kieszeni. Pani Skillicorn twierdziła, że wskazówki znajdowały się w trzech opieczętowanych kopertach. Ale tych kopert tam nie było.

— Więc co z tego, twoim zdaniem, wynika?

— Myślę, że on nie był sam. Ktoś szarpnął drabinę. Ewan spadł. A ten kamień... Nie uderzył się przypadkowo... Skądś go przyniesiono... Znalazłam ślady. I z rozmysłem rozbito Ewanowi głowę.

— Jednym słowem, morderstwo?

— Tak — potwierdziła Fenella i zbladła jak chusta. — To morderstwo. Uświadom sobie, że doktor Fayll nie zjawił się tu o dziesiątej. Gdzie on jest?

— Myślisz, że on to zrobił?

— Owszem. Skarb to pieniądze. Dużo pieniędzy.

— A my nie mamy pojęcia, gdzie go szukać — zamyśliłem się. — Jaka szkoda, że Corjeag nie skończył tego, co nam chciał powiedzieć.

— Może to nam coś da — odezwała się Fenella. — Znalazłam to w jego dłoni.

Podawała mi strzęp fotografii.

— Przypuśćmy, że w tym tkwi jakaś poszlaka. Morderca wyrwał mu zdjęcie i nie zauważył, że w dłoni został kawałek fotografii. Gdyby udało się nam znaleźć resztę...

— W tym celu musimy odszukać drugą kryjówkę. Na razie przyjrzyjmy się dobrze temu strzępowi. Hm... Nie na wiele on nam się zda. Wydaje mi się, że widzę coś jakby wieżę pośrodku jakiegoś okrągłego placu, ale będzie ją trudno zidentyfikować.

Fenella pokiwała głową.

— Doktor Fayll ma ważniejszą część zdjęcia. On wie, gdzie to jest. Musimy go odszukać i pilnować jak oka w głowie. Oczywiście tak, żeby się nie domyślił, że go podejrzewamy.

— Ciekaw jestem, w której części wyspy teraz przebywa. Gdybyśmy tylko wiedzieli...

Powróciłem myślami do umierającego człowieka. Nagle coś sobie uświadomiłem.

— Fenello! — krzyknąłem. — Corjeag nie był Szkotem, prawda?

— Oczywiście, że nie.

— W takim razie już wiem, co chciał powiedzieć. Nagryzmołem coś na kawałku papieru i podsunąłem go Fenelli.

— Co to znaczy?

— To nazwa firmy, która mogłaby nam pomóc.

— Bellman i True. Co to za jedni? Adwokaci?

— Nie, to ludzie bliżsi naszej sprawie. Prywatni detektywi. I zacząłem tłumaczyć jej, na czym polega mój pomysł.

— Doktor Fayll do państwa — zaanonsowała pani Skillicorn.

Spojrzeliliśmy po sobie. Minęły dwadzieścia cztery godziny od czasu, gdy ujrzeliliśmy go po raz pierwszy. Z wypadu w teren powróciliśmy z nowym łupem. Nie chcąc zwracać na siebie uwagi, pojechaliśmy autokarem wycieczkowym do Snaefell.

— Ciekawa jestem, czy on zdaje sobie sprawę, że widzieliśmy go z daleka? — szepnęła Fenella.

— To niebywałe. Gdyby nie ten strzęp fotografii...

— Mów ciszej i bądź bardzo ostrożny, Juanie. Poza wszystkim on musi być wściekły, że go ubiegliśmy.

Jeżeli pan doktor był wściekły, to nie okazywał tego w najmniejszym stopniu. Wszedł do pokoju uprzejmy i uśmiechnięty. Poczujęm, jak moja wiara w teorię Fenelli zaczyna zniknąć.

— Co za straszna tragedia! — zawołał. — Biedny Corjeag. Przypuszczam, że chciał nas ubiec i zapłacił za to. No cóż... prawie nie znaleźliśmy tego biedaka. Pewnie się dziwiliście, dlaczego nie zjawiłem się dziś rano. Otrzymałem fałszywą wiadomość... Podejrzewam, że była to sprawka Corjeaga... Żebym natychmiast pojechał do pewnej miejscowości po drugiej stronie wyspy. Ale wam dwojgu znów się udało. Jak wy to robicie?

W jego głosie zabrzmiała autentyczna ciekawość, co nie uszło mojej uwagi.

— Kuzyn Ewan na szczęście zdołał przed śmiercią powiedzieć kilka słów — wyjaśniła Fenella.

Przyglądałem się bacznie temu człowiekowi. Przysięgam, że dostrzegłem w jego oczach autentyczny strach.

— Co, co takiego? — mruknął.

— Dał nam wskazówkę co do miejsca położenia skarbu — dodała Fenella.

— Rozumiem, rozumiem. Po prostu mam pecha. Byłem przecież niedaleko tego miejsca. Pewnie mnie zauważyliście.

— Byliśmy zbyt pochłonięci szukaniem — tłumaczyła się Fenella.

— Ależ oczywiście. Przypuszczam, że natrafiliście na to miejsce całkiem przypadkowo. Wy, młodzi, macie szczęście, prawda? No cóż. Co robimy dalej? Czy pani Skillicorn zechce nam dać następne wskazówki?

Okazało się jednak, że trzeci zestaw został zdeponowany u adwokatów, toteż wszyscy troje udaliśmy się do ich biura, gdzie wręczono nam zalakowane koperty.

Zawartość była prosta: mapa z zaznaczonym terenem i kartka z instrukcjami.

W '85 roku to miejsce naznaczyły dzieje.

Zrób dziesięć kroków od niego

Na wschód, potem tyleż na północ,

Stań i popatrz. Zobaczysz, dwa drzewa,

Jedno święte dla wyspiarzy.

Zatocz krąg na pięć stóp od kasztanowca,

Zwanego hiszpańską głową.

Przepatrz ziemię z pochyloną głową.

Szukaj, a znajdziesz. Bądź czujny!

— Wygląda na to, że będziemy dziś sobie deptać po piętach — zauważył doktor.

Zgodnie z postanowieniem, że będę dla niego uprzejmy, zaproponowałem mu miejsce w naszym samochodzie. Przyjął moją ofertę.

W Port Erin zatrzymaliśmy się na lunch, po czym ruszyliśmy dalej.

Zastanawiałem się w duchu, dlaczego wuj te akurat wskazówki zdeponował u adwokatów. Czyżby się obawiał, że mogą zostać skradzione? I chciał się zabezpieczyć, żeby w najgorszym razie tylko jeden zestaw wskazówek mógł wpaść w ręce złodzieja?

Tego popołudnia nasze polowanie na skarby zawierało momenty humorystyczne. Teren poszukiwań był niezbyt rozległy, więc wszyscyśmy się przez cały czas widzieli. Zerkaliśmy na siebie podejrzliwie, by sprawdzić, czy któreś z nas czegoś nie znalazło lub nie wpadło na jakiś trop.

— Z pewnością jest to część planu wuja — odezwała się Fenella. — Specjalnie zrobił tak, by jedno drugiego pilnowało i umierało ze strachu, że może przegrać.

— No dobrze. Podejźmy do tego naukowo — zaproponowałem. — Mamy jedną konkretną poszlakę, że w osiemdziesiątym piątym roku miejsce to stało się sławne. Przejrzyj przewodnik, może coś znajdziesz...

— Zobacz, on przepatruje żywopłot — przerwała mi Fenella. — Och, nie potrafię tego znieść! Jeżeli coś znajdzie...

— Posłuchaj mnie — powiedziałem stanowczo. — Jest na to tylko jeden sposób... naukowy.

— Na tej wyspie rośnie tak mało drzew, że łatwiej byłoby po prostu rozejrzeć się za kasztanowcem — zauważyła Fenella.

Po następnej godzinie poddałem się. Zmęczyliśmy się strasznie i zaczynaliśmy tracić nadzieję. Przez cały ten czas zresztą baliśmy się okrutnie, że Fayll nas ubiegnie.

— Czytałem kiedyś w jakimś kryminale, że facet włożył kawałek papieru do roztworu kwasu i ukazały się słowa, które przedtem były niewidoczne.

— To jest pomysł, ale przecież nie mamy roztworu kwasu!

— Nie sądzę, żeby wuj Myles spodziewał się po nas znajomości chemii, jednak możemy rozpalić małe ognisko...

Schowaliśmy się w kącie żywopłotu i po paru minutach udało mi się zapalić kilka gałązek. Przytknąłem arkusik papieru możliwie jak najbliżej płomienia. Prawie natychmiast wysiłek mój został nagrodzony. Na dolnym brzegu kartki ukazały się jakieś litery.

— Dworzec Kirkhill — przeczytała na głos Fenella.

W tej samej chwili zza rogu żywopłotu wyłonił się Fayll. Nie byliśmy pewni, czy słyszał naszą rozmowę. W każdym razie niczego po sobie nie dał poznać.

— Posłuchaj, Juanie — powiedziała Fenella, kiedy się oddalił. — Tu nie ma takiej stacji. — Pokazała mi mapę.

— Nie ma — zgodziłem się, ale zaraz dodałem: — Spójrz tutaj. — Ołówkiem nakreśliłem linię.

— Jasne! I gdzieś na tej linii...

— Zgadza się.

— Chciałabym, żebyśmy dokładniej poznali to miejsce. Wtedy właśnie wpadłem na nowy pomysł.

— Przecież je znamy! — krzyknąłem i chwyciwszy ołówek zrobiłem znak. — Patrz!

Fenella wydała triumfalny okrzyk.

— Co za historia! I jakie to wspaniałe! Wuj Myles naprawdę był bardzo pomysłowym starszym panem!

Nadeszła pora otrzymania ostatniej instrukcji. Adwokat wuja poinformował nas już wcześniej, że jej u siebie nie ma. Miała się znajdować na pokwitowaniu pocztówki, którą do nas wysłał. I odmówił wszelkich dodatkowych informacji.

Jednakże w dniu, w którym spodziewaliśmy się tej wiadomości, poczta nic nie przyniosła i oboje z Fenella umieraliśmy ze strachu, że Fayll w jakiś sposób zdołał ją przechwycić. Wszakże nazajutrz wszystko się wyjaśniło. Otrzymaliśmy nabazgraną niewprawnym charakterem pisma wiadomość następującej treści:

Drogi Panie i Pani!

Wybaczcie opóźnienie ale byłam taka że do trzech a nawet do dwóch bym nie zliczyła. Teraz robię co prosił pan Malacharane i posyłam Warn pismo co tyle lat było w naszej rodzinie choć nie wiem na co i po co.

Dziękuję pozostaję

Mary Kerruish

— Stempel pocztowy z Bride — stwierdziłem. — A teraz sprawdźmy, co za „pismo tyle lat było w naszej rodzinie”.

Przy kamieniu zobaczycie tajemniczy,

Dziwny znak. Cóż on znaczy?

Po pierwsze: A. No i co dalej?

Znajdziesz w pobliżu światło

Płynące z latarni morskiej.

Potem B. Mur. Strzechą kryta chata.

I murem otoczona. Obok wijąca się ścieżka.

To wszystko.

— Z tym kamieniem to niezbyt fair — zauważyła Fenella. — Tyle ich wszędzie dokoła. Jak stwierdzić, na którym jest znak?

— Gdybyśmy tylko potrafili określić obszar poszukiwań, byłoby nam łatwiej. Na kamieniu powinniśmy odnaleźć znak, wskazujący kierunek. Idąc tam, być może natrafimy na ukryty przedmiot, który oświeci nas, gdzie szukać skarbu.

— Chyba masz rację — zgodziła się Fenella.

— To jest A. Ta nowa poszlaka powinna wskazać nam drogę do B. Sam skarb ukryty jest przy ścieżce wiodącej wzdłuż muru. i chaty.

Z powodu trudności, jaką sprawił nam pierwszy krok, ostatnia wskazówka wuja Mylesa okazała się raczej dokuczliwa. Fenella uznała jednak jej rozszyfrowanie za sprawę honoru. Trwało to jednak prawie tydzień. Od czasu do czasu natykaliśmy się na Faylla, ale obszar usiany kamieniami był bardzo duży, toteż nie zdarzało się to zbyt często.

Kiedy wreszcie dokonaliśmy odkrycia, zapadł już zmrok. Stwierdziłem, że jest za późno, by iść do celu. Fenella nie zgodziła się ze mną.

— Pomyśl tylko, że Fayll też znajdzie ten kamień — powiedziała. — My poczekamy do jutra, a on zacznie już dzisiaj. Wyobraź sobie, jacy bylibyśmy wściekli!

Nagle doznałem olśnienia.

— Fenello! —. zawołałem. — Czy wciąż wierzysz w to, że Fayll zabił Ewana?

— Oczywiście.

— W takim razie sądzę, że mamy szansę sprowokować go do popełnienia zbrodni.

— Ten człowiek przyprawia mnie o dreszcze. Jest zepsuty do szpiku kości. Ale mów.

— Ogłosimy, że znaleźliśmy punkt A. Potem pójdziemy w tamtym kierunku. Założę się, że ruszy naszym tropem. Ten teren jest bardzo odludny. Dokładnie w jego guście. Jeżeli Fayll uwierzy, że znaleźliśmy skarb, na pewno się zdemaskuje.

— I co wtedy?

— Wtedy spotka go mała niespodzianka.

Dochodziła północ. Wysiedliśmy z samochodu i szliśmy ostrożnie wzdłuż muru. Fenella oświetlała drogę silną latarką. Ja zabrałem ze sobą rewolwer. Nie chciałem ryzykować.

Nagle Fenella cicho krzyknęła i zatrzymała się.

— Spójrz, Juanie! Jesteśmy u celu. Nareszcie!

Na sekundę straciłem kontrolę nad sytuacją. Wiedziony instynktem obróciłem się gwałtownie — ale za późno. O sześć kroków dalej stał Fayll z wymierzonym w nas rewolwerem.

— Dobry wieczór — powiedział. — Teraz ja jestem górą. Proszę mi podać ten skarb.

— Czy może chcesz, bym jeszcze coś do niego dodał? — zaproponowałem. — Kawałek fotografii wyjętej z dłoni umierającego? To ty chyba masz resztę tej fotki?

Ręka Faylla zadrżała.

— Co ty pleciesz? — warknął.

— Znamy prawdę — powiedziałem. — Ty i Corjeag działaliście razem. To ty wyszarpnąłeś mu spod nóg drabinę i rozbiłeś głowę kamieniem. Policja jest mądrzejsza niż przypuszczasz, doktorze.

— Więc o wszystkim wiedzą? W takim razie, na niebiosa, niech zawisnę za trzy morderstwa, a nie za jedno!

— Fenello, padnij! — wrzasnąłem i w tej samej chwili rozległ się strzał.

Oboje rzuciliśmy się we wrzosa i zanim Fayllowi udało się powtórnie wystrzelić, zza muru wypadli policjanci. Po chwili prowadzili między sobą skutego doktora.

Chwyciłem Fenellę w ramiona.

— Miałam rację — wykrztusiła drżącym głosem.

— Kochanie! — wykrzyknąłem. — To było straszne ryzyko. Mógł cię przecież zabić.

— Ale mu się nie udało — powiedziała Fenella. — A my wiemy, gdzie jest ukryty skarb.

— Na pewno?

— Ja je znam. Spójrz — nagryzmoła jakieś słowo. — Jutro go znajdziemy.

Było samo południe.

— Eureka! — wyszeptała triumfująco Fenella. — Czwarta tabakierka. Mamy więc wszystkie. Wuj Myles byłby z nas zadowolony. A teraz...

— A teraz — wpadłem jej w słowo — możemy się wreszcie pobrać i żyć długo i szczęśliwie.

— Zamieszkamy na wyspie Man — rozentuzjasmowała się Fenella.

— Czerpiąc ze złota Manksów — dodałem i roześmiałem się serdecznie.

Posłowie

Juan i Fenella są kuzynami, bardzo podobnymi do Tommy'ego i Tuppence'a Beresfordów, bohaterów „Śledztwa na cztery ręce” (1929) i kilku innych książek Agathy Christie. Przypominają też młodych detektywów z jej wczesnych utworów. „Skarb” w rzeczywistości, tak jak i w książce, składał się z czterech tabakierek wielkości mniej więcej pudełka zapalek. W każdej z nich znajdowała się osiemnastowieczna półpensowa moneta z wyspy Man z dziurką pośrodku, przez którą przewiązano kolorową wstążeczkę, oraz starannie złożony dokument spisany wyszukany charakterem pisma, hinduskim atramentem i sygnowany przez radnego miejskiego Aldermana Crookalla. Znalazcę zapraszano do stawienia się niezwłocznie u urzędnika magistratu w Douglas, stolicy wyspy Man. Miał on przynieść ze sobą tabakierki i ich zawartość, a następnie otrzymać po sto funtów (równowartość dzisiejszych trzech tysięcy). Ponadto musiał okazać dowód tożsamości, jako że tylko przyjezdni mieli prawo poszukiwania skarbu. Mieszkańcy wyspy byli wykluczeni.

Każdy, mający odrobinę inteligencji, potrafi odnaleźć skarb

Jedynym celem pierwszej wskazówki w „Złocie Manksów”, w wierszyku, który zaczynał się od słów: „Gdzie nas kieruje strzałka kompasu? Na północ, południe...”, opublikowanego w sobotę 31 maja w gazecie „Daily Dispatch”, było ujawnienie, że cztery kryjówki znajdują się kolejno na północy, południu i zachodzie wyspy, ale na pewno nie w jej wschodniej części. Informację o miejscu, w którym ukryto drugą tabakierkę, zawarto w pierwszej, na mapie opublikowanej 7 czerwca. Jednakże w tym czasie dokonano już odkrycia pierwszego „skarbu”, ponieważ informacja ta zawierała wystarczającą liczbę wskazówek. Znalazcą okazał się krawiec z Inverness, niejaki William Shaw, który — według relacji gazety — z radości zaczął biegać w kółko jak szalony, wymachując tabakierką, „podczas gdy dama jego serca była tak przejęta, że dłuższą chwilę nie potrafiła wydobyć z siebie słowa”.

Najważniejszą poszlaką była jednak wypowiedź Fenelli, że kryjówka znajduje się tam, gdzie odbywały się pierwsze wyścigi, zanim przeniesiono je do Epsom. Odnosi się to do słynnej angielskiej gonitwy, którą po raz pierwszy odegrano w Derbyhaven na południowym wschodzie wyspy Man. „Całkiem blisko” położona wysepka, o której się mówiło, że jest sekretnym tunelem połączona z pewną farmą, została z łatwością zidentyfikowana jako wyspa St Michael, gdzie prócz pochodzącej z dwunastego wieku kaplicy św. Michała stała kamienna wieża, znana jako Fort Derby, od której pierwotnie wyspa otrzymała nazwę Fort. „Obie te budowle stanowią wspólnie zespół nigdzie indziej nie spotykany”. Na mapie obiekt ten otoczony był kółkiem, z którego rozchodziło się sześć linii, symbolizujących sześć zabytkowych armat, stojących na tym terenie. Kaplicę zaznaczał krzyż.

Małą cynową tabakierkę ukryto na skalnym występie, biegnącym w kierunku północno-wschodnim

miedzy dwiema środkowymi armatami. Juan, zobaczywszy je, uznał, że należy obrać kierunek północno-wschodni.

Za łatwe

Drugą, wyrzeźbioną z rogu tabakierkę, 9 czerwca znalazł Richard Highton, przedsiębiorca budowlany z Lancashire. Ostatnie słowa Ewana Corjeaga: *D'ye ken*, okazały się wskazówką prowadzącą do skarbu, o czym Fenella otwarcie powiadomiła jego mordercę Faylla. Są to pierwsze słowa starej angielskiej piosenki John Peel, opisującej dzieje myśliwego z Cumbrii. A gdy Juan powiedział, że para „Bellman i True” to detektywi, którzy „mogą nam pomóc”, nie miał na myśli „firmy adwokackiej z Douglas”, o których wspomina na początku opowiadania, lecz imiona dwóch psów Johna Peela z piosenki. Kiedy zgromadziło się te wszystkie dane, sprawa podartej fotografii, która jako trzecia wskazówka wyłoniła się 9 czerwca, nie była już trudna do rozgryzienia. Oczywiście chodziło o Peel Castle, zamek z czternastego wieku na wyspie Świętego Patryka, a zakręcone linie, znajdujące się na lewej krawędzi fotografii, nie były niczym innym jak ozdobami na oparciu ławki, stojącej na Peel Hill, wzgórzu, z którego widać zamek, a w którym ukryto tabakierkę.

Autokarowa wycieczka do Snaefell, najwyższego szczytu na wyspie, służyła wyłącznie zamydleniu oczu.

Raczej przez przypadek

Trzeci „skarb” znalazł pan Herbert Elliot, Manx z krwi i kości, budowniczy okrętów, mieszkający w Liverpoolu. Pan Elliot twierdził później, że nigdy nie czytał „Złota Manksów” ani nie znał instrukcji, ale po prostu pomyślał sobie, że poszuka w takim, a nie innym miejscu, no i rzeczywiście rankiem 8 lipca znalazł ukrytą w parowie tabakierkę.

Główną wskazówkę, dotyczącą tego znaleziska, ukryto w czwartej poszlance, opublikowanej 14 lipca, w wierszyku (zaczynającym się od słów „W ‘85 roku to miejsce naznaczyły dzieje”), w którym słowa wybrane z różnych linijek ułożyły się w zdanie następującej treści:

Dziesięć kroków na wschód, święty zatocz krąg, pięć stóp od Hiszpańskiej Głowy.

„Święty krąg” to megalityczny krąg Meayll na Muli Hill, oddalony nieco ponad milę od

Hiszpańskiej Głowy, wysuniętego najbardziej na południe cypla wyspy. Wzmianka o ważnym wydarzeniu z '85 roku i o hiszpańskim kasztanowcu, która natchnęła wielu poszukiwaczy, miały zwieść niejednego amatora polowania na skarb. Jeżeli chodzi o „dworzec Kirkhill”, poszlakę odkrytą przez Juana, to takie miejsce w ogóle nie istnieje, co słusznie zauważyła Fenella. Jednakże istnieje wioska o tej nazwie, a także stacja w Port Erin, gdzie Juan i Fenella zjedli obiad, zanim ruszyli na poszukiwania. Jeżeli poprowadzić linie z wioski Kirkhill do Port Erin i dalej na południe, w końcu przetnie ona krąg Meayll, czyli „dokładnie to miejsce”, które wybrał Juan.

Prawdziwa trudność

Niestety, podobnie jak w przypadku wskazówek, dotyczących miejsca, w którym ukryta była trzecia tabakierka, tajemnica czwartej również nie została wyjaśniona. Piąta i ostatnia poszlaka, zawarta w wierszyku „Na kamieniu zobaczycie znak”, została ogłoszona 21 czerwca, jednak 10 lipca, tuż przed datą przedłużonego finału, który był początkowo wyznaczony na koniec czerwca, „skarb” odnalazł sam burmistrz Douglas. Dwa dni później, jako aneks do tego wydarzenia, gazeta „Daily Dispatch” opublikowała fotografię kryjówki i artykuł Agathy Christie, w którym autorka wyjaśniała ostatnią wskazówkę:

Ta ostatnia poszlaka wciąż budzi mój uśmiech, szczególnie gdy sobie przypominam, ile czasu zmarnowaliśmy szukając kamienia z napisem. Prawdziwa wskazówka była dziecinnie prosta — stanowiły ją słowa o „liczeniu do dwóch czy trzech” z listu Mary Kerruish.

Należy zatem wziąć drugie lub trzecie słowo z każdej linijki wiersza i otrzyma się: „Zobaczycie. Znak A. W pobliżu latarni morskiej mur”. Odnajdujemy punkt A, który okaże się cyplem Aire. Trochę czasu zabrało nam znalezienie właściwego muru, ale tam nie było żadnego skarbu. Zamiast tego zobaczyliśmy kamień, na którym wypisano cyfry 1, 6, 2 i 5.

Przyłóżcie je do liter pierwszej linijki wersu, a otrzymacie słowo „park”. Na wyspie Man jest tylko jeden prawdziwy park w Ramsay. Przeszukaliśmy go i wreszcie znaleźliśmy to, czego szukaliśmy.

Budynek kryty strzechą okazał się kioskiem z napojami, a biegnąca wzdłuż niego ścieżka zaprowadziła nas do porośniętego bluszczem muru. Tam właśnie ukryta była tabakierka. To, że list nadano z Bride, stanowiło dodatkową wskazówkę, jako że wioska ta leży w pobliżu latarni morskiej i cypla Aire, najbardziej wysuniętego fragmentu lądu w północnej części wyspy.

Trudno powiedzieć, czy „Złoto Manksów” okazało się dla wyspy Man dobrą promocją turystyki. Z pewnością w 1930 roku odwiedziło ją więcej osób niż w poprzednich latach, ale nie do końca

wiadomo, czy zjawisko to miało związek z polowaniem na „skarby”. Prasa na ogół pisała, że było to bez większego znaczenia, a w czasie uroczystego obiadu Alderman Crookall odpowiedział na podziękowania przemówieniem, w którym oskarżał współobywateli, że nie przyłożyli się do rozpowszechniania wieści o poszukiwaniach, i nazwał ich „leniami i krytykantami, którzy nigdy nie robią nic poza kręceniem nosem”.

Do biernej postawy mieszkańców wyspy przyczynił się zapewne fakt, że nie wolno było wziąć udziału w tej zabawie, mimo że „Daily Dispatch” oferował każdemu, kto będzie gościł znalazcę skarbu, nagrodę w wysokości 5 gwinei, co stanowi ekwiwalent dzisiejszych 150 funtów. Już samo to mogło być powodem łagodnego „sabotażu” w postaci podrzucania fałszywych tabliczek i rozpuszczania takichże pogłosek, w tym podłożenia kamienia, na którym wypisano słowo „podnieś”, a pod spodem znajdowała się wyschnięta skórka pomarańczowa.

Mimo że podobne polowanie na skarby nigdy się już nie powtórzyło Agatha Christie napisała kilka opowiadań opartych na podobnym temacie. Najbliższym jest może nowelka „Dziwny żart” w którym Charmian Stroud i Edward Rossiter wezwani zostają do poszukiwań przez ekscentrycznego wuja Mathewa. W tej opowieści detektywem po raz pierwszy jest panna Marple. Opowiadanie opublikowano w 1941 roku pod tytułem „Sprawa ukrytego skarbu później zaś włączono do tomu „Ostatnie sprawy panny Marple (1979). Również w jednej z powieści z udziałem Poirota, „Zbrodnia na festynie” (1956), znajdujemy bardzo podobnie skonstruowane „polowanie na mordercę”.

Otoczony ścianą

To pani Lempriere odkryła istnienie Jane Haworth. Jakżeby inaczej. Ktoś kiedyś powiedział, że pani Lempriere jest najbardziej zniechęconą osobą w Londynie, ale to, moim zdaniem, przesada. Rzeczywiście, ma ona jednak talent do odkrywania tej właśnie jedynej rzeczy, na ukryciu której najbardziej człowiekowi zależy. Jest w tym po prostu genialna. A zawsze dzieje się to przez przypadek.

Tym razem jednak było tak: siedzieliśmy w pracowni Alana Everarda i piliśmy herbatę. Alan dosyć rzadko wydawał te swoje herbaciane przyjęcia. Zazwyczaj krył się po kątach, ubrany w bardzo stare łachy, pobrzękiwał drobnymi w kieszeniach spodni i wyglądał na bardzo nieszczęśliwego.

Nie sądzę, żeby ktokolwiek w owym czasie zaprzeczył, że Alan jest geniuszem. Jego najśłynniejsze płótna z wczesnego okresu: „Kolory” i „Znawca” zakupiono do zbiorów narodowych i, rzecz niezwykła, obyło się bez protestów. Później został modnym portrecistą. Ale w czasie, o którym tu mówię, Everard dopiero zaczynał zyskiwać sławę i wolno nam było uważać, że to my go odkryliśmy.

Przyjęcia organizowała jego żona. Everard miał do niej szczególny stosunek. Było jasne, że ją uwielbia i niczego innego nie można się spodziewać. Isobel po prostu należała się adoracja. Alan ponadto zawsze czuł się jej dłużnikiem. Zgadzał się na każdą jej propozycję, nie dlatego, że ją kochał, ale z absolutnego przekonania, iż żona ma prawo do wszelkich zachcianek. Po namyśle doszedłem do wniosku, że jest to całkiem naturalne.

Albowiem Isobel Loring naprawdę nieustannie wielbiono. W swoim czasie okrzyknięto ją debiutantką sezonu. Miała wszystko z wyjątkiem pieniędzy, a więc urodę, pozycję społeczną, pochodzenie i inteligencję. Nikt się nie spodziewał, że wyjdzie za mąż z miłości. Nie miała do tego inklinacji. W drugim sezonie bywania w towarzystwie miała trzech pretendentów do ręki: przyszłego spadkobiercę książęcego tytułu, dobrze zapowiadającego się polityka i milionera z Afryki Południowej. Jednak, ku zdumieniu wszystkich, poślubiła Alana Everarda — nieznanego, ledwie wiążącego koniec z końcem młodego malarza.

W dalszym ciągu mówiono o niej Isobel Loring, co z pewnością spowodowane było jej silną osobowością. Nikt nigdy nie mówił Isobel Everard, ale na przykład: „Widziałam po południu Isobel Loring. Tak, tak, z mężem, Everardem, tym młodym malarzem”.

Powiadano, że Isobel „się sprawdziła”. Większość mężczyzn wolałaby chyba, by nie mówiono o nich jako o „mężach Isobel Loring”. Alan wszakże był inny. Szczęście, jakim obdarzona była jego żona, nie zawiodło jej i tym razem. Alan Everard namalował „Kolory”.

Przypuszczam, że wszyscy znają to płótno: biegnąca w dal droga z przecinającym ją okopem, czerwona, świeża, skopana ziemia i potężny odpoczywający marynarz, wsparty o łopatę — istny Herkules w poplamionym sztruksowym kombinezonie i szkarłatnej chustce na szyi. Jego pozbawione inteligencji oczy, spoglądające na widza z obrazu, pozbawione były także nadziei, natomiast pełne

tępej, podświadomej prośby. Obraz jakby płonął, był prawdziwą symfonią czerwieni i pomarańcza. Wiele pisano o jego symbolizmie, o jego wymowie. Sam Alan Everard twierdził, że nie ma on specjalnego wydźwięku. Utrzymywał, że w pewnym momencie zniechęcił wiele obrazów ukazujących zachód słońca nad Wenecją i zapragnął namalować inne płótno, obraz płonący typowymi dla Anglii kolorami.

Potem Everard dał światu słynny epicki obraz, przedstawiający dom publiczny, który nazwał „Romantyczność”. Na ciemnej, tonącej w deszczu ulicy uchylone drzwi, światła, błyszczące szklanki i mali, zwinni jak lisy mężczyźni, wciskający się do środka, nic nie znaczący, niesympatyczni ludzie o rozchyłonych wargach i zachłannych oczach, marzący o chwili zapomnienia.

Na podstawie tych dwóch obrazów Everarda zaklasyfikowano jako „malarza ludzi pracy”. Ale on nie chciał dać się zaszufładować. Jego trzecim i najwybitniejszym dziełem okazał się portret sir Rufusa Herschmana. Wielki uczoney ukazany został na tle licznych retort, miseczek i laboratoryjnych półek. Całość robiła, rzecz można, wrażenie obrazu w stylu kubistycznym, choć linie wyznaczające perspektywę zdawały się temu zaprzeczać.

Teraz Everard skończył właśnie swoje czwarte dzieło — portret żony. Zaproszono nas na herbatę i na obejrzenie obrazu. Malarz patrzył przez okno ze zmarszczonym czołem, Isobel Loring krzątała się wśród gości, rozmawiając ze znanym o technice malarskiej.

Komentowaliśmy dzieło. Było to naszym obowiązkiem. Chwaliliśmy sposób, w jaki namalowano różowy atłas. Potraktował go, mówiliśmy, po mistrzowsku. Nikt dotychczas nie oddał tak połysku atłasu.

Pani Lempriere, która należy do najinteligentniejszych krytyków sztuki, jakich znam, niemal natychmiast odciągnęła mnie na bok.

— Georgie — szepnęła. — Co on ze sobą zrobił? Ten obraz nie żyje. Jest gładki. Jest... okropny!

— Portret damy w różowej atłasowej sukni?

— Tak jest. A jednak technikę ma znakomitą. I staranność. Włożył w to pracę wartą szesnastu obrazów.

— Może za dnia...? — zasugerowałem.

— Może. Jeżeli cokolwiek ciekawego było w tej kompozycji, to on to zabił. Bardzo piękna kobieta w różowej sukni. Wystarczyłaby kolorowa fotografia.

— Zastanawiam się, czy on zdaje sobie z tego sprawę?

— Oczywiście, że tak — oświadczyła pani Lempriere z przekąsem. — Czy pan nie dostrzega, że on przeżywa kryzys? Bierze się to, moim zdaniem, z pomieszania uczuć z interesami. Włożył w ten portret całą swoją duszę, dlatego że to ona, a oszczędzając Isobel, traktując zbyt łagodnie, utracił ją. A czasami należy zniszczyć ciało, żeby móc dobrać się do duszy.

Pokiwałem głową w zamyśleniu. Sir Rufus Herschman nie został upiękuszony, a jednak Everardowi udało się uwiecznić na płótnie niezapomnianą osobowość.

— A Isobel ma przecież tak silną osobowość — dodała pani Lempriere.

— Może Everard nie potrafi malować kobiet? — zasugerowałem.

— Może — zastanowiła się pani Lempriere. — Tak, to nie jest wykluczone.

I właśnie wtedy, powodowana swoim talentem do odkrywania prawdy, wyciągnęła jedno z płócien, stojących przodem do ściany. Zręcznie je odwróciła. Stało ich tam chyba osiem i wybrała właśnie to, a nie inne, przez czysty przypadek. Ale, jak już wspomniałem, takie rzeczy ciągle się jej przydarzały.

— Och! — krzyknęła pani Lempriere zapaliwszy światło.

Był to nie dokończony obraz, właściwie szkic. Kobieta, a raczej dziewczyna na nim przedstawiona, pochylała się do przodu, z podbródkiem wspartym na dłoni. Dwie rzeczy uderzyły mnie jednocześnie: niezwykła witalność dzieła przy jego jednoczesnej bezlitosności, jakby mściwości. Poza dziewczyny była taka, że podkreślała jej prymitywizm, każdy ostry kant, najmniejszy nawet cień prostactwa. Szkic utrzymany był w odcieniach brązu — brązowa suknia, brązowe tło, brązowe, przenikliwe, pełne ciekawości oczy. Zaiste, ciekawość wszystkiego była najważniejszą cechą modelki.

Pani Lempriere przyglądała się obrazowi dłuższą chwilę, a potem wezwała Everarda.

— Alanie, chodź tutaj. Kto to jest?

Everard podszedł posłusznie. Dostrzegłem w jego spojrzeniu błysk niezadowolenia.

— To tylko szkic — oświadczył. — Chyba go nie skończę.

— Co to za dziewczyna? — powtórzyła pani Lempriere.

Everard najwyraźniej nie miał ochoty jej wtajemniczać, co jeszcze bardziej zaintrygowało damę, która z góry zakładała najgorsze.

— Znajoma. Panna Jane Haworth.

— Nigdy jej u was nie spotkałam.

— Ona tu nie bywa. — Umilkł na chwilę, potem dodał: — Jest matką chrzestną Winnie.

Winnie była pięcioletnią córeczką Everarda.

— Naprawdę? — zdziwiła się pani Lempriere. — A gdzie mieszka?

— W Battersea. Ma tam mieszkanko.

— Naprawdę? — powtórzyła pani Lempriere i indagowała dalej:

— A co ona ci złego zrobiła?

— Mnie?

— Tobie. Obszedłeś się z nią bezlitośnie.

— Tak uważasz? — roześmiał się. — Sama widzisz, że nie grzeszy urodą. Nie mogę, tylko dlatego, że jesteśmy zaprzyjaźnieni, robić z niej piękności.

— Postąpiłeś akurat na odwrót. Dostrzegłeś każdy defekt jej urody i jeszcze go podkreśliłeś i wyolbrzymiłeś. Dołożyłeś wszelkich starań, żeby wyglądała wprost śmiesznie, ale to ci się, moje dziecko, nie udało. Ten portret, jeżeli go ukończysz, będzie żywy.

Everard zrobił kwaśną minę.

— Nie jest zły — powiedział lekko. — Przynajmniej jak na szkic.

Ale nie umywa się do portretu Isobel, który jest najlepszym obrazem, jaki w życiu namalowałem.

Powiedział to wyzywającym i agresywnym tonem. Żadne z nas mu nie odpowiedziało.

— Najlepszym obrazem — powtórzył.

Otoczyło nas kilka osób. I one zwróciły uwagę na szkic. Rozległy się okrzyki, komentarze. Atmosfera zaczęła się ożywiać.

W ten sposób po raz pierwszy usłyszałem o istnieniu Jane Haworth. Później miałem ją spotkać — dwa razy. Miałem się dowiedzieć szczegółów jej życia od najbliższych przyjaciół. A także od samego Alana. Teraz, kiedy oboje już nie żyją, sądzę, że nadszedł czas sprostowania niektórych plotek, rozsiewanych przez panią Lempriere. Może uznać pewne partie mojej opowieści za zmyślane, ale zapewniam was, że są bardzo niedalekie od prawdy.

Gdy goście się rozeszli, Alan Everard postawił portret Jane Haworth z powrotem twarzą do ściany, Isobel podeszła do męża.

— Czy to był sukces? — zagadnęła go. — Czy... raczej nie?

— Portret? — spytał szybko.

— Nie, głuptasie. Przyjęcie. Portret się bardzo podobał.

— To najlepsze płótno, jakie namalowałem — oświadczył agresywnie Everard.

— Zaczynamy się liczyć — stwierdziła Isobel. — Lady Charmington pragnie zamówić u ciebie portret.

— O Boże — jęknął. — Wiesz przecież, że nie chcę być modnym portrecistą.

— Ale nim zostaniesz. I to najlepszym ze wszystkich.

— Nie mam na to najmniejszej ochoty.

— Ależ kochany Alanie, w ten sposób zbijesz majątek.

— Komu potrzebny jest majątek?

— Może mnie? — uśmiechnęła się.

Natychmiast poczuł się zawstydzony. Gdyby nie wyszła za niego, miałyby ten swój majątek. Zależało jej na tym. Potrzebowała luksusu.

— Przecież ostatnio całkiem nieźle nam się powodzi — zauważył.

— No tak. Ale rachunki mnożą się jak szalone.

— Rachunki! Zawsze te rachunki! — Zaczął się niespokojnie przechadzać po pokoju. — A niech to diabli! Nie chcę malować lady Charmington! — mruknął tonem rozkapryszonego dziecka.

Isobel uśmiechnęła się słabo. Stała nieruchomo przed kominkiem. Alan podszedł do niej. Co w jej spokoju, w jej inercji było takiego, że go do niej przyciągało jak magnes? Jakaż była piękna — ramiona niczym rzeźbione w marmurze, włosy jak płynne złoto, a te jej usta... pełne, czerwone usta!

Pocałował je. Przyłgnęły do jego warg. Nic innego się nie liczyło. Cóż było w Isobel takiego, że go uspokajało? Co kazało zapomnieć o wszystkich troskach? Wciągała człowieka w swoją własną cudowną inercję i utrzymywała go w spokoju i zadowoleniu. Dryfował tam na wpół uśpiony niczym po ciemnym jeziorze.

— Dobrze, namaluję ją — zgodził się Alan po chwili. — Co mi tam? Zanudzę się, ale, było nie było, malarze też muszą jeść. Jest malarz, niejaki pan Zarabialski, żona malarza pani Zarabialska i córka malarza panna Zarabialska, i wszyscy oni muszą mieć co do garnka włożyć.

— Zabawny chłopiec! — roześmiała się Isobel. — Ale, skoro już wspomniałeś o córce, to chyba powinieneś się z Jane niedługo spotkać. Zajrzała tu wczoraj. Powiedziała, że nie widzieliście się od miesiący.

— Jane tutaj była?

— Tak, żeby zobaczyć się z Winnie.

Alan zlekceważył wzmiankę o Winnie.

— Pokazałaś jej swój portret?

— Owszem.

— Co o nim sądzi?

— Że jest wspaniały.

— O!

Zmarszczył brwi i pograżył się w myślach.

— Pani Lempriere podejrzewa cię o niezdrową miłość do Jane — oświadczyła Isobel. — Bardzo kręciła nosem.

— Ta baba! — skrzywił się Alan. — Co też jej wpadło do głowy? Co ona sobie wyobraża?

— Cóż, ja w każdym razie nic sobie nie wyobrażam — uśmiechnęła się Isobel. — Uważam, że powinieneś jak najszybciej odwiedzić Jane.

Alan spojrział na żonę. Siedziała na niskiej sofie przy kominku. Twarz miała na wpół odwróconą, wciąż się uśmiechała. W tej chwili poczuł się otumaniony, niepewny siebie, jak gdyby otuliła go mgła, która rozplływając się pozwoliła mu spojrzeć na dziwny krajobraz.

Coś mu mówiło: „Dlaczego Isobel chce, bym odwiedził Jane? Musi mieć w tym jakiś cel. Isobel zawsze do czegoś dążyła. Ta kobieta nigdy nie działała pod wpływem impulsu, zawsze kalkulowała”.

— Czy ty lubisz Jane? — zapytał nagle.

— Jest bardzo miłutka.

— No tak, ale czy ty naprawdę ją lubisz?

— Oczywiście. Jest taka przywiązana do Winnie. Aha, w przyszłym tygodniu chce ją zabrać nad morze. Chyba nie masz nic przeciwko temu? To nam pozwoli pojechać do Szkocji.

— Tak, to rzeczywiście bardzo nam na rękę.

Naprawdę, bardzo to wygodne, właśnie tak. Spojrział podejrzliwie na Isobel. Czy ona to uzgodniła z Jane? Jane tak łatwo dawała się wykorzystywać.

Isobel wstała i podśpiewując cicho wyszła z pokoju. Cóż, nie miało to znaczenia. Tak czy owak postanowił odwiedzić Jane.

Jane Haworth mieszkała na najwyższym piętrze czynszowej kamienicy z widokiem na Battersea Park. Everard wspiął się na czwarte piętro. Kiedy naciskał dzwonek, ogarnęła go irytacja. Czemu nie mieszka w łatwiej dostępnym miejscu? Kiedy po trzykrotnym dzwonku drzwi się nie otworzyły, jego

irytacja wzrosła. Dlaczego nie trzyma służby?

Nagle drzwi się otworzyły i w progu stanęła Jane we własnej osobie. Na policzkach miała jaskrawe wypieki.

— Gdzie Alicja? — spytał Everard, nawet się nie witając.

— Obawiam się... wiesz... ona się dzisiaj kiepsko czuje.

— Chcesz powiedzieć, że jest pijana? Jane nigdy nie umiała dobrze kłamać.

— Chyba tak — przyznała.

— Chcę ją zobaczyć.

Wszedł do mieszkania, Jane ruszyła za nim ze spuszczoną głową. Alicja była w kuchni. Nie uległo wątpliwości, w jakim jest stanie. W ponurym milczeniu podążył za Jane do saloniku.

— Musisz się pozbyć tej kobiety — oświadczył. — Tyle razy cię prosiłem.

— Wiem, Alanie, ale nie mogę tego zrobić. Zapominasz, że jej mąż siedzi w więzieniu.

— I tam jest jego miejsce — stwierdził Everard. — Ile razy ta kobieta upiła się w ciągu trzech miesięcy, kiedy jest u ciebie?

— Nie tak wiele, trzy albo cztery razy. Ona jest bardzo przygnębiona.

— Trzy albo cztery? Moim zdaniem raczej dziewięć lub dziesięć. Jak gotuje? Pewnie okropnie. Czy ona w ogóle sprząta i pomaga? Chyba bardzo kiepsko. Na litość boską, wymów jej jutro rano i wynajmij prawdziwą pomoc.

Jane patrzyła na niego z rozpaczą.

— Nie zrobisz tego, wiem — burknął posępnie Everard, rozsiadając się w głębokim fotelu. — Jesteś nieznośnie sentymentalna. Czy to prawda, że chcesz zabrać Winnie nad morze? Kto to wymyślił, ty czy Isobel?

— Ja, oczywiście — zapewniła szybko Jane.

— Jane, naucz się wreszcie mówić prawdę. Wtedy mógłbym cię nawet polubić. Siadaj i, na litość boską, nie kłam przynajmniej przez następne dziesięć minut.

— Och, Alanie — jęknęła Jane i usiadła.

Malarz kilka minut przyglądał się jej uważnie. Ta kobieta — ta pani Lempriere — miała całkowitą rację. Był zawsze okrutny w stosunku do Jane, a Jane była prawie, a może nawet doskonale piękna. Jej smukłe ciało przypominało greckie posągi. Tylko ta okropna chęć zadowolenia wszystkich

czyniła ją tak nieznośną. Malując dziewczynę, przyczepił się do tego, przesadnie uwypuklił tę właśnie cechę, zaostrzył linię lekko spiczastego podbródka, nadał figurze niezręczną pozę.

Co to jest, że już po kilku minutach przebywania z Jane w jednym pokoju zaczyna mu wściekle działać na nerwy? A przecież to kochana dziewczyna, ale bardzo irytująca. W przeciwieństwie do Isobel, ma fatalny wpływ na jego usposobienie. A tak się stara stworzyć dokoła siebie łagodny klimat! Na próżno. Nie umie ukrywać swoich prawdziwych uczuć.

Rozejrzał się po pokoju. Był typowy dla Jane. Trochę ładnych przedmiotów, prawdziwych dzieł sztuki, chociażby to emaliowane naczynie z Battersea, ale tuż obok koszmarny wazon, malowany w róże!

Wziął go do ręki.

— Czy pogniewałaś się, gdybym to wyrzucił za okno?

— Daj spokój, Alanie!

— Po co ci ta tandeta? Masz przecież gust, tylko nie zawsze z niego korzystasz. Mieszasz dobre rzeczy z tandetnymi.

— Wiem, ale, widzisz, dostaję prezenty. Na przykład ten wazon. Panna Bates przywiozła mi go z Margate. Jest taka biedna, oszczędza na wszystkim, a na to wydała sporo grosza. Jak na nią. Była pewna, że mi się spodoba. Po prostu musiałam postawić ten wazon na eksponowanym miejscu.

Everard milczał i dalej rozglądał się po pokoju. Na ścianach było kilka sztychów i mnóstwo fotografii niemowląt. Niemowlęta, niezależnie od tego, co sądzą ich matki, nie zawsze dobrze wychodzą na zdjęciach. Każda z przyjaciółek Jane po urodzeniu dziecka natychmiast posyłała jej podobiznę swojej pociechy w przekonaniu, że sprawi tym dziewczynie przyjemność. Jane znajdowała należne im miejsce.

— Czyj jest ten potworek? — dopytywał się Everard, przyglądając się tłuscioszkowi z zezikiem.
— Nie pamiętani, żebym go u ciebie widział.

— To dziewczynka. Najnowszy bobas Mary Carrington.

— Biedna Mary Carrington. Na pewno udajesz przed nią, że jesteś zachwycona, kiedy to paskudztwo przez cały dzień na ciebie zezuje.

Jane wysunęła dolną szczękę.

— To bardzo słodkie dziecko. A Mary jest od wieków moją przyjaciółką.

— Lojalna Jane — uśmiechnął się Everard. — Rozumiem, że Isobel mówiła ci o Winnie, przyznaj się.

— Powiedziała, że macie ochotę jechać do Szkocji. Bardzo się z tego ucieszyłam. Dacie mi

Winnie na kilka dni, prawda? Od dawna mam na to ochotę, ale nie chciałam się narzucać.

— Oczywiście, możesz ją zabrać. Będziemy bardzo wdzięczni.

— No to świetnie — ucieszyła się Jane. Everard zapalił papierosa.

— Isobel pokazała ci swój nowy portret? — zapytał.

— O, tak.

— Co o nim myślisz?

— Jest wspaniały. Absolutnie wspaniały — odparła szybko. Za szybko.

Alan nagle zerwał się na nogi. Ręka, w której trzymał papierosa, zatrzęsa się.

— A niech to, Jane! Nie kłam!

— Ależ, Alanie, jest naprawdę cudowny.

— Czy jeszcze nie wiesz, że znam każdy odcień twojego głosu? Kłamiesz jak najęta, żeby mnie nie zranić. Dlaczego nie zdobędziesz się na szczerłość? Oboje dobrze wiemy, jaki on jest. Ten przeklęty obraz jest martwy! Martwy! Nie ma w nim śladu życia. Żadnej głębi! Sam naskórek, sama gładkość. Oszukiwałem sam siebie dłuższy czas. Nawet dzisiaj. Przyjechałem do ciebie, żeby się przekonać, czy mam rację. Isobel nic o tym nie wie. Ale ty wiesz, ty zawsze wiesz. Wiedziałem, że go pochwalisz, pod tym względem jesteś niemoralna. Ale ton twojego głosu mówi mi wszystko. Kiedy pokazałem ci „Romans”, w ogóle się nie odezwałaś. Wstrzymałaś oddech, a potem wydałaś cichy okrzyk.

— Alanie...

Everard nie dopuścił jej do głosu. Jane wywoływała w nim wściekłość, którą tak dobrze znał. Jakie to dziwne, że tak łagodna istota tak gwałtownie na niego działa.

— Na pewno sądzisz, że straciłem talent! — krzyknął. — To nieprawda! Potrafię jeszcze namalować dzieło równe „Romansowi”. Przekonasz się!

Wypadł z mieszkania. Niemal biegiem przemierzył park i most Alberta. Trząśnięty ze złości. Och, ta Jane! Co ona wie o malarstwie? Ile warta jest jej opinia? Czym się przejmować? A jednak przejmował się. Chciał namalować coś, co wywoła u niej cichy okrzyk zachwytu. Otworzy usta — troszeczkę, spojrz na obraz, potem na niego. I nie powie ani słowa.

Gdy znalazł się w połowie mostu, zobaczył obraz, który pragnął namalować. Nie miał pojęcia, skąd mu się wziął ten pomysł. Po prostu spadł mu z nieba, Ujrzał go tu, w powietrzu, a może tkwił w jego głowie?

Mały zapyziały sklepik z używanymi rzeczami. Ciemny, duszny. Za ladą niewysoki Żyd o chytrych

oczach. Przed nim klient, duży mężczyzna, gładki, tęgawy, może nawet trochę nalany, z szeroką zuchwą. Nad nimi, na półce popiersie z białego marmuru. Na obliczu chłopca o nieśmiertelnej urodzie starożytnych Greków wyraz pogardy, nie dopuszczający nawet myśli o kupnie czy targu, i plama światła. Żyd, bogaty kolekcjoner, głowa młodego Greka. Widział tę scenę bardzo wyraźnie.

— „Znawca”, nazwę ten obraz „Znawca” — wymamrotał. Zszedł na jezdnię i o mały włos nie zginął pod kołami autobusu. — Tak. „Znawca”. Już ja pokażę Jane.

Znalazłszy się w, domu, poszedł prosto do pracowni. Isobel zastała go tam, gdy sortował płótna.

— Alanie, nie zapominaj, że idziemy dziś na kolację do Marchesów.

Everard gwałtownie potrząsnął głową.

— Do diabła z nimi. Zamierzam pracować. Mam pomysł i muszę go utrwalić na płótnie, zanim uleci mi z głowy. Zadzwoń do nich. Powiedz im, że umarłem.

Isobel popatrzyła na niego uważnie i opuściła pracownię. Wiedziała, na czym polega życie z geniuszem. Zadzwoiła do Marchesów z jakąś wiarygodną wymówką.

Rozejrzała się dokoła i ziewnęła. Zasiadła do biurczka i napisała list.

Droga Jane,

Dzięki za czek, który dzisiaj nadszedł. Jesteś bardzo dobrą matką chrzestną. Sto funtów przyda się mnóstwo rzeczy. Tak kochasz Winnie, że bez wahania poprosiłam Cię o pomoc. Alan, jak to geniusz, potrafi przetrwać wyłącznie na tym, co go inspiruje, a to nie zawsze wystarczy na życie. Do rychłego zobaczenia.

Twoja Isobel

Gdy w kilka miesięcy później „Znawca” był skończony, Alan zaprosił Jane, by go obejrzała. Obraz okazał się zupełnie taki, jak sobie zaplanował — to było praktycznie niemożliwe — ale dość bliski jego początkowej koncepcji. Jednakże malarz był zadowolony ze swego dzieła.

Tym razem Jane nie prawila mu komplementów. Zarumieniła się i rozchyliła wargi. Spojrzała na Alana, a on zobaczył w jej oczach to, co pragnął w nich ujrzeć. Jane wiedziała.

Alan poczuł się jak uskrzydłony. A więc pokazał Jane, co potrafi!

Skończywszy z obrazem Alan znów zaczął się interesować najbliższym otoczeniem.

Winnie bardzo skorzystała na dwutygodniowym pobycie nad morzem, ale jej garderoba wydała mu

się dość zniszczona. Zwrócił na to uwagę Isobel.

— Alanie, ty, który nigdy nie zwracasz uwagi na takie rzeczy! A ja lubię dzieci skromnie ubrane. Nie cierpię, kiedy się je stroi.

— Jest różnica pomiędzy prostotą a łatami i cerami.

Isobel niczego już nie powiedziała, tylko kupiła Winnie nową sukienkę.

Dwa dni później Alan zajął się obliczaniem podatków. Otworzył książeczkę czekową i właśnie szperał w szufladach Isobel w poszukiwaniu jej książeczki, kiedy do pokoju tanecznym krokiem wbiegła Winnie ze zniszczoną lalką w ramionach.

— Tato, powiem ci zagadkę. „Otoczone bielutką ścianą, za zasłonką jak z jedwabnej piany, zatopione w kryształicznej wodzie, złote jabłko o wielkiej urodzie”. Zgadnij, co to?

— Twoja matka — odparł Alan bez namysłu. Wciąż przetrząsał szufladę.

— Tato! — roześmiała się Winnie. — To jajko. Dlaczego myślałeś, że to mama?

Alan uśmiechnął się.

— Nieuważnie słuchałem tego, co mówiłaś. Twoje słowa jakoś skojarzyły mi się z mamą.

Biała ściana, zasłona, kryształ, złote jabłko. To rzeczywiście kojarzyło mu się z Isobel. Dziwne bywają słowa.

Znalazł książeczkę czekową Isobel i poprosił Winnie, żeby zostawiła go samego. Dziesięć minut później wzdrygnął się, słysząc ostro wypowiedziane swoje imię.

— Alanie!

— Witaj, Isobel, nie słyszałem, jak wchodziłaś. Chodź tu, nie mogę się zorientować w niektórych twoich wpisach.

— Jakim prawem zaglądasz do mojej książeczki czekowej?

Spojrzał na nią ze zdumieniem. Była zła. Nigdy przedtem nie widział jej tak rozgniewanej.

— Nie miałem pojęcia, że tego sobie nie życzysz.

— Nie życzę sobie tego i to bardzo. Nie masz prawa grzebać w moich rzeczach.

Alan także się zdenerwował.

— Ogromnie cię przepraszam. Ale skoro już się stało, chciałbym, żebyś mi co nieco wyjaśniła. Widzę tu wpłatę prawie pięciuset funtów na twoje konto w tym roku i nie potrafię sobie tego

wytłumaczyć. Skąd się wzięła ta suma?

Isobel opanowała się i usiadła w fotelu.

— Nie bądź taki poważny, Alanie — zawołała. — To nie są pieniądze nielegalne albo nieuczciwie zarobione.

— Ale skąd się wzięły?

— Od pewnej kobiety. Twojej przyjaciółki. Nie należą do mnie, ale do Winnie.

— Do Winnie? Czy to znaczy, że pochodzą od Jane?

Isobel skinęła głową.

— Ona uwielbia naszą małą, jest gotowa wszystko dla niej zrobić.

— No dobrze, ale w takim razie suma ta powinna być zainwestowana w Winnie.

— Och, nie, przeznaczam ją na bieżące wydatki. Na odzież i temu podobne rzeczy.

Alan milczał. Pomyślał o połatanych i pocerowanych sukienkach córki.

— Poza tym przekroczyłaś swój rachunek w banku.

— Co ty mówisz? To cała ja.

— No dobrze, ale te pięćset...

— Mój drogi Alanie, wydałam je na potrzeby Winnie w sposób, jaki uznałam za słuszny. Zapewniam cię, że Jane jest bardzo zadowolona.

Alan natomiast nie był zadowolony. Jednak spokój Isobel okazał się tak przekonywający, że nie odezwał się więcej. Wiedział zresztą, że jego żona dość lekkomyślnie traktuje pieniądze. Na pewno nie wydała ich na siebie. Tego dnia nadszedł pocztą potwierdzony rachunek ze sklepu odzieżowego na Hannover Square, przez pomyłkę zaadresowany na pana Everarda. Podał go żonie bez słowa. Przejrzała go, uśmiechnęła się i powiedziała:

— Mój ty nieboraku. Zrozum, że kobieta musi być jako tako ubrana.

Nazajutrz Alan poszedł do Jane.

Jane jak zwykle była irytująca i małomówna. Prosiła, żeby się nie przejmował. Winnie jest jej chrześniaczką. Kobiety rozumieją te rzeczy. Mężczyźni nie mają o nich zielonego pojęcia. Wcale sobie nie życzyła, żeby Winnie kupowano sukienki za całe pięćset funtów. Alan powinien pozostawić te sprawy jej i Isobel. One się doskonale ze sobą porozumiewają.

Alan wyszedł poirytowany. Zdawał sobie sprawę, że udało się jej wykręcić od rozmowy, o którą mu chodziło. Chciał ją zapytać: „Czy Isobel prosiła cię o pieniądze dla Winnie?”. Nie zrobił tego, gdyż bał się, że Jane nie potrafi go dostatecznie dobrze okłamać.

Jednak martwił się. Jane nie należała do osób zamożnych. Dobrze o tym wiedział. Nie wolno jej było wykorzystywać. Postanowił rozmówić się z żoną. Isobel zachowała spokój i była bardzo przekonująca. Zapewniła męża, że nie pozwala Jane wydawać na Winnie więcej, niż ją na to stać.

Miesiąc później Jane umarła.

Zachorowała na gripę, która przerodziła się w zapalenie płuc. Na wykonawcę swojego testamentu Jane wyznaczyła Alana. Cały majątek zapisała Winnie. Dużo tego nie było.

Jednakże zadaniem Alana było przejrzanie wszystkich papierów zmarłej. Znalazł w nich mnóstwo dowodów jej dobroci — listy z prośbami, z podziękowaniami.

Na koniec trafił na dziennik. Poprzedzony karteluszkiem:

Dla Alana Everarda do przeczytania po mojej śmierci. Zarzucał mi często, że kłamię. Tu jest cała prawda.

Tak więc wreszcie dowiedział się wszystkiego z kartek, na które przelała całą prawdę. Było to proste i nie zafałszowane świadectwo jej miłości do niego.

Niewiele znalazłoby się w tym sentymentalizmu — żadnych stylistycznych upiększeń. Same gołe fakty.

Wiem, że często Cię irytuję — pisała. — Wszystko, co robię lub mówię, zazwyczaj Cię denerwuje. Nie wiem, czemu to przypisać, ponieważ bardzo staram Ci się przypodobać. Mimo to jednak myślę, że coś dla Ciebie znaczę. Nie złościmy się na ludzi, którzy są nam obojętni.

Nie należało obarczać Jane winą, że Alan natrafił na inne dokumenty. Jane była lojalna — ale niezbyt porządna. Tuż przed śmiercią spaliła wszystkie listy Isobel. Ale zachował się jeden, który Alan znalazł w szparze szuflady. Kiedy go przeczytał, zrozumiał znaczenie pewnych kabalistycznych znaków na odwrocie książeczki czekowej Jane. Isobel w liście nawet nie usiłowała udawać, że pieniądze, których żąda, są przeznaczone dla Winnie.

Alan długo siedział wpatrzony tępo w okno. Wreszcie wsunął książeczkę czekową do kieszeni i opuścił mieszkanie. W drodze do Chelsea narastała w nim wściekłość.

Żony w domu nie zastał. Był zły. Chciał od razu wyrzucić z siebie to, co miał jej do powiedzenia. Poszedł do pracowni i wyciągnął nie dokończony portret Jane. Postawił go na sztalugach obok portretu Isobel w różowej atlasowej sukni.

Pani Lempriere miała rację. Ten portret żył. Spojrzał na niego. Oczy Jane były bystre, piękne, mimo że przecież chciał ją pozbawić urody. Ale to była ona — jej animusz, jej temperament — najżywotniejsza istota, jaką kiedykolwiek znał, i to do tego stopnia, że nawet teraz nie mógł sobie wyobrazić, iż nie ma jej już na świecie.

Myślał o innych swoich obrazach, o „Kolorach”, „Romantyczności”, o portrecie sir Rufusa Herschmana. Wszystkie w gruncie rzeczy były portretami Jane. To ona je inspirowała, patrząc na nie wywoływała w nim wściekłość i gniew. To jej chciał nimi zaimponować. A teraz? Teraz Jane nie żyła. Czy uda mu się jeszcze kiedykolwiek coś namalować? Ponownie spojrzął w jej twarz na obrazie. A może jest tu gdzieś niedaleko?

Jakiś dźwięk kazał mu się obrócić. Do pracowni weszła Isobel. Była ubrana wieczorowo, miała na sobie prostą białą suknię, podkreślającą płynne złoto jej włosów.

Zatrzymała się, a potem w milczeniu usiadła na tapczanie. Wydawała się na pozór spokojna.

Alan wyjął z kieszeni książeczkę czekową.

— Przeglądałem papiery Jane.

— Tak?

Usiłował naśladować jej spokój, opanować drzenie głosu.

— Od czterech lat przekazywała ci pieniądze.

— Owszem. Dla Winnie.

— Nie. Nie dla Winnie! — krzyknął Everard. — Obie udawałyście, że to dla niej, ale tak nie było. Czy zdajesz sobie sprawę, że Jane sprzedawała swoje obligacje, że żyła w nędzy, abys ty mogła się stroić?

Isobel nie spuszczała oczu z jego twarzy. Usadowiła się wygodnie na poduszkach tapczanu niczym perski kot.

— Jane rzeczywiście dawała więcej niż powinna — zgodziła się. — Ale co mogłam na to poradzić? Myślę jednak, że stać ją było na to. Zawsze za tobą szalała. Wiedziałam o tym oczywiście. Niektóre żony robiłyby awantury, że ciągle do niej latałeś i przesiadywałeś godzinami. Ja nie.

— Nie — odparł Alan, blady jak ściana. — Ty kazałaś jej za to płacić.

— Obrażasz mnie, Alanie. Uważaj.

— Mówię prawdę. Dlaczego z taką łatwością wyciągałaś od niej pieniądze?

— Nie dawała ich z miłości do mnie, ale, rzecz jasna, do ciebie.

— Tak jest — odparł Alan z prostotą. — Płaciła za moją wolność. Za to, żebym mógł spokojnie pracować. Dopóki miałaś dość pieniędzy, zostawiałaś mnie w spokoju. Nie żądałaś, abym portretował jakieś straszne baby.

Isobel milczała.

— No więc? — krzyknął gniewnie Alan. Jej spokój go rozwścieczył.

Isobel wpatrywała się w podłogę. Nagle podniosła głowę i powiedziała cicho:

— Chodź do mnie, Alanie.

Wskazała na miejsce obok siebie na tapczanie. Nie patrząc na żonę, niechętnie, ociągając się, Alan usiadł. Zdawał sobie sprawę, że się jej boi.

— Alanie — odezwała się Isobel po chwili.

— Tak?

— Wszystko to, co mówiłaś, jest może i prawdziwe, ale trudno. Jestem taka, jaka jestem. Lubię suknie, pieniądze, ciebie. A Jane nie żyje.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Ona nie żyje! I ty należysz całkowicie do mnie. Przedtem tak nie było. W każdym razie niezupełnie.

Patrzył na żonę. Zobaczył iskry w jej oczach, jej zachłanność, jej chciwość. Narastał w nim bunt, ale i fascynacja.

— Teraz będziesz bez reszty mój.

Zrozumiał, o co jej chodzi.

— Chciałabyś, żebym został twoim niewolnikiem? Mam malować to, co każesz, żyć tak jak ty, być kołem twojego rydwanu.

— Można to i tak ująć. Czymże są słowa?

Poczuł na szyi jej gładkie, białe ramiona, twarde jak ściana. W głowie wirowały mu słowa zagadki: „Otoczone bielutką ścianą”. A więc znalazł się za ścianą. Jak za więziennym murem. Czy

uda mu się jeszcze zbiec? Czy chce uciec?

Słyszał jej głos szepczący mu do ucha — maki i mandragora.

— Po cóż jeszcze innego żyć? Czy to nie wystarczy? Miłość... szczęście... sukces... miłość...

Mur otaczał go coraz ciaśniej, owijała go zasłona jak z jedwabnej piany, przyduszała go trochę, ale była taka miękka, taka miła. Płynęli razem w krystalicznej wodzie ku krystalicznemu oceanowi. Mur był już bardzo wysoki, zasłaniał sobą wszystko — wszystko, co niebezpieczne, groźne, bolesne. Unosząc się na krystalicznym morzu trzymali w dłoniach złote jabłko.

Portret Jane powoli tonął w mroku.

Posłowie

Podobnie jak wiele innych wczesnych utworów Agathy Christie, opowiadanie „Otoczony ścianą” ukazało się pierwotnie w „Royal Magazine” w październiku 1925 roku i jest nieco dwuznaczne. Ostatnie zdanie na temat otaczającej Alana białej ściany może być wzięte dosłownie jako opis ramion Isobel, zaplecionych dokoła jego szyi, ale może istnieje także i inna interpretacja? Tajemnicze zdanie zawierające słowa „złote jabłko w ich dłoniach” jest niejasne. W czyich dłoniach i czego jest ono symbolem? Czy istnieje jakieś inne, groźne wyjaśnienie zagadki Winnie? Czy w rzeczywistości Alan nie dusi swojej żony? A ostatnie zdanie, mówiące o tym, że portret Jane zaczął tonąć w mroku? Czyżby to miało znaczyć, że Alan zapomniał o niej i wybaczył Isobel? A jeśli chodzi o jego śmierć, Agatha Christie nie tłumaczy nam jej okoliczności, jedynie wspomina, że w związku z tą sprawą powstało wiele przykrych plotek, które narrator próbuje pominąć.

Opowiadanie oparte jest na bardzo częstym u autorki wątku. Na trójkącie małżeńskim. Spotykamy go w podobnie skonstruowanej powieści „Śmierć na Nilu” (1937) i „Zło, które żyje pod słońcem” (1941) oraz w opowiadaniach takich, jak „The Bloodstained Pavement” ze zbioru „Trzyście powieści” lub „Talent to Deceive” (1980). Robert Barnard, niewątpliwie najwnikliwszy krytyk jej twórczości, pisze, że Agatha Christie używa tego wątku, podobnie jak kilku innych, w ramach swojej „strategii nabierania”, naprowadzając czytelnika na fałszywy trop ich sympatii (jak i podejrzeń), grając na ich oczekiwaniach. Taką samą taktykę zastosowała w sztukach teatralnych, głównie w „Pułapce na myszy” (1952).

Tajemnica bagdadzkiego kufra

Słowa te składają się na bardzo atrakcyjny tytuł, oświadczyłem mojemu przyjacielowi Herkulesowi Poirot. Nie znałem żadnej z wchodzących w grę osób. Moje zainteresowanie było zupełnie beznamienne. Poirot zgodził się ze mną.

— O tak, to orientalny posmak. Jest bardzo tajemnicze. Kufier jest, być może, zwykłą imitacją rodem z Tottenham Court Road, ale reporter bardzo pomysłowo nazwał go bagdadzkim. Słowo „tajemnica” jest też dobrze pomyślane, chociaż, o ile się orientuję, tajemnic nie ma tam wiele.

— Zgadzam się. Wszystko to jest raczej przerażające i makabryczne niż tajemnicze.

— Przerazające i makabryczne — powtórzył Poirot.

— I odrażające — dodałem, wstając i spacerując po pokoju. — Morderca zabija tego człowieka, swojego przyjaciela, wpycha ciało do skrzyni i pół godziny później w tym samym pokoju tańczy z żoną ofiary. Pomyśl tylko! Gdyby ona choć przez chwilę wyobraziła sobie...

— To prawda — zamyślił się Poirot. — Tym razem ta wielce przeceniana cecha, czyli kobieca intuicja, jakoś zawiodła.

— Zabawa podobno była przednia — wzdrygnąłem się. — Tańczono, grano w pokera, a w pokoju znajdował się trup. Można by napisać sztukę na ten temat.

— To już się stało — zauważył Poirot. — Ale pociesz się, Hastings — dodał uprzejmie. — Fakt, że jakiś temat został wykorzystany, wcale nie znaczy, że nie można go powtórzyć. Chwyć za pióro.

Wzięłem gazetę i przyjrzałem się zamazanej fotografii.

— Musi być niezwykle piękna — stwierdziłem. — Widać to nawet na tym marnym zdjęciu.

Pod fotografią widniał podpis:

OSTATNI PORTRET PANI CLAYTON,

ŻONY ZAMORDOWANEGO

Poirot odebrał mi gazetę.

— O tak — zgodził się. — Jest piękna. To jedna z tych kobiet, które zawracają mężczyznom w głowie.

Wzdychając zwrócił mi gazetę.

— *Dieu merci*, że nie mam wielkiego temperamentu. Zaoszczędziło mi to wielu upokorzeń. Jestem za to niezmiernie wdzięczny.

Nie przypominam sobie, byśmy dalej omawiali tę sprawę. Poirota owo wydarzenie z początku nie bardzo zainteresowało. Fakty były tak oczywiste, że nie warte dalszego zastanowienia.

Państwo Clayton i major Rich byli od dawna zaprzyjaźnieni. Dziesiątego marca Claytonowie mieli spędzić u majora wieczór. Ale około siódmej trzydzieści Clayton oświadczył innemu z przyjaciół, niejakemu majorowi Curtissowi, z którym umówił się na drinka, że niespodziewanie wezwano go do Szkocji, dokąd odjeżdża pociągiem o ósmej wieczorem.

— Wpadnę jeszcze do Jacka i wytłumaczę mu się — dodał. — Marguerita oczywiście pójdzie. Przykro mi, że tak wypadło, ale Jack zrozumie.

Uczynił, jak powiedział. W mieszkaniu majora pojawił się za dwadzieścia ósma. Majora nie było w domu, ale kamerdyner, który dobrze znał Clayтона, zaprosił go do środka. Clayton powiadomił go, że nie ma czasu, wszedł jednak, by napisać karteczkę. Dodał, że spieszy się na pociąg.

Kamerdyner zaprowadził go do salonu.

W pięć minut później major Rich, który widocznie wszedł do mieszkania nie zauważony przez służącego, otworzył drzwi salonu i poprosił kamerdynera, by poszedł mu kupić papierosy. Po powrocie służący zaniósł je do salonu, gdzie siedział jego chlebodawca. Był sam. Służący wywnioskował więc, że pan Clayton już wyszedł.

Wkrótce potem zjawili się goście. Byli to: pani Clayton, major Curtiss oraz niejaki pan Spence z żoną. Tańczono przy dźwiękach patefonu i grano w pokera. Przyjęcie skończyło się po północy.

Nazajutrz rano, gdy kamerdyner wszedł do salonu, ku swemu zdumieniu zobaczył na dywanie dużą ciemną plamę tuż obok skrzyni, przywiezionej przez majora Richa z jakiejś podróży. Nazywano ją bagdadzkim kufrem.

Służący instynktownie uniósł wieko i przerażony zobaczył skulone ciało mężczyzny, którego serce przebito ostrym narzędziem.

Struchlały wybiegł na ulicę i sprowadził pierwszego napotkanego policjanta. Nieboszczyk okazał się panem Claytonem. Wkrótce potem aresztowano majora Richa. Zrozumiało, że major uparcie wszystkiemu zaprzeczał. Utrzymywał, że poprzedniego wieczoru wcale nie spotkał się z Claytonem i że o jego planowanym wyjeździe do Szkocji dowiedział się od pani Clayton.

Takie były suche fakty. Rzecz jasna, szybko zaczęły się jednak mnożyć różne uwagi, sugestie i plotki. Podkreślano zażyłość między majorem Richem a panią Clayton. Tylko głupiec nie potrafiłby czytać między wierszami. Motyw zbrodni wydawał się jasny.

Wieloletnie doświadczenie nauczyło mnie nie ufać pozorom. Sugerowany motyw mógł się okazać zupełnie bezpodstawny. U podłoża zbrodni mogły leżeć zupełnie inne powody. Jedna wszakże rzecz wydawała się pewna — sprawcą zbrodni był Rich.

Gdyby nie to, że owego wieczoru Poirot i ja byliśmy zaproszeni na przyjęcie do lady Chatterton, sprawa ta już by nas więcej nie interesowała.

Poirot, który, jak twierdził, nie znosił przyjęć i zawsze powtarzał, że kocha samotność, w gruncie rzeczy bardzo lubił życie towarzyskie. Uwielbiał, gdy traktowano go jak lwa salonowego i honorowego gościa.

Czasami wręcz mruczał z rozkoszy niczym kot! Byłem świadkiem sceny, kiedy bez zmruczenia powiek przyjmował najbardziej wyszukane komplementy, a i sam niekiedy przechwalał się tak beczelnie, że nawet nie mógłbym o tym napisać.

Często sprzeczałyśmy się na ten temat.

— Ależ mój drogi — mawiał Poirot. — Nie jestem Anglikiem. W jakim celu miałbym być hipokrytą? *Si, si*, wy wszyscy tak właśnie postępujecie. Pilot powracający z trudnego rejsu, słynny mistrz tenisa... Każdy z nich, spuszczać oczy, mówi: „To nic wielkiego”. Ale czy rzeczywiście tak myśli? Nic podobnego. Gdyby chodziło o kogoś innego, pod niebiosa wychwalaliby jego osiągnięcia. Zatem, jako ludzie racjonalni, w cichości ducha podziwiają samych siebie. Jednakże wpojone konwenanse nie pozwalają im tego okazywać. Ja jestem inny. Talenty, które posiadam, podziwiałbym u innych. Tak się składa, że jeśli chodzi o mój zawód, nie mam sobie równych. *C'est dommage!* Więc przyznaję otwarcie i bez hipokryzji, że jestem wielkim człowiekiem. Posiadam zdolność porządkowania myśli, metodę postępowania i znajomość psychologii. Innymi słowy, jestem Herkulesem Poirot! Czemu miałbym się rumienić, jękać, mamrocząc pod nosem, że brak mi rozumu? Mijałoby się to z prawdą.

— Owszem — zgodziłem się. — Na świecie jest tylko jeden jedyny Herkules Poirot. — W moim głosie zabrzmiała odrobina ironii, ale Poirot szczęśliwie jej nie zauważył.

Lady Chatterton zaliczała się do największych wielbicielek Poirota. Uwielbienie to rozpoczęło się od dziwnego zachowania pewnego pekińczyka i uruchomiło cały łańcuch wydarzeń, co z kolei doprowadziło do aresztowania groźnego włamywacza i złodzieja. Od tamtej pory lady Chatterton na wszystkie strony wychwalała detektywa.

Obserwowanie Poirota na przyjęciach dostarczało niezłej zabawy. Jego ubranie bez skazy, biała, idealnie zawiązana muszka, starannie uczesane i silnie wypomadowane włosy z przedziałkiem na środku głowy, słynne już, pieczołowicie zakręcone wąsiki — wszystko to tworzyło obraz prawdziwego dandysa. W takich chwilach trudno było małego człowieczka brać na serio.

Gdzieś koło jedenastej trzydzieści lady Chatterton wyłowiła Poirota spośród grona otaczających go wielbicieli i pociągnęła za sobą. Oczywiście, podążyłem za nimi.

— Chodźmy do mojego saloniku na piętrze — rzekła lady Chatterton stanowczo, kiedy goście nie mogli już nas usłyszeć. — Pan zna ten pokój, panie Poirot. Zastanie pan tam kogoś, kto bardzo potrzebuje pańskiej pomocy. Wiem, że pan jej pomoże. To jedna z moich najbliższych przyjaciółek, niech więc pannie odmawia. — Z tymi słowami lady Chatterton zaprowadziła nas pod drzwi

saloniku, otworzyła je energicznie i rzekła: — Kochana Marguerito, przyprowadzani ci go. Zrobi dla ciebie wszystko, co zechcesz. Pomoże pan pani Clayton, prawda, panie Poirot?

I uznawszy jego zgodę za pewnik wycofała się z tą samą energią, jaka charakteryzowała całe jej zachowanie.

Pani Clayton siedziała na krześle pod oknem. Wstała i podeszła do nas. Ubrana była w głęboką czerń, która podkreślała jej jasną karnację. Odznaczała się dużą urodą, miała w sobie dziecięcy niemal urok.

— Alice Chatterton jest taka dobra — odezwała się. — Jestem jej wdzięczna, że zaaranżowała to spotkanie. Twierdzi, że zechce mi pan pomóc, panie Poirot. Oczywiście nie wiem, czy pan się zgodzi... ale mam taką nadzieję.

Wyciągnęła do niego rękę i Poirot ujął ją, przytrzymał chwilę i bacznie się jej przyglądał. Nie było w tym nic natrętnego. W geście tym przypominał raczej słynnego lekarza badającego pacjenta.

— *Madame* — przemówił wreszcie. — Czy pani jest pewna, że mogę być pomocny?

— Tak utrzymuje Alicja.

— Owszem, ale ja pytam panią, *madame*.

Na jej policzkach pojawił się delikatny rumieniec.

— Niezupełnie pana rozumiem.

— Czego się pani po mnie spodziewa?

— Pan... pan chyba wie, kim jestem?

— Naturalnie.

— Zatem domyśla się pan zapewne, o jaką pomoc mi chodzi. Panie Poirot, kapitanie Hastings — (byłem zadowolony, że znała moje nazwisko) — major Rich nie zabił mojego męża.

— Dlaczego nie?

— Pan wybaczy, ale nie rozumiem.

Poirot, świadom tego, że się speszyła, uśmiechnął się.

— Dlaczego nie, zapytałem.

— Wciąż pana nie rozumiem.

— To bardzo proste. Policja, adwokaci, oni wszyscy będą stawiali to samo pytanie. Dlaczego

major Rich zabił pana Claytona? Ja natomiast pytam panią, *madame*, o coś wręcz przeciwnego: dlaczego major Rich nie zabił pana Claytona?

— Chce pan wiedzieć... dlaczego jestem tego pewna? No cóż, ja wiem. Doskonale znam majora Richa.

— Pani doskonale zna majora Richa — powtórzył Poirot. Zarumieniła się gwałtownie.

— O tak, to wszyscy będą powtarzali... będą tak myśleli! Naturalnie!

— *C'est vrai*. O to będą panią pytali. O to, jak dobrze pani знаła majora. Być może powie pani prawdę, a może pani skłamie. Kobiety często muszą uciekać się do kłamstwa. To dobra broń. Ale z trzema osobami, *madame*, kobieta powinna być szczerą: ze swoim spowiednikiem, ze swoim fryzjerem i ze swoim prywatnym detektywem... jeżeli mu pani ufa. Czy pani mi ufa, *madame*?

Marguerita Clayton westchnęła głęboko.

— Tak — powiedziała, dodając niemal dziecinnie: — Przecież muszę.

— W takim razie, jak dobrze pani znała majora Richa?

Chwilę patrzyła na Poirota w milczeniu, a potem obronnym gestem uniosła brodę.

— Odpowiem na pańskie pytanie. Zakochałam się w Jacku od pierwszego wejrzenia. Dwa lata temu. Ostatnio zaczęłam myśleć... wydawało mi się... że i on zaczął mnie kochać. Ale nigdy mi tego nie wyznał.

— Śpatant! — zawołał Poirot. — Dzięki swojej szczerości oszczędziła mi pani co najmniej kwadrans. Ma pani dobrze poukładane w głowie, *madame*. A pani mąż... czy on coś podejrzewał?

— Nie wiem — odparła Marguerita z namysłem. — Chyba... od niedawna... być może. Zmienił się jakoś... Ale mogło mi się tylko wydawać.

— Czy ktoś inny o tym wiedział?

— Nie sędzę.

— Pani wybaczy... ale chyba nie kochała pani swojego męża?

Przypuszczam, że niewiele kobiet odpowiedziałoby na takie pytanie z równą prostotą. Przynajmniej usiłowałyby znaleźć jakieś usprawiedliwienie.

Marguerita Clayton odparła szczerze:

— Nie.

— *Bien*. Przynajmniej wiemy, czego się trzymać. Pani twierdzi, że major Rich nie zabił pani męża,

choć wszystko na to wskazuje. Czy może wie pani coś szczególnego?

— Nie. Nic nie wiem.

— Kiedy mąż po raz pierwszy zawiadomił panią o wyjeździe do Szkocji?

— Zaraz po lunchu. Powiedział, że wcale nie ma na to ochoty, ale jest zmuszony. Miało to coś wspólnego z wyceną gruntów.

— A co potem?

— Chyba... chyba poszedł do swojego klubu. I... więcej już go nie widziałam.

— Wróćmy do majora Richa. Jak zachowywał się tamtego wieczoru? Normalnie?

— Mam wrażenie, że tak.

— Nie jest pani pewna? Marguerita zmarszczyła brwi.

— Był jakby trochę spięty. Bardziej w stosunku do mnie niż do innych. Sądziłam jednak, że znam tego powód. Rozumie pan? Jestem jednak pewna, że to napięcie... czy raczej błędnie gdzieś myślami... nie miało nic wspólnego z Edwardem. Major był zdumiony, kiedy się dowiedział, że Edward wyjechał do Szkocji, ale wcale się tym nie zaniepokoił.

— Czy ten wieczór nie kojarzy się pani z czymś niezwykłym? Marguerita zastanowiła się.

— Nie, z niczym.

— Czy zwróciła pani uwagę na kufer? Zaprzeczyła. Przeszył ją lekki dreszcz.

— Nawet go sobie nie przypominam... Prawie przez cały wieczór graliśmy w pokera.

— Kto wygrał?

— Major Rich. Ja miałam pecha, major Curtiss także. Spence'owie trochę wygrywali, ale major Rich był zwycięzcą.

— O której się państwo rozstali?

— Koło wpół do dwunastej. Wyszliśmy wszyscy razem.

Poirot zamyślił się.

— Żałuję, że nie mogę być bardziej pomocna — odezwała się pani Clayton. — Niewiele miałam panu do powiedzenia.

— O terażniejszości, owszem. Ale co z przeszłością, *madame*?

— Z przeszłością?

— Tak. Czy nie zdarzyło się nic ważnego?

Zarumieniła się.

— Ma pan na myśli tego okropnego małego człowieczka, który się zastrzelił? Panie Poirot, to nie była moja wina, przysięgam!

— Nie ten incydent miałem na myśli, *madame*.

— A więc ten idiotyczny pojedynek? Tylko Włosi jeszcze się pojedynkują. Byłam wdzięczna losowi, że tamten człowiek nie zginął.

— Musiała to być dla pani wielka ulga — zgodził się z powagą Poirot.

Popatrzyła na niego z lekkim niedowierzaniem. Detektyw wstał i ujął ją za rękę.

— Nie zamierzam się o panią pojedynkować, *madame*. Ale zrobię to, o co mnie pani prosi. Odkryję prawdę. I miejmy nadzieję, że pani instynkt się nie myli. Że owa prawda pomoże pani, a nie zaszkodzi.

Jako pierwszego o rozmowę poprosiliśmy majora Curtissa. Był to mężczyzna około czterdziestki, o żołnierskiej postawie, kruczoczarnych włosach i opalonej twarzy. Znał Claytonów od lat, podobnie jak majora Richa. Potwierdził to, o czym pisano w prasie.

Spotkali się z Claytonem w klubie na drinku około wpół do ósmej. Wtedy to Clayton oświadczył, że w drodze na dworzec Euston zamierza wpaść do majora Richa.

— W jakim był nastroju? Przygnębiony czy raczej wesoły? Major zastanawiał się chwilę. Należał do flegmatyków.

— Raczej w dobrym humorze — powiedział wreszcie.

— Nie wspominał o jakimś zatargu z majorem Richem?

— Skądże! Byli kumplami.

— Nie miał mu za złe, że przyjaźni się z jego żoną? Major poczerwieniał.

— Najwyraźniej naczytał się pan bzdur w tych szmatławcach. Oczywiście, że nie miał mu tego za złe. Sam mi powiedział: „Rzecz jasna, to sprawa Marguerity”.

— Rozumiem. A tamtego wieczoru? Czy major Rich zachowywał się tak jak zawsze?

— Nie zauważyłem żadnej różnicy.

— *A madame?* Ona też zachowywała się tak jak zwykle?

— Cóż — zastanowił się. — Może była bardziej milcząca. Wie pan, taka jakaś zamyślona i jakby nieobecna.

— Kto pojawił się pierwszy?

— Spence'owie. Byli już, kiedy się zjawiłem. Prawdę mówiąc, po drodze wpadłem po panią Clayton, ale dowiedziałem się, że już wyszła. Więc spóźniłem się nieco do Richa.

— Jak spędzaliście wieczór? Tańczyliście? A może graliście w karty?

— I jedno, i drugie. Głównie tańczyliśmy.

— Było was pięcioro?

— Tak, ale ja nie tańczę. Zajmowałem się nastawianiem płyt.

— Kto z kim najczęściej tańczył?

— Hm, Spence'owie lubią się bawić ze sobą. Świetnie to robią. Mają na tym punkcie prawie bzika.

— Tak więc pani Clayton tańczyła głównie z majorem Richem?

— Chyba tak.

— A potem graliście w pokera?

— Zgadza się.

— O której pan poszedł do domu?

— Mam wrażenie, że wcześniej. Trochę po północy.

— Czy wyszliście wszyscy razem?

— Owszem, wzięliśmy na spółkę taksówkę, najpierw odwieźliśmy panią Clayton, potem wysiadłem ja, a Spence'owie pojechali do siebie do Kensington.

Następnie odwiedziliśmy Spence'ów. W domu zastaliśmy tylko panią Spence, lecz jej relacja z tamtego wieczoru dokładnie pokrywała się z tym, co mówił major Curtiss. Tyle że gdy wspomniała o szczęściu do kart majora Richa, wykazała lekki sceptycyzm.

Wcześniej tegoż popołudnia Poirot porozmawiał telefonicznie z inspektorem Jappem ze Scotland Yardu. W rezultacie, kiedy zajechaliśmy do mieszkania Richa, kamerdyner już na nas czekał.

Jego zeznania były jasne i zwięzłe.

Pan Clayton przybył dwadzieścia minut przed ósmą. Niestety, pan Rich wyszedł chwilę wcześniej. Pan Clayton oświadczył, że nie może czekać, ponieważ nie chciałby się spóźnić na pociąg, ale wyraził chęć napisania kilku słów. W tym celu poszedł do salonu. Burgoyne nie słyszał, kiedy wrócił jego chlebobawca, bo właśnie napełniał wodę do wanny, a major Rich otworzył drzwi własnym kluczem. O ile dobrze sobie przypomina, jakieś dziesięć minut później major poprosił go, by poszedł po papierosy. Nie, nie zaglądał do salonu. Major Rich stał w progu. Pięć minut później powrócił z papierosami i wtedy wszedł do salonu. W pokoju nie było nikogo poza majorem Richem, który stał przy oknie i palił. Zapytał, czy kąpiel jest gotowa, i poszedł do łazienki. On, Burgoyne, nie wspominał o wizycie pana Clayтона, gdyż był pewny, że panowie spotkali się w salonie i że gospodarz wypuścił potem swojego gościa. Major zachowywał się jak zawsze. Wykąpał się, przebrał i wkrótce potem zjawili się państwo Spence, a zaraz za nimi major Curtiss i pani Clayton.

Służący nie sądził, że pan Clayton mógł opuścić dom przed przybyciem jego pana. Musiałby wówczas zatrzaskać frontowe drzwi, a to kamerdyner z pewnością by usłyszał.

W ten sam beznamiętny sposób służący opisał znalezienie przez siebie zwłok. Po raz pierwszy spojrzeliśmy na fatalny kufer. Był bardzo duży, zbity z jakiegoś ciemnego drewna, gęsto nabijany mosiężnymi ćwiekami. Wieko otwierało się łatwo. Kamerdyner zajrzał do środka i wzdrygnął się. Mimo iż starannie wyszorowany, kufer zachował ślady strasznych plam.

Nagle Poirot wydał głośny okrzyk.

— Te dziury... to dziwne! Można by powiedzieć, że zostały niedawno wywiercone.

Rzeczne dziury znajdowały się na tylnej ścianie skrzyni. Było ich trzy albo cztery. Miały średnicę około ćwierć cala i rzeczywiście wyglądało na to, że powstały niedawno.

Poirot pytającym wzrokiem zmierzył kamerdynera i pochylił się, by przyjrzeć się z bliska otworom.

— Coś dziwnego, sir. Zupełnie ich sobie nie przypominam, chociaż mogłem nie zauważyć.

— Nie ma to najmniejszego znaczenia — zapewnił Poirot. Zamknął wieko skrzyni i podszedł do okna. Niespodziewanie zapytał:

— Proszę mi coś powiedzieć. Gdy tamtego wieczoru przyniósł pan do salonu papierosy, nie zauważył pan jakiejś zmiany w umeblowaniu?

Burgoyne myślał przez chwilę, a potem odpowiedział z wahaniem:

— Dziwne, że pan o to pyta. Teraz, kiedy pan o tym wspominał, coś sobie przypominam. Parawan, który zazwyczaj stoi przed drzwiami sypialni, był nieco przesunięty w lewo.

— Czy w ten sposób?

Poirot zręcznym ruchem przesunął elegancki, sporządzony z ozdobnej skóry parawan, który całkowicie zasłonił skrzynię.

— Tak właśnie było. Dokładnie tak — zgodził się kamerdyner.

— A nazajutrz rano?

— Stał jeszcze tam. Pamiętam. Przesunąłem go i wtedy zobaczyłem plamę. Dywan został posłany do pralni, sir. Dlatego parkiet jest odsłonięty.

Poirot skinął głową.

— Rozumiem — powiedział. — Dziękuję wam. Wsunął szeleszczący papierek w dłoń kamerdynera.

— Piękne dzięki, sir.

Gdy znaleźliśmy się już na ulicy, zapytałem Poirota:

— Czy przesunięcie parawanu przemawia na korzyść Richa?

— Nie, jest to jeszcze jedna poszlaka na jego niekorzyść — odparł posępnie detektyw. — Parawan zasłaniał skrzynię, a także plamę na dywanie. Prędzej czy później krew przesiąkłaby przez drewno i zaplamiałaby dywan. Parawan na jakiś czas opóźnił odkrycie plamy. Ale, Hastings, jest coś, czego nie rozumiem. Ten kamerdyner, mój drogi. Ten kamerdyner.

— Do czego zmierzasz? Mnie wydał się całkiem do rzeczy.

— Oczywiście, całkiem do rzeczy. Wobec tego nie potrafię zrozumieć, dlaczego major nie wziął pod uwagę, że on nazajutrz odnajdzie zwłoki? Przyznaję, że Rich tuż po zabójstwie nie miał na nic czasu. Pakuje więc ciało do skrzyni, skrzynię zasłania parawanem i w nadziei, że nic się nie wyda, spędza uroczy wieczór. Ale co po odejściu gości? Mógł przecież wtedy pozbyć się ciała ofiary.

— Może myślał, że służący nie zauważy plamy?

— Mój przyjacielu, to nieprawdopodobne. Plama na dywanie to pierwsza rzecz, na jaką każdy dobry kamerdyner zwróci uwagę. A major Rich kładzie się spać, chrapie sobie w najlepsze i nic nie robi. To godne uwagi i bardzo interesujące.

— Może Curtiss spostrzegł plamę, kiedy zmieniał płyty?

— Mało prawdopodobne. Akurat na to miejsce padał cień parawanu. Och, zaczynu mi coś świtać. Jak przez mgłę zaczynam coś widzieć.

— Co takiego?

— Powiedzmy, jakieś możliwości, ewentualności. Może nasza następna wizyta rzuci trochę światła na sprawę.

Następną wizytę złożyliśmy lekarzowi, który dokonał autopsji ciała. Powtórzył nam dokładnie to,

co powiedział podczas śledztwa. Ofiarę przebito cienkim długim nożem, czymś w rodzaju sztyletu. Nóż pozostał w ranie. Śmierć nastąpiła natychmiast. Narzędzie zbrodni stanowiło własność majora Richa i zwykle leżało na jego biurku. Z tego, co było wiadome doktorowi, nie znaleziono na nim odcisków palców. Albo ktoś je wytarł, albo morderca trzymał nóż przez chusteczkę do nosa. Co do godziny śmierci, nastąpiła ona między siódmą a dziesiątą wieczorem.

— A nie mogło to się zdarzyć, na przykład, po północy? — zapytał Poirot.

— Nie. Tyle mogę powiedzieć. Najpóźniej o dziesiątej, lecz siódma trzydzieści i ósma wydają się prawdopodobniejsze.

— Istnieje też inna hipoteza — rzekł Poirot, gdy wracaliśmy już do domu. — Ciekawe, jaka jest twoja opinia, Hastings. Dla mnie sprawa jest już jasna, muszę tylko wyjaśnić jedną kwestię dla dobra wszystkich.

— Ależ ja nie widzę w tym nic dobrego — przyznałem się. — Niczego nie rozumiem.

— Jednak spróbuj, Hastings. Postaraj się.

— Dobrze. A więc o siódmej czterdzieści Clayton jest żywy i ma się dobrze. Ostatnią osobą, która widziała go żywego, jest Rich...

— Tak zakładamy.

— Hm, czy to nieprawda?

— *Mon ami*, zapominasz, że major Rich temu zaprzecza. Stanowczo twierdzi, że gdy wrócił do domu, Clayтона już tam nie było.

— Jednakże kamerdyner twierdzi, że usłyszałby trzask drzwi. Poza tym, gdyby Clayton wyszedł, to kiedy wrócił? Nie mogło to stać się po północy, gdyż doktor twierdzi, że ofiara już wtedy nie żyła od dwóch godzin. Zatem pozostaje tylko jedna możliwość.

— Jaka, *mon ami*?

— Że w ciągu tych pięciu minut, kiedy Clayton był sam w salonie, ktoś tam wszedł i go zamordował. Ale obydwaj mamy tę samą wątpliwość. Tylko ktoś, kto miał klucz do mieszkania, mógł wejść bez wiedzy służącego, natomiast morderca, opuszczając dom, musiałby zatrzasnąć drzwi, a to kamerdyner także by usłyszał.

— Właśnie! — wykrzyknął Poirot. — I dlatego.....

— Dlatego... nic. Nie widzę rozwiązania tej zagadki.

— Szkoda — mruknął Poirot. — Jest ona bowiem niezwykle prosta i jasna jak błękitne oczy pani Clayton.

— Naprawdę wierzysz...

— Ja w nic nie wierzę, dopóki nie mam dowodu. Jeden mały dowodzik przekona mnie ostatecznie.

Podniósł słuchawkę i zadzwonił do Jappa, do Scotland Yardu.

Dwadzieścia minut później staliśmy przed stołem, na którym ułożono stosik drobnych przedmiotów. Była to zawartość kieszeni zamordowanego.

Znajdowały się tam: chustka do nosa, kilka drobnych monet, portfel z trzema funtami i dziesięcioma szylingami, parę rachunków i podniszczone zdjęcie Marguerity Clayton. A także scyzoryk, złoty ołówek i jakieś toporne drewniane narzędzie.

To ostatnie zainteresowało Poirota. Chwycił je, rozkręcił i wyrzucił na stół kilka cienkich ostrzy.

— Widzisz, Hastings, ręczny świder i cała reszta. Wydrążenie za jego pomocą kilku dziur jest stosunkowo szybkie i proste.

— Mówisz o tych dziurach, które znaleźliśmy w skrzyni?

— Oczywiście.

— Sądysz, że wydrążył je Clayton?

— *Mais oui, mais oui!* Co mówią ci te dziury? Nie wywiercono ich po to, by przez nie patrzeć, gdyż znajdowały się w tylnej ścianie skrzyni. W takim razie, po co? Najwyraźniej dla powietrza. Ale nikt nie robi podobnych otworów dla trupa, toteż na pewno nie są dziełem mordercy. Sugerują tylko i wyłącznie jedną rzecz, a mianowicie, że ktoś chciał się w tej skrzyni ukryć. Przy tym założeniu wszystko staje się jasne. Pan Clayton jest zazdrosny o majora Richa. Ucieka się do starego numeru, udaje, że musi wyjechać. Wyczekuje momentu, kiedy Rich wychodzi z domu, potem dzwoni do drzwi, wchodzi do środka, zostaje sam w salonie, żeby napisać karteczkę, błyskawicznie wierci dziury w skrzyni i chowa się w niej. Wie, że żona przyjdzie tego wieczoru do Richa. Przypuszcza, że major albo odwoła pozostałych gości, albo zatrzyma ją u siebie po ich odejściu, albo pożegna się z nią, a ona po chwili powróci. W każdym razie Clayton musi się upewnić, jak sprawy stoją. Woli najgorszą prawdę od dotychczasowej udręki podejrzeń.

— Zatem uważasz, że Rich zabił go już po wyjściu gości? Jednak lekarz utrzymuje, że to niemożliwe.

— Właśnie. Ale widzisz, Hastings, on musiał zginąć w czasie przyjęcia.

— Przecież w salonie było pełno ludzi!

— Właśnie — potwierdził poważnie Poirot. — Rozumiesz, jakie to było perfidne? „W salonie było pełno ludzi”. Doskonałe alibi! Co za zimna krew! Co za bezczelność!

— Wciąż nic nie rozumiem.

— Kto wchodził za parawan, by nakręcać patefon i zmieniać płyty? Przypomnij sobie, że patefon i skrzynia stały obok siebie. Pozostali goście tańczyli. Patefon grał. A człowiek, który nie tańczy, unosi wieko skrzyni, wyjmując z rękawa nóż i wbija go głęboko w ciało ukrytego tam mężczyzny.

— Niemożliwe! Ten człowiek by krzyknął.

— Nie, jeśli był wcześniej uśpiony.

— Uśpiony?

— Tak. Z kim Clayton dwie godziny wcześniej wypił drinka? Aha! Teraz rozumiesz! Z Curtissem! Curtiss zatrul też umysł Clayтона podejrzeniami co do kontaktów jego żony z Richem. Curtiss podsunął mu cały plan. Rzekomy wyjazd do Szkocji, ukrycie się w skrzyni, wreszcie zasłonięcie jej parawanem. I to nie tak, by Clayton mógł nieco uchylić wieko i zaczerpnąć powietrza, ale aby on, Curtiss, mógł unieść je niepostrzeżenie. Curtiss wszystko obmyślił i popatrz, Hastings, jaki ten plan był doskonały. Gdyby Rich zauważył, że przesunięto parawan i odstawił go na miejsce, nic by się nie stało.

Curtiss wymyśliłby coś innego. Clayton ukrywa się w skrzyni. Łagodny narkotyk, jaki mu zaaplikowano, zaczyna działać. Traci świadomość. Curtiss unosi wieko i uderza, a z patefonu dobiega piosenka „Odprowadzam mą miłą do domu”.

Odzyskałem mowę.

— Ale dlaczego? Dlaczego?

Poirot wzruszył ramionami.

— Dlaczego człowiek strzela do siebie? Dlaczego pojedynkują się dwaj Włosi? Curtiss jest obdarzony gwałtownym temperamentem. Pożądał Marguerity Clayton. Miał nadzieję, że kiedy pozbędzie się jej męża i majora Richa, ona zwróci się ku niemu.

Po chwili namysłu dodał:

— Te nieskomplikowane, dziecinne kobietki... są bardzo niebezpieczne. Ale *mon Dieu!* Co za majstersztyk! Po prostu szkoda powiesić takiego człowieka. Sam jestem geniuszem, ale potrafię docenić innych geniuszy. To była zbrodnia doskonała, *mon ami*. Mówię ci to ja, Herkules Poirot. Zbrodnia doskonała. *Épatant!*

Posłowie

„Tajemnicę bagdadzkiego kufra” po raz pierwszy opublikowano w „Strand Magazine” w styczniu 1932 roku. Jest to pierwotna wersja nowelki „Tajemnica hiszpańskiej skrzyni” ze zbioru „Zagadka gwiazdkowego puddingu” (1960). Ta nowelka pisana jest w trzeciej osobie i Hastings w niej nie występuje.

Herkules Poirot zadebiutował w „Tajemniczej historii w Styles” (1920), napisanej przez Agatę Christie za namową siostry, kiedy pracowała w dziale toksycznych leków w Torquay. Kiedy pięćdziesiąt lat później Poirot umarł w powieści „Kurtyna” (1975), wydanej tuż przed śmiercią samej autorki, jedna tajemnica pozostała nierozwiązana: mianowicie wiek Poirota. Mimo że pierwotny tekst „Kurtyny” powstał trzydzieści lat wcześniej, późniejsze wydarzenia świadczą o tym, że powieść opublikowano w latach siedemdziesiątych, wkrótce po „ostatniej” sprawie detektywa „Słonie mają dobrą pamięć” (1972). Poirot musiał mieć dobrze po osiemdziesiątkę, a to znaczy, że w czasie „Tajemniczej historii w Styles” najpewniej dopiero co przekroczył trzydziestkę. Akcja powieści rozgrywa się w 1917 roku i Poirot opisany jest jako „trochę dziwny, silnie kulejący, dandysowaty mały człowieczek... niezwykle przebiegły detektyw, który odniósł wiele sukcesów, rozwiązując najbardziej zawile zagadki kryminalne”. Co więcej, w opowiadaniu „Przygoda na balu Zwycięstwa” z tomiku „Wczesne sprawy Poirota” (1974) opisany jest jako „były szef belgijskiej policji”. Być może, z powodu swojego kalectwa, zrezygnował ze służby, chociaż w wielu późniejszych sprawach nie stanowiło ono przeszkody w wykonywaniu zawodu. Jednakże w „Styles” inspektor James Japp, który pojawia się w wielu kolejnych powieściach, wspominał, że w 1904 roku współpracował z Pokotem przy okazji „sprawy fałszerstw Abercrombiego”, podczas gdy detektyw, jeżeli w „Kurtynie” przekroczył osiemdziesiątkę, musiał być wtedy zaledwie nastolatkiem!

We wrześniu 1975 roku pisarz i krytyk H.R.F. Keating wysunął przypuszczenie, że Poirot w chwili śmierci liczył sobie 117 lat. Zauważył też, że życiorys detektywa pełny jest takich zagadek!

Ostatnie słowo należy do twórczyni Poirota, która w wywiadzie z 1948 roku mówi — może przedwcześnie — że: „Żył strasznie długo. Powinnam się była go dawno pozbyć, ale nigdy nie miałam okazji. Moi wielbiciele nie dopuściliby do tego”. Było to zaledwie kilka lat po napisaniu „Kurtyny”, lecz blisko trzydzieści lat przed jej opublikowaniem.

Dopóki starczy światła

Ford podskakiwał na koleinach, gorące afrykańskie słońce paliło niemiłosiernie. Po obu stronach tak zwanej drogi rozciągała się nieprzenikniona gęstwina drzew i zarośli. Jak okiem sięgnąć, unosiła się i opadała łagodnymi liniami, miała miękką ciemną, żółtozieloną barwę, emanowała omdlałością i dziwnym spokojem. Parę ptaków zatrzepotało w sennej ciszy. Przez drogę tuż przed maską samochodu przesunął się wąż i wijąc się umknął z łatwością przed złowrogimi zakusami kierowcy. Innym razem z buszu wynurzył się tubylec, dumny i wyprostowany jak struna, a za nim kobieta z niemowlęciem przywiązany do pleców i z pełnym dobytkiem, w tym patelnią, imponująco balansującym na głowie.

George Crozier nie omieszkał zwrócić na to wszystko uwagi swojej żony, która odpowiadała monosylabami, z irytującym brakiem zainteresowania.

Myśli o tamtym facecie — odgadł z gniewem. On sam nie miał zamiaru zaprzętać sobie głowy pierwszym mężem Deirdre Crozier, który zginął w pierwszym roku pierwszej wojny światowej. Postradał życie w kampanii przeciwko niemieckiej Afryce Zachodniej. Oczywiście to naturalne, że wraca do niego myślami. Zerknął ukradkiem na żonę, na jej jasną karnację, różowobiałą gładkość policzków, toczony kształty — teraz bardziej zaokrąglone niż w tamtych odległych dniach, kiedy zgodziła się biernie na zaręczyny z nim, a potem, w uniesieniu pierwszych wojennych dni, niespodziewanie go odtrąciła, by wziąć wojenny ślub ze szczupłym, spalonym słońcem Timem Nugentem, swą miłością z lat dziewczęcych.

No cóż, facet nie żyje — zginął śmiercią walecznych — a on, George Crozier, poślubił dziewczynę, którą zawsze pragnął wziąć za żonę. Ona także była do niego przywiązana. Jakżeby mogło być inaczej, skoro spełniał jej wszystkie zachcianki, a miał po temu odpowiednie środki finansowe! Z zadowoleniem pomyślał o ostatnim prezencie, jaki jej ofiarował w Kimberley, gdzie, dzięki przyjaźni z jednym z dyrektorów De Beers mógł kupić brylant, który w zwykły sposób nigdy nie pojawiłby się na rynku. Kamień był godny uwagi nie ze względu na swoją wielkość, lecz nadzwyczaj wyjątkowy i rzadki, dziwny ciemnobursztynowy odcień, przypominający niemal stare złoto. Na taki brylant trafia się raz na sto lat. I ten wyraz oczu żony, kiedy jej go wręczał! Jeśli chodzi o brylanty, wszystkie kobiety są takie same.

Konieczność przytrzymania się obiema rękami, by nie wypaść na wyboju, przywróciła George'a Croziera do rzeczywistości. Chyba po raz czternasty wrzasnął z irytacją człowieka, który jest posiadaczem dwóch rolls-royce'ów i który ćwiczył swoje maszyny na autostradach cywilizacji:

— Dobry Boże, co za samochód! Co za drogą! Właściwie gdzie jest ta plantacja tytoniu? — ciągnął. — Już ponad godzinę temu wyjechaliśmy z Bulawayo.

— Zagubiona gdzieś w Rodezji — odparła lekko Deirdre pomiędzy dwoma niezamierzonymi podskokami.

Jednak wynajęty, szofer o skórze barwy kawy pospieszył z pokrzepiającą informacją, że cel ich podróży znajduje się tuż za następnym zakrętem.

Zarządca plantacji pan Walters czekał na werandzie, by ich powitać z rewerencją należną wysokiej pozycji George'a Croziera w Union Tobacco. Przedstawił swoją synową, która poprowadziła Deirdre chłodnym, ciemnym holem do sypialni, gdzie mogła zdjąć woalkę, którą zawsze nosiła podczas jazdy, by uchronić przed słońcem swoją jasną cerę. Deirdre wyciągając w typowy dla siebie, niespieszny, pełen wdzięku sposób szpilki wodziła spojrzeniem po wyszorowanym do białości, brzydkim, prawie pustym pokoju. Nie było tu żadnych luksusów i Deirdre, która kochała komfort tak jak kot uwielbia śmietankę, wzdrygnęła się lekko. Na ścianie przed sobą ujrzała inskrypcję. „Co zyskuje człowiek, jeżeli zdobędzie cały świat, a straci duszę?” — pytano wszystkich razem i każdego z osobna. Deirdre, z przyjemnością uświadomiwszy sobie, że owo pytanie nie ma z nią nic wspólnego, odwróciła się do swojej nieśmiałej i raczej milczącej towarzyszki. Zauważyła, wszakże bez cienia złośliwości, nadmiernie rozrosłe biodra i nieelegancką, tanią bawełnianą sukienkę. Jej spojrzenie z cichym zadowoleniem przesunęło się na wytworną, kosztowną prostotę własnej białej lnianej sukni rodem z Francji. Piękne stroje, zwłaszcza te, które sama nosiła, wzbudzały w niej artystyczną radość.

Dwaj mężczyźni już na nią czekali.

— Nie znudzi pani mała przechadzka po okolicy, pani Crozier?

— Ależ nie. Nigdy dotąd nie byłam na plantacji tytoniu. Wyszli w nieruchome rodezyjskie popołudnie.

— Tutaj mamy sadzonki, w razie potrzeby je przesadzamy. Widzi pani...

Głos zarządcy zacichł, gdyż mąż Deirdre począł ostrym tonem zalewać pana Waltersa potokiem pytań — o wydajność, opłaty skarbowe, problemy z kolorowymi robotnikami. Deirdre przestała słuchać.

A więc to była Rodezja, kraj, który Tim ukochał i dokąd miała wraz z nim wyjechać na zawsze po wojnie. Gdyby tylko nie zginął! Jak zawsze na tę myśl ogarnęło ją uczucie gorzkiego buntu. Dwa krótkie miesiące — tyle tylko ze sobą spędzili. Dwa miesiące szczęścia — jeżeli ta mieszanina upojenia i bólu była szczęściem. Czy miłość na pewno oznacza szczęście? Czy serca kochanka nie przeszywa po tysiackroć cierpienie? W tamtych krótkich chwilach żyła intensywnie, ale czy poznała spokój, błogość, ciche zadowolenie, jakie stało się jej udziałem w obecnym życiu? I po raz pierwszy, choć raczej niechętnie, przyznała się sama przed sobą, że może wszystko obróciło się na dobre.

Nie mogłabym tutaj zamieszkać. Chyba nie potrafiłabym uczynić Tima szczęśliwym. Mogłabym go rozczarować. George mnie kocha, a ja jestem bardzo do niego przywiązana. Jest dla mnie wyjątkowo dobry. Cóż, wystarczy spojrzeć na brylant, który mi niedawno kupił. I rozmyślając o tym z czystą rozkoszą lekko przymrużyła oczy.

— To tutaj suszymy liście. — Walters poprowadził ich do niezwykle długiej szopy. Na ziemi leżały ogromne stopy zielonych liści, odziani na biało „chłopcy” kucali wokół nich, przebierając je zręcznymi palcami, sortując według wielkości i nanizując za pomocą prymitywnych igieł na długie sznury. Pracowali wesoło, niespiesznie, żartując i ukazując w uśmiechu białe zęby.

— A teraz, tutaj...

Wyszli z szopy na światło dnia. Tam rozwieszono liście, by się suszyły na słońcu. Deirdre ostrożnie wciągnęła delikatny, prawie niewyczuwalny aromat, który przepełniał powietrze.

Walters poprowadził ich do kolejnych szop, gdzie już odbarwiony, jasnożółty tytoń, skąpany uprzednio w promieniach słonecznych, podlegał dalszej obróbce. Było tu ciemno, nad głowami zwisały masy brązowych liści, gotowych pod silniejszym dotknięciem obrócić się w proch. W tym miejscu panował silniejszy, niemal odurzający zapach. Deirdre ogarnął nagły strach, lęk przed czymś niewiadomym, który kazał jej wyjść z tego dusznego mroku na światło. Crozier dostrzegł, że żona zbladła.

— Co się stało, moja droga? Niedobrze się czujesz? To pewnie sprawka słońca. Chyba nie możesz dalej obchodzić z nami plantacji? Mam rację?

Walters był zatroskany. Pani Crozier powinna niezwłocznie wrócić do domu i odpocząć. Zawołał jakiegoś mężczyznę pracującego w oddali.

— Pan Arden. Pani Crozier. Pani Crozier poczuła się trochę słabo w tym upale, Arden. Czy mógłbyś odprowadzić ją do domu?

Chwilowa słabość minęła. Deirdre szła u boku Ardena. Nie przyjrzała mu się jeszcze.

— Deirdre!

Serce skoczyło jej do gardła, potem stanęła jak wrośnięta w ziemię. Tylko jeden człowiek wypowiadał jej imię w ten sposób, z lekkim pieszczotliwym akcentem na pierwszą sylabę.

Odwróciła się i wlepiła wzrok w stojącego obok mężczyznę. Słońce spaliło go prawie na heban, kulał idąc, a na policzku od jej strony widniała długa blizna, która zmieniała jego rysy. Lecz przecież go rozpoznała.

— Tim!

Zdawało się jej, że patrzy na siebie przez wieczność, oniemiała i drżący, a potem, nie wiedząc jak i dlaczego, padli sobie w ramiona. Czas się dla nich cofnął. Kiedy się rozłączyli, Deirdre, świadoma, że zadaje idiotyczne pytanie, zawołała:

— A więc nie zginąłeś?

— Nie, musieli przez pomyłkę wziąć mnie za kogoś innego. Zostałem ciężko ranny w głowę, ale udało mi się oprzytomnieć i wczłogać w busz. Potem przez wiele miesięcy nie wiedziałem, co się ze

mną dzieje, lecz zajęło się mną zaprzyjaźnione plemię. Wreszcie odzyskałem zmysły i usiłowałem wrócić do cywilizacji. — Umilkł na chwilę. — Dowiedziałem się, że pół roku wcześniej wyszłaś za mąż.

Deirdre krzyknęła:

— Och, Timie, zrozum, błagam, zrozum! To było takie okropne, ta samotność... i ubóstwo. Nie przeszkadzało mi wcale, kiedy oboje byliśmy ubodzy, jednak kiedy zostałam sama, nie miałam się stawiać czoła temu plugastwu.

— W porządku, Deirdre. Rozumiem. Wiem, że zawsze wzdychałaś za dostatkiem. Raz udało mi się ciebie z tego wyrwać, ale powtórnie, cóż... zawiodły mnie nerwy. Widzisz, doznałem ciężkich obrażeń, ledwie mogłem się poruszać bez kul, a poza tym ta blizna.

Przerwała mu gwałtownie:

— Sądysz, że miałoby to dla mnie jakiegokolwiek znaczenie?

— Nie, wiem, że nie. Byłem głupcem. Ale zdajesz sobie sprawę, że niektóre kobiety to by odstraszyło. Postanowiłem przyjrzeć ci się ukradkiem. Gdyby się okazało, że jesteś szczęśliwa, gdybym doszedł do wniosku, że jesteś szczęśliwa z Crozierem... cóż, w takim razie miałem pozostać martwy. I zobaczyłem cię. Akurat wsiadałaś do wielkiego samochodu. Miałaś na sobie cudowne futro z soboli, a takiego nigdy nie mógłbym ci sprawić, nawet gdybym urobił sobie ręce po łokcie... Cóż, zdawałaś się całkiem zadowolona. Ja zaś nie miałem tej siły i odwagi, tej wiary w siebie co przed wojną. Widziałem siebie połamanego i bezużytecznego. Ledwie zdołałbym cię utrzymać. A ty wyglądałaś tak pięknie, Deirdre, królowa wśród tłumu kobiet, warta tych futer, biżuterii, wspaniałych strojów i setki innych luksusowych rzeczy, jakimi Crozier był w stanie cię obsypać. To właśnie... i... ból... że zobaczyłem was razem, wpłynęły na moją decyzję. Cały świat uważał, że zginąłem. Więc pozostałem martwy.

— Ból! — powtórzyła Deirdre cichym głosem.

— Hm, niech to diabli, Deirdre, to bolało! Nie obwiniam cię o to! Wcale nie. Ale to boli.

Oboje zamilkli. Potem Tim uniósł jej twarz i ucałował z nowym przyływem czułości.

— Wszystko więc jasne, najmilsza. Jedyne, jaka nam pozostaje, to ustalenie, w jaki sposób powiemy o tym Crozierowi.

— Och! — Gwałtownie odskoczyła w tył. — Nie myślałam... — Urwała, gdyż za zakrętem ścieżki pojawili się Crozier z zarządcą. Szybko odwracając głowę szepnęła: — Nic nie rób. Zostaw to mnie. Muszę go przygotować. Gdzie moglibyśmy się spotkać jutro rano?

Nugent zastanowił się.

— Mogę pojechać do Bulawayo. Może w kafejce nieopodal Standard Bank? O trzeciej po południu powinno tam być pusto.

Deirdre skinęła głową na znak zgody, a potem odwróciła się do niego plecami i dołączyła do męża i zarządcy. Tim Nugent popatrzył na nią lekko marszcząc brwi. Coś w jej zachowaniu dało mu do myślenia.

Podczas jazdy powrotnej Deirdre milczała. Zasłaniając się rzekomym „porażeniem słonecznym”, zastanawiała się, co dalej począć. W jaki sposób go o tym powiadomić? Ogarnęło ją ogromne znużenie i narastające pragnienie, by tak długo, jak się da, odwlekać wyjawienie nowiny. Wystarczy, że zrobi to jutro. Przed trzecią będzie jeszcze mnóstwo czasu.

Hotel okazał się niewygodny. Jej pokój znajdował się na parterze, z oknem wychodzącym na wewnętrzny dziedziniec. Deirdre stała tamtego wieczoru wdychając zatechłe powietrze i z niesmakiem oglądała liche umeblowanie. Jej myśli powędrowały do luksusu Monkton Court wśród sosnowych lasów Surrey. Kiedy pokojówka wreszcie wyszła, Deirdre niespiesznie sięgnęła do szkatułki z biżuterią. Położony na dłoni złoty brylant odwzajemnił jej spojrzenie.

Niemal gwałtownym gestem odłożyła go do szkatułki i zatrzasnęła wieko. Jutro z samego rana opowie o wszystkim George’owi.

Źle spała. Pod gęstymi zwojami moskitiery było duszno. Pulsującą ciemność przerywały wszechobecne dziwne dźwięki, których zaczęła się lękać. Całkiem rozbudzoną, nasłuchiwała. Niemożliwe, żeby tak wcześnie rozpoczynała się praca!

Przeleżała cały ranek, odpoczywając w małym, odosobnionym pokoju. Pora lunchu przyprawiła ją o wstrząs. George Crozier zaproponował, by pojechali do Matopos.

— Jeśli wyruszymy natychmiast, będziemy mieli mnóstwo czasu.

Deirdre potrząsnęła głową, wymawiając się migreną. Pomyślała przy tym: To wszystko załatwia. Nie mogę niczego przyspieszać. Poza tym, jakie znaczenie ma dzień więcej? Wytłumaczę to jakoś Timowi.

Pomachała Crozierowi na pożegnanie, kiedy hałaśliwie odjeżdżał zdezelowanym fordem. Potem, zerknąwszy na zegarek, niespiesznym krokiem udała się na miejsce schadzki.

O tej porze kafejka była opustoszała. Usiedli przy stoliku i zamówili, jak kazał zwyczaj, herbatę, którą Południowoafrykańczycy pili bez przerwy dzień i noc. Póki nie pojawiła się kelnerka z herbatą i nie zniknęła za różową zasłoną, nie zamienili ani słowa. Potem Deirdre podniosła głowę i napotkała wyczekujące, badawcze spojrzenie Tima.

— Deirdre, powiedziałaś mu?

Potrząsnęła przecząco głową i oblizała wargi, na próżno szukając właściwych słów.

— Dlaczego?

— Nie miałam sposobności. Nie było czasu.

Nawet dla niej samej te słowa zabrzmiały niepewnie i nieprzekonywająco.

— Nie o to chodzi. To coś innego. Już wczoraj się tego domyśliłem. A dzisiaj jestem pewien. Deirdre, o co chodzi?

W milczeniu potrząsnęła głową.

— Są jakieś powody, dla których nie chcesz opuścić George'a Croziera, dla których nie chcesz do mnie wrócić. Co to jest?

Była to prawda. Teraz to pojęła i chciała się spalić ze wstydu, ale wiedziała to bez najmniejszych wątpliwości. A Tim wciąż świdrował ją wzrokiem.

— Przecież go nie kochasz! Na pewno nie. O co więc chodzi?

Za chwilę wszystko zrozumie — pomyślała. — Och Boże, nie dopuść do tego!

Nagle twarz Tima zbieleła.

— Deirdre... chyba... chyba nie jesteś w ciąży?

W przeblysku dojrzała szansę, którą niechcący jej podsunął. Cudowne wyjście z sytuacji! Powoli, jakby wbrew swojej woli, skinęła potakująco głową.

Timowi na chwilę zabrakło tchu, a potem dotarł do niej jego głos, donośny i twardy:

— To... wszystko zmienia. Sam nie wiem. Musimy znaleźć inne wyjście. — Pochylił się ponad stolikiem i ujął obie jej dłonie. — Deirdre, kochanie... Nigdy, nigdy nawet nie przeszło mi przez myśl, by cię o cokolwiek obwiniać. Pamiętaj o tym, cokolwiek się stanie. Powiniennem dochodzić swoich praw do ciebie wtedy, kiedy wróciłem do Anglii. Bałem się, zatem teraz do mnie należy wyjaśnienie wszystkiego. Rozumiesz? Cokolwiek się stanie, nie lękaj się, najdroższa. Nic się nie stanie z twojej winy.

Uniósł wpieryw jedną dłoń, potem drugą i przyłożył je do ust. Po chwili została sama; siedziała, wlepiając wzrok w nienaruszoną filiżankę herbaty. I, co najdziwniejsze, dostrzegła tylko jedno: krzykliwie napisany tekst na wymytych do białości ścianach. Zdawało się, że słowa te wyskoczyły ze ściany i rzuciły się na nią. „Co zyskuje człowiek...” Wstała, zapłaciła za herbatę i wyszła.

Gdy George Crozier wróci! do hotelu, przekazano mu prośbę żony, żeby jej nie niepokoił. Pokojówka powiadomiła go, że pani Crozier w dalszym ciągu cierpi na straszliwą migrenę.

Nazajutrz o dziewiątej rano George z posępną miną wkroczył do jej sypialni. Deirdre usiadła na łóżku. Wydawała się blada i zmęczona, lecz oczy jej płonęły.

— George, jest coś, o czym ci muszę powiedzieć, coś strasznego... Przerwał jej szybko.

— A więc słyszałaś. Obawiałem się, że może cię to zmartwić.

— Mnie zmartwić?

— Owszem. Wczoraj rozmawiałaś z tym nieszczęśnikiem. Ujrzał, jak chwyta się dłonią za serce. Zatrzepotała powiekami, a potem odezwała się niskim, zdyszczonym głosem, który go przestraszył:

— Niczego nie słyszałam. Mów szybko.

— Myślałem...

— Mów!

— To stało się na terenie plantacji. Ten facet się zastrzelił. W czasie wojny został ciężko ranny, podejrzewam, że miał nerwy w strzępach. Nie można znaleźć innego wytłumaczenia.

— Zastrzelił się... w tej ciemnej szopie, w której suszą się liście. — Mówiła pewnym głosem, spojrzenie miała niczym lunatyczka, jak gdyby widziała leżącą w smrodliwej ciemności postać z rewolwerem w dłoni.

— Na Boga, niech mnie kule, to tam miałaś wczoraj to dziwne widzenie. Coś niesamowitego!

Deirdre nie odpowiedziała. Ujrzała inny obraz — stół zastawiony do herbaty i pochylającą się nad nim, pogodzoną z kłamstwem kobietę.

— No cóż, wojna mogłaby wyjaśnić wiele spraw — bąknął Crozier. Sięgnął po zapalniczki, zapalił fajkę i zaciągnął się powoli.

Krzyk żony poderwał go na równe nogi.

— Och, nie! Nie! Nie znoszę tego dymu! Popatrzył na nią z wyrozumiałym zdumieniem.

— Moja droga, nie powinnaś się tak denerwować. Tak czy siak, nie uciekniesz przed dymem z mojej fajki. Wszędzie się na niego natkniesz.

— A tak, wszędzie! — Uśmiechnęła się drwiąco, wymamrotała jakieś słowa, których nie zrozumiał, słowa, które umieściła w pierwszym nekrologu Tima Nugenta. „Dopóki starczy światła, nie zapomnę, a gdy nastanie ciemność, też będę pamiętać”.

Rozszerzonymi oczami wodziła wzrokiem za unoszącymi się w górę kółkami dymu. Powtarzała monotonnym, cichym głosem:

— Zawsze i wszędzie.

Posłowie

„Dopóki starczy światła” po raz pierwszy ukazało się drukiem w „Novel Magazine” w kwietniu 1924 roku. Dla tych, którzy znają twórczość sir Alfreda Tennysona, prawdziwa tożsamość Ardena nie może być zagadką.

Tennyson należał do ulubionych poetów Agathy Christie, podobnie jak Yeats i T.S. Eliot, a jego „Enoch Arden” zainspirował autorkę do napisania powieści „Pora przyływu” (1948), z Herkulesem Poirotem w roli głównej. Wątek „Dopóki starczy światła” autorka wykorzystała później w „Chlebie olbrzyma” (1930), pierwszym z sześciu romansów opublikowanym pod pseudonimem Mary Westmacott. Choć powieści Westmacott cieszą się mniejszym zainteresowaniem niż kryminały Agathy Christie, traktuje się je zazwyczaj jako swoisty komentarz do pewnych wydarzeń z życia autorki, jako coś w rodzaju równoległej autobiografii. Tak czy inaczej, pozwoliły one Agacie Christie uciec od świata powieści detektywistycznej, zresztą ku irytacji wydawców, którzy, co zrozumiałe, niezbyt życzliwie traktowali wszystko, co odciągało ją od tworzenia kryminałów. Najbardziej interesującym z sześciu romansów jest trafnie zatytułowany „Niedokończony portret” (1934), o którym drugi mąż autorki archeolog Max Mallowan powiedział: „...pomieszenie ludzi z krwi i kości i prawdziwych wypadków z wyobraźnią... tutaj bardziej niż gdziekolwiek indziej spotykamy portret Agathy”.

Ona sama najbardziej lubiła trzeci z romansów Westmacott, „Samotna wiosną” (1944), o której w swej autobiografii pisała: „... ta właśnie książka całkowicie mnie usatysfakcjonowała... stworzyłam ją w ciągu trzech dni”. Dodała jeszcze: „Tworzyłam ją uczciwie, całym sercem, napisałam dokładnie tak, jak zamierzałam, a jest to największa radość i duma autora”.

* Potoczna nazwa mieszkańców wyspy Man — Manx.

* Przekład Ewy Rojewskiej—Olejarczuk.